

Pomorski Thinkletter 1 (4) 2021

Siła sąsiedztwa i lokalności dla budowy lepszej Polski

Czy sąsiedztwo i lokalność mogą być dziś dla nas...

- przestrzeniami nowego ładu i nowej nadziei?
- miejscami wykuwania się nowych wzorców komunikacji i przełamywania podziałów generowanych przez spory ideologiczne „wielkiej polityki”?
- formą terapii, ochroną przed skutkami niepewności i chaosu współczesnego świata?
- przeciwwagą dla uniformizującego i standaryzującego wpływu globalizacji?

Wydawca



Partnerzy



Pomorski
Fundusz
Rozwoju Sp. z o.o.



JEDNOSTKA
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
POMORSKIEGO



Partnerzy wydania

Patronat



Redakcja

dr Jan Szomburg
Jan M. Szomburg
Marcin Wandałowski
Adam Leśniewicz

Wydawca



Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową

ul. Do Studzienki 63

80-227 Gdańsk

tel. +48 58 524 49 30

ibngr@ibngr.pl

ISSN 2720-0310

W wydaniu

DLACZEGO SĄSIEDZTWO I LOKALNOŚĆ?

Sąsiedztwo i lokalność – przestrzenie nowego ładu i nowej nadziei

dr Jan Szomburg, Przewodniczący Rady IBnGR, Inicjator Kongresu Obywatelskiego



Widać dziś wyraźnie, że i Polskę i świat trzeba poukładać na nowo – na każdym szczeblu. Sąsiedztwo i lokalność są przestrzeniami szczególnie predestynowanymi do wykuwania tego nowego ładu, nowych wzorców komunikacji, współżycia, współdziałania i współprojektowania przyszłości. Tu wprowadzić łatwiej o konflikt, ale jego akceptacja i oswojenie może być dobrą drogą do nauki myślenia i działania zbiorowego jakże przydatnego na wyższych poziomach. Jak w praktyce wykorzystać nasz sentyment do lokalności? Dlaczego nasze najbliższe otoczenie warto potraktować jako laboratorium ćwiczenia integracji działań z różnych sektorów?

13

Bądźmy sobie nawzajem sąsiadami

prof. Jerzy Bralczyk, Uniwersytet Warszawski



Sąsiad jest jednym z tych słów, które w języku polskim przywodzą na myśl przede wszystkim pozytywne skojarzenia. Nieprzypadkowo przez lata mówiło się o „byciu komuś sąsiadem”, zamiast bardziej suchego „bycia czymś sąsiadem”. Jest w tym słowie coś w jak najlepszym sensie wiejskiego, kojarzonego z bliskością i naturalnością. Również literatura wskazuje nam, że od sąsiadów i sąsiedztwa można oczekiwać dobra – być, traktować się „jak sąsiady”. Czy tak jest też w rzeczywistości?

16

Lokalność to nie prowincjonalność

Janusz Sepioł, b. Marszałek Województwa Małopolskiego, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego



Lokalność i prowincjonalność to słowa, które dość powszechnie uznaje się wręcz za synonimy i używa się ich naprzemiennie. Nietrudno jednak dowieść, że tak naprawdę są to dwie głęboko różniące się sytuacje. Na czym zatem polegają? Jakie są ich cele? Co je buduje? Jak układają swoje relacje z „centrum”? Którą z nich można określić mianem wyboru miejsca obserwacji i działania, a którą – wyboru horyzontu?

20

Poczucie sprawczości rozwija skrzydła lokalności

Aleksandra Dulciewicz, Prezydent Gdańska



Dobrze, gdy z obywatelską troską o najbliższą okolicę łączy się poczucie, że faktycznie coś od nas zależy. Po to przecież chcemy się angażować w sprawy naszego miasta, osiedla czy nawet podwórka, aby móc dołożyć swoją cegiełkę i – jakkolwiek górnołotnie by to zabrzmiało – zmienić świat na lepsze.

23

Oddajmy miasto w ręce mieszkańców

Hanna Zdanowska, Prezydent Łodzi



Miasto należy do jego mieszkańców. Znają je i rozumieją jak nikt inny – są źródłem wiedzy o jego potrzebach, problemach, wyzwaniach. To im na mieście najbardziej zależy – przecież codziennie godzinami przebywają w jego przestrzeni, podobnie jak ich dzieci, rodzice czy dziadkowie. Dajmy im szansę na zarządzanie swoimi małymi ojczyznami – i to już na etapie planowania, nie tylko realizacji. Ich największym sprzymierzeńcami powinni być urzędnicy samorządowi – jako specjaliści od urealniania pomysłów lokalnych społeczności i moderowania ich aktywności obywatelskiej.

25

Przełamać miejski centralizm

dr Wojciech Szczurek, Prezydent Gdyni



Prawdziwa demokracja zaczyna się w wymiarze sąsiedzkim. Lokalne – dzielnicowe, osiedlowe czy nawet podwórkowe – wspólnoty są natomiast naturalnie predestynowane do tego, by decydować o swoim najbliższym otoczeniu, by realizować swoje potrzeby oraz rozwiązywać własne problemy. Aby jednak mogły to wszystko wziąć na swoje barki, potrzebują mądrego i odpowiedzialnego samorządu, który nie będzie blokował ich energii, lecz ją uwalniał. W jaki sposób może to robić? Jak miejskie władze mogą przyczynić się do budowy oddolnych wspólnot? Dlaczego ich funkcjonowanie jest tak ważne szczególnie teraz – w tak złożonym i niestabilnym świecie?

28

Lokalny wymiar miasta

Jacek Sutryk, Prezydent Wrocławia



Trudno wyobrazić sobie lokalność bez utożsamiania się z najbliższym otoczeniem. Najlepiej jest więc, by nasze „sąsiedztwo” miało swój silny wymiar „lokalny”. Jak w dokonaniu tego może pomóc miasto?

32

Dlaczego wracamy do lokalności?

Luk Palmen, Prezes Zarządu InnoCo, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego



Pandemia Covid-19 uczy nas pokory. Kolejne lockdowny, praca zdalna, bezrobocie spowodowane tymczasowym lub stałym zamknięciem tysięcy małych firm sprawiły, że ludzie ogarnęła niepewność. Nagle staliśmy się bardziej świadomi, że oprócz zaspokojenia potrzeb materialnych, do szczęśliwego życia potrzebujemy również spełnienia tych duchowych, nadających naszemu życiu sens. Jakie jeszcze są dziś płaszczyzny rozwoju naszej świadomości? Skąd się biorą? Dlaczego kierują nas w stronę lokalności?

35

Siła lokalności – na czym polega, jak ją wydobywać?

prof. Cezary Obracht-Prondzyński, Uniwersytet Gdański



Jakich wspólnot lokalnych potrzebujemy dziś w Polsce? Na czym powinna opierać się ich siła? Dlaczego miarą ich dojrzałości jest identyfikacja z całym swoim dziedzictwem – nie tylko tym chlubnym, ale i wstydliwym? Kiedy lokalna wspólnotowość bywa zabójcza dla nietypowości, a kiedy jest w stanie pobudzać twórczość jej członków? Jak dojść do zgody, w której mimo dzielących nas różnic potrafimy ze sobą wspólnie żyć? Czym, wreszcie, różni się mieszkaniec od obywatela?

41

Jakie „Razem” w mieście?

prof. Paweł Kubicki, Uniwersytet Jagielloński, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego



Więzi społeczne, wspólnota pamięci oraz wspólnota wyzwań – te trzy czynniki w ogromnym stopniu wpływają na budowanie „razem” we współczesnych polskich miastach. Jak sprawić, by miasta faktycznie były dobrem wspólnym ich mieszkańców, a nie sumą prywatnych interesów? Dlaczego miejska „pamięć”, chętnie nawiązująca do tradycji mieszczaństwa, nie może zapominać o swoim bardziej aktualnym, robotniczym dziedzictwie? Dlaczego też, myśląc o przyszłych pokoleniach, powinniśmy dziś stawiać na budowanie miast „sprężystych”?

47

Polska piramida tożsamości i co z niej wynika

Ewa Kipta, architektka, urbanistka



Sąsiedztwo, podwórko, dzielnica są obszarami oferującymi największe możliwości sprawczego wpływania na kondycję wspólnoty. Ta skala jednak często nas nie bardzo interesuje, bo zbyt ostro widzimy występujące w niej różnice opinii, boimy się błędów i wiemy, że trudno w niej o autorytarne narzucanie swoich rozwiązań. „Niestety” – tu da się i trzeba rozmawiać z innymi zainteresowanymi i brać ich opinie pod uwagę. Ma to znacznie większą wartość niż „manie racji”.

51

LEPSZA KOMUNIKACJA KLUCZEM DO BUDOWY WSPÓLNOT LOKALNYCH

Przez konflikt i negocjacje do lepszej wspólnoty

Przemysław Kluz, socjolog, Gdańska Fundacja Innowacji Społecznej



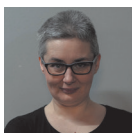
Mamy dziś pod dostatkiem paliwa społecznego, jakim jest konflikt. Czy możemy wykorzystać je do budowania lepszych małych wspólnot? To możliwe, o ile będziemy w stanie zdjąć zbroję naszych uprzedzeń i lęków i przygotować nie na bitwę, a na spotkanie z drugim mieszkańcem. Każde spotkanie, nawet to niełatwe, wzmacnia bowiem nasz potencjał mądrej wspólnoty. Dlaczego warto rozmawiać o naszych marzeniach i obawach? Jak zidentyfikować nasze realne potrzeby? W jaki sposób budować w naszych małych ojczyznach kulturę negocjacji?

54

Potrzebujemy nowego języka rozmowy o mieście

dr inż. arch. Gabriela Rembarz, architektka, urbanistka, Politechnika Gdańska

Ida Bocian, aktorka, reżyserka, Dyrektor Teatru Gdynia Główna



W rozmowach na temat przyszłości miast blokuje nas w dużej mierze nasz język. Tu wizje podwórek i kamienic rodem z pozytywistycznych nowel, a tu spolszczone anglosaskie zapożyczenia, importowane z amerykańskich miast. To kiepska platforma budowania dialogu, a tym bardziej wzajemnego zaufania. Ogranicza nas to i nie pozwala na wzajemną empatię. Bez niej nie ma szans na autentyczną relację, w której rodzi się konstruktywny dialog.

59

Zieleń sama się nie wypowie

dr inż. arch. Hanna Obracht-Prondzyńska, Politechnika Gdańska



Wiele polskich miast doświadczyło w ostatnich latach tzw. betonozy – działań rewitalizacyjnych, których efektem było zastąpienie dotychczasowych drzew, roślinności czy innego typu zieleni miejskiej posadzkami. Taki los miała podzielić również ulica Miła w Bytowie, wzdłuż której rozciąga się szpaler wieloletnich lip. Miały one zostać wycięte, a w ich miejscu powstać nowe miejsca parkingowe. Dzięki zaangażowaniu mieszkańców plan ten się jednak nie powiódł. W jaki sposób udało się zablokować tę inwestycję? Co było w tym kontekście kluczowe? Jakie jeszcze lekcje powinniśmy wynieść z tej historii?

64

Uwolnić lokalną energię – casus Dąbrowy Górniczej

dr inż. arch. Monika Arczyńska, Politechnika Gdańska, A2P2

dr inż. arch. Łukasz Pancewicz, Politechnika Gdańska, A2P2



Rozmowa o konkretnych projektach infrastrukturalnych, mających poprawić jakość życia całej lokalnej społeczności, łączy mieszkańców niezależnie od partykularnych opinii i poglądów. W jaki sposób do inicjatyw sąsiedzkich podejść systemowo? Jak dobrze zorganizować proces dialogu i uwolnić energię obywatelską mieszkańców? Oto, jak udało się to zrobić w Dąbrowie Górniczej.

68

JAKA PRZESTRZEŃ DLA ROZWOJU LOKALNOŚCI I JAKOŚCI ŻYCIA?

W kierunku miasta różnych lokalności

Adam Leśniewicz, Dyrektor Kongresu Obywatelskiego



Pandemia koronawirusa tylko wzmocniła w nas przekonanie, że potrzebujemy zmiany sposobu myślenia o miastach. W czasie ograniczonych zasobów i wielu pilnych potrzeb, szczególnie cenne są stosunkowo tanie projekty, które pozwalają adaptować przestrzeń do nowych funkcji i wyzwań. Prawdziwe cuda można zdziałać odchodząc od dzielnicowej monofunkcyjności, w kierunku tworzenia przestrzeni wielofunkcyjnych. Równoważąc komfort pieszych i potrzeby kierowców. Dbając o to, by przestrzeń publiczne sprzyjały budowaniu relacji sąsiedzkich, a nie anonimowości. Wspólnym mianownikiem, który łączy te podejścia, jest patrzenie z perspektywy lokalności.

72

Mądrość roju – dlaczego wracamy do lokalności w mieście?

Marcin Skrzypek, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego



Demontaż lokalności zaczyna się tam, gdzie przestaje opłacać się chodzenie pieszo. Kluczowym zasobem staje się wówczas samochód, który staramy się mieć jak najbliżej siebie. W naszych miastach coraz więcej jest dróg i parkingów, a coraz mniej parków i ścieżek pieszych. Życie z ulic, skwerów i lokalnych punktów usługowych przenosi się do wielkich centrów handlowych. Bliskość międzyludzka zanika – w przestrzeni komercyjnej nie ma bowiem zbyt wielu punktów zaczepienia do tworzenia więzi, wspólnego myślenia, empatii. Dlaczego warto dbać o zdrowe proporcje między lokalnością a mobilnością? Jak tego dokonać? Czego w tym kontekście możemy się nauczyć od pszczół?

78

Jaka przestrzeń dla rozwoju lokalności?

dr inż. arch. Gabriela Rembarz, architektka, urbanistka, Politechnika Gdańska



Podwórko-osiedle-dzielnica: wokół tej osi koncentruje się dziś dyskusja publiczna nad lokalnością i rozwojem miejskiej wspólnotowości. Te trzy elementy są zarazem najważniejszymi skalami budowania przestrzeni zamieszkania, od której zależy, czy mieszkamy „razem”, czy jedynie obok siebie. Czy wysoka jakość miejskiej przestrzeni powinna być przez nas traktowana bardziej jako luksus, czy przeciwnie – jako dobro pierwszej potrzeby? Dlaczego budowa lokalnej wspólnotowości wymaga kameralności i mozaikowości? Jak projektować dzielnice, w których dobrze będzie się żyło zarówno ośmio-, jak i osiemdziesięciolatkom?

84

Miasto sąsiedztw

dr inż. arch. Łukasz Pancewicz, Politechnika Gdańska, A2P2



Miasto sąsiedztw bazuje na aktywności obywatelskiej mieszkańców oraz odpowiednio zaprojektowanej przestrzeni, ułatwiającej tworzenie autentycznych więzi międzyludzkich. W takim mieście wszelkie decyzje są owocem negocjacji pomiędzy interesami zróżnicowanych, małych, lokalnych wspólnot a szerszą społecznością miejską oraz miejscowymi władzami. Jak wspierać budowanie miejskich sąsiedztw? Jakie mogą być mechanizmy współdecydowania o lokalnych sprawach? Dlaczego potrzebujemy ogólnomiejskiej idei „bycia razem” stanowiącej coś szerszego, niż tylko sumę pojedynczych, miejscowych interesów?

89

Jakie planowanie przestrzenne, jaki urbanista?

dr inż. arch. Hanna Obracht-Prondzyńska, Politechnika Gdańska



Jaka przestrzeń sprzyja dobremu sąsiedztwu i lokalności? Dlaczego, obok regulacji, tak ważna jest edukacja przestrzenna oraz kształtowanie świadomości – tak mieszkańców, jak i samorządowców? Jakie kompetencje powinny cechować dobrego urbanistę?

93

BIZNES DLA LOKALNOŚCI, LOKALNOŚĆ DLA BIZNESU

Ekonomia pączka – czyli jak być dobrym sąsiadem w globalnej wiosce

Piotr Wołkowiński, ekspert ds. partycypacji, rewitalizacji oraz ekonomii społecznej



Dominujący w ubiegłym stuleciu model wzrostu gospodarczego za wszelką cenę postawił nas dziś na skraju przepaści. Nadmiernie wyeksploatowane zasoby Ziemi, niespotykany wzrost nierówności społecznych, kryzys klimatyczny – to tylko niektóre z jego konsekwencji. Potrzebna nam jest dziś zmiana nastawienia, pozwalająca na lepsze zbalansowanie ludzkich potrzeb z pułapem ekologicznym naszej planety. W jaki sposób tego dokonać? Z pomocą przychodzi nam ekonomia pączka, która uczy nas chociażby tego, w jaki sposób być dobrym sąsiadem. Takim, którego horyzont myślenia i działań nie obejmuje troski jedynie o swoją najbliższą okolicę, lecz szerzej – o cały świat.

98

Biurowce dobrymi sąsiadami?

Katarzyna Zawodna-Bijoch, Prezeska Zarządu, spółka biurowa Skanska w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, Wiceprzewodnicząca Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego



Choć praca z domu jest dla wielu z nas wygodna, to jednak właśnie w biurach – tam, gdzie ludzie się ze sobą spotykają, rozmawiają, piją razem kawę – tworzą się silne i zgrane zespoły, rodzą się też najbardziej kreatywne pomysły. Pandemia nie spowoduje zatem, że obiekty biurowe znikną z miejskiej przestrzeni. Będą się one jednak różniły od tych dzisiejszych. Szklane wieże będą coraz częściej zastępowane budynkami wkomponowującymi się lepiej w lokalny kontekst, „szytymi na miarę” najbliższej okolicy. Skończy się też era monofunkcyjnych dzielnic biznesowych tętniących życiem w ciągu dnia, a wymarłych nocą. Czy biurowce faktycznie mają szansę stać się naszymi dobrymi sąsiadami?

102

Lokalne relacje budują lokalny biznes

Tomasz Limon, Prezes Zarządu, Pracodawcy Pomorza



W tych trudnych czasach pamiętajmy o lokalnych przedsiębiorcach, którzy nie są anonimowi dla miejscowych mieszkańców, z którymi się znamy, których lubimy, którzy są częścią naszej lokalnej społeczności – nieraz od zawsze.

105

Pandemia nauczyła nas lokalnego patriotyzmu

Joanna Erbel, socjolożka, działaczka miejska



Pandemia uświadomiła nam, że miejsce, w którym wydajemy pieniądze ma znaczenie. A jeśli chcemy, aby znajdujące się „za rogiem” sklepy, księgarnie, restauracje i kawiarnie przetrwały, to – jeśli tylko nas stać – powinniśmy kupować właśnie tam. Jakie jeszcze mogą być wymiary lokalnego patriotyzmu gospodarczego? Na czym polega nowa sąsiedzkość w hybrydowym życiu? Jakie są dwie najważniejsze waluty przyszłości, które pozwolą nam stworzyć odporne na kryzysy społeczności lokalne?

107

Internet nie zabija lokalności, ale ją ożywia

prof. Piotr Siuda, Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy



Często mówi się, że nowoczesne technologie sieciowe „odrywają” społeczne interakcje od lokalności. W dobie internetu zaczyna być ona postrzegana pejoratywnie – w kategoriach zaściankowości, złe rozumianego zakorzenienia, niewychodzenia naprzeciw globalnym wyzwaniom. I chociaż internet niewątpliwie łączy oddalonych od siebie ludzi, tak naprawdę opiera się właśnie na lokalności – zbliża przede wszystkim tych, którzy już są sobie bliscy. W jaki sposób technologie komunikacyjne wypełniają dziś „próżnię socjologiczną”? Jaka jest ich rola w budowaniu gospodarki prosumenckiej? Czy jesteśmy już gotowi mentalnie na ten proces?

111

Targowisko jako społeczny hub

dr inż. arch. Piotr Czyż, Politechnika Gdańska, Prezes Stowarzyszenia Inicjatywa Miasto



Miejskie targowiska są dziś w Polsce *passé*. Stanowią one niejako przeciwieństwo modnych obecnie galerii handlowych – postrzegamy je jako miejsca tłoczne, swojskie, nieco tandetne, zdominowane przez seniorów. W dodatku, kojarzymy je wyłącznie z funkcją handlową. Tymczasem historycznie targowiska, rynki, agory były prawdziwymi – przestrzennymi, ekonomicznymi i społecznymi – centrami miast. Stanowiły one przestrzeń wymiany towarów, ale też informacji, opinii, a nawet idei. Były to niezobowiązujące i inkluzywne miejsca budowania relacji i codziennego „ścierania” się ze sobą mieszkańców. W wielu europejskich miastach odzyskują one swój dawny blask oraz funkcje. Czy powrócą do łask również w polskich miastach?

115

LOKALNOŚĆ DLA ROZWIĄZYWANIA PROBLEMÓW SPOŁECZNYCH JAKIE ZASOBY, KOMPETENCJE I MODELE WSPÓŁDZIAŁANIA?

W turbulentnych czasach łatwiej razem

Wojciech Kłosowski, specjalista ds. rozwoju lokalnego



Nie lada wyzwanie stoi dziś przed miejskimi włodarzami – i to nie tylko w Polsce, lecz na całym świecie. Muszą zarządzać miastami, których doświadczeni chronicznym stresem mieszkańcy mogą być bardziej niż dotąd nieufni, irracjonalni w swoich oczekiwaniach, podatni na manipulacje, wątpiący w sens długotrwałych wysiłków nastawionych na odległe cele. W takich okolicznościach warto podjąć działania, mogące korzystnie wpłynąć na dobrostan psychiczny lokalnej społeczności. Jakże zatem obszary warto wzmocnić? W jaki sposób tego dokonać? Jak duża może być w tym kontekście rola dobrego sąsiedztwa i lokalności?

120

Społeczne wykorzystanie cyfryzacji

Piotr Jaśkiewicz, Prezes, Fundacja Nauka dla Środowiska



Rozwiązania cyfrowe nie tylko ułatwiają nam dziś prowadzenie biznesu, komunikację ze znajomymi czy robienie zakupów, ale mogą też przyczynić się do rozwiązywania problemów społecznych oraz budowy wspólnot lokalnych. To właśnie mają na celu projekty „Dobre Wsparcie” oraz lokalny.org, stworzone przez Fundację Nauka dla Środowiska. Na czym polegają inicjatywy? Jakim wyzwaniom stawiają czoła? Jakże są efekty ich działań?

125

EDUKACJA I WYCHOWANIE DLA ROZWOJU LOKALNOŚCI – LOKALNOŚĆ DLA LEPSZEJ EDUKACJI I WYCHOWANIA

Sąsiedztwo jako *locus educandi*

prof. Maria Mendel, Uniwersytet Gdański



Nie doceniamy naszych osiedli, podwórek, klatek schodowych. To tu rozpoczynamy naukę funkcjonowania w społeczeństwie i uczymy się bycia razem. To stąd dowiadujemy się, jak korzystać z przestrzeni, która jest nasza, ale nie tylko nasza. W tych właśnie miejscach, w skali mikro, praktykujemy na co dzień demokrację za sprawą nieustannego układania się między sobą, także w formie międzysąsiedzkich zgrzytów. Nie identyczność, a różnica jest bowiem najlepszą szkołą budowania dobra publicznego. Silni ćwiczeniami z lokalnego podwórka stajemy się zdolni zmieniać prawo i konstytuować nową, nieopresyjną dla nikogo przestrzeń równych. Czy mamy szansę przełożyć te oddolne inspiracje na poziom polskiej wspólnoty narodowej?

130

Lokalny biznes dla wspierania lokalnej edukacji

Dariusz Bojek, Wicedyrektor Zespołu Szkół Technicznych – Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Lesznie



Przykład Zakładu Szkół Technicznych – CKZiU w Lesznie pokazuje, jak dużym wsparciem dla lokalnych inicjatyw edukacyjnych może być miejscowy biznes. Wokół szkoły rozpostarła się cała siatka miejscowych przedsiębiorstw, które w różnej formie – m.in. finansowej, wyposażeniowej oraz lokalowej – wspierają jej działalność. Co jest ich główną motywacją? Jak zainteresować dzieci i młodzież edukacją techniczną?

135



Edukacja do odkrywania lokalności

Danuta Skalska-Cygan, Wicedyrektor Zespołu Szkół im. Józefa Piłsudskiego w Zakliczynie

Dlaczego warto łączyć szkolną edukację z lokalnymi zasobami i tradycjami? Dlaczego, szczególnie w Polsce lokalnej, warto udowadniać uczniom, że bycie „stąd” to zaleta, a nie bagaż? Jak korzystać z tego, co wokół nas, jednocześnie realizując program edukacyjny? Jakich postaw uczy się młodzież obcująca na co dzień z lokalnością?

138

WIĘZIOTWÓRCZA I POZNAWCZA ROLA KULTURY W PRZESTRZENI SĄSIEDZKIEJ I LOKALNEJ

Kultura dla lokalności

dr Natalia Bryłowska, Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku



Kultura otwiera oczy na miejską rzeczywistość, w której – wydawałoby się – nic nie jest już w stanie nas zaskoczyć. Jest platformą włączania, wyobrażania, wyrażania, eksperymentowania i negocjowania różnorodnych potrzeb i oczekiwań związanych z lokalnym rozwojem najbliższego otoczenia. Jest w stanie interpretować problemy, niepokoje i mity wspólnoty. Ma zdolność przywracania pewnym tematom miejsca w publicznym dyskursie, potrafi też inicjować dyskusję nad miejskimi – a często także dzielnicowymi czy osiedlowymi – wyzwaniem. Lokalne wspólnoty, tworząc, uwypuklając i dbając o swoje własne symbole, mogą kreować dzięki nim publiczną debatę. Miasto zbudowane z różnorodności i bogactw kultur zamieszkujących je lokalnych społeczności staje się ciągłym dialogiem.

143

Jak budować tożsamość lokalną, czyli od anonimowej sypialni do poczucia lokalnej dumy

Marek Kozłowski, Prezes, Stowarzyszenie „Wczoraj, dziś, jutro”



Pruszcz Gdański przez lata był postrzegany głównie jako „sypialnia” pobliskiego Gdańska. Tak o swoim mieście mówili nawet sami pruszczańscy. I nie ma się co dziwić – nie dość, że po II wojnie światowej nastąpiła tam niemal całkowita wymiana ludności, to w dodatku Pruszcz sam w sobie nie był atrakcyjnym miejscem do zamieszkania. Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero w ostatnich latach, gdy władze miasta przy wsparciu lokalnych organizacji, podjęły szereg starań na rzecz poprawy jakości życia. W tym wymiarze nastąpiła wyraźna zmiana na plus, z której czerpią dziś mieszkańcy. Okazało się, że znacznie trudniej jest jednak zbudować ich tożsamość historyczną – co stoi na przeszkodzie? W jaki sposób można te bariery przełamać? Co zrobić, by lokalna społeczność bardziej identyfikowała się z miejscem, w którym mieszka?

149

Powrót do lokalności poprzez jej poznanie

Sulista Borowska, Kaszubski Uniwersytet Ludowy



Mamy dziś w Polsce do czynienia z renesansem lokalności. Warto, by to zjawisko nie miało jednak jedynie fasadowego charakteru, ograniczającego się do kupowania regionalnych produktów spożywczych czy rękodzieła. Zainteresowanie najbliższym otoczeniem jest bowiem doskonałą okazją do budowania wspólnoty obywatelskiej i do nawiązywania relacji. W jaki sposób można to robić? Jaką rolę mogą w tym procesie odgrywać uniwersytety ludowe? Dlaczego powinniśmy nauczyć się nie tylko lepiej ze sobą rozmawiać, ale też wysłuchiwać drugiego?

153

LOKALNOŚĆ JAKO DROGA DO BUDOWY ODPORNOŚCI

Sąsiedztwo lekarstwem na kryzys

prof. Paweł Kubicki, Uniwersytet Jagielloński, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego



Fundamentem odporności na kryzysy w skali miasta są więzi sąsiedzkie. Doskonale pokazała nam to pandemia – w tych obszarach miast, w których ludzie się znali, utrzymywali ze sobą relacje, solidarność między mieszkańcami kwitła. Jej wyrazem mogły być zakupy robione seniorom przez młodszych sąsiadów, bądź – niejako *vice versa* – pomoc osób starszych w opiece nad dziećmi, gdy ich rodzice musieli iść do pracy. Tego typu sytuacje nie miały szans zadziać się w miejscach, gdzie ludzie są dla siebie anonimowi. Bogatsi o te doświadczenie nie powinniśmy mieć już wątpliwości, że przyszłością miast jest budowanie silnych wspólnot lokalnych. Jak to jednak robić? Inspiracją mogą być przykłady Paryża, Barcelony oraz... polskich osiedli z wielkiej płyty.

158

Lokalna odporność – zestaw dobrych praktyk

dr inż. Grzegorz Masik, Uniwersytet Gdański



Pandemia udowodniła nam, że nie jesteśmy dobrze przygotowani na nagłe zdarzenia szokowe. Pokazała nam jednocześnie, że myśląc o przyszłości, powinniśmy mieć na uwadze potencjalne kryzysy, które – prędzej czy później – na pewno nadejdą. Jak być jednak gotowym na niespodziewane? Najlepszą odpowiedzią jest podjęcie działań budujących odporność na poziomie lokalnym. Czego mogą one dotyczyć? Dlaczego ich wdrożenie jest tak istotne? Na kim możemy się w tym kontekście wzorować?

161

Bezpieczeństwo bliżej obywatela

Antoni Podolski, ekspert ds. bezpieczeństwa narodowego, b. Wiceminister Spraw Wewnętrznych i Administracji



Pandemia i jej kolejne fale pokazały, że coraz bardziej wzmacniające swą siłę państwo ma problemy, by ze szczybla centralnego zapewnić obywatelom oczekiwany przez nich poziom bezpieczeństwa. Może więc pora na to, by Polacy w większym stopniu oddolnie wzięli sprawy w swoje ręce? Jak podejść do kwestii bezpieczeństwa w mniej scentralizowany, a bardziej obywatelski sposób? Jakie byłyby z tego korzyści z perspektywy samorządów oraz wspólnot lokalnych?

165

MIASTO I WIEŚ – W KIERUNKU NOWEGO PARTNERSTWA

Między miastem a wsią – opowieść o nowej wspólnotowości

dr Joanna Hołda, Wyższa Szkoła Przedsiębiorczości i Administracji w Lublinie

dr Mariusz Sagan, Dyrektor Wydziału Strategii i Przedsiębiorczości, UM Lublin, Szkoła Główna Handlowa



Ludzie od wieków przenoszą się ze wsi do miast. Od pewnego czasu jesteśmy też jednak świadkami odwrotnego procesu, który zostanie spotęgowany za sprawą pandemii. W efekcie na obszarach podmiejskich powstawać będą kolejne enklawy – osiedla-sypialnie, zamieszkiwane przez dotychczasową ludność miejską, które z samego założenia izolują się od wiejskiego „rdzenia”. Ich mieszkańcy fizycznie mieszkają na wsi, ale znajdują się poza lokalną wspólnotą. Choć ośrodek miejski zapewnia im pracę oraz usługi – nie utrzymują też istotniejszych więzi z jego mieszkańcami. Czy osoby te są skazane na życie w społecznym „zawieszeniu”, czy też mamy szansę na to, by stworzyły i były częścią nowej, hybrydowej wspólnoty? Na czym mogłaby się ona opierać? Jak ją zbudować?

170

Konsumenci i rolnicy w sieci oddolnej współpracy

prof. Wojciech Knieć, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu



Polskie miasta i wsie to dziś w dużej mierze dwa oddzielne światy, zamieszkałe w dodatku przez diametralnie różniące się od siebie społeczności. Czy alternatywne sieci produkcji i dystrybucji żywności, takie jak kooperatywy spożywcze, mogą stanowić pomost między nimi? Kto w nich uczestniczy? Jak w swoich sieciach organizują się producenci oraz konsumenci? Dlaczego część Polaków jest gotowa więcej płacić za produkty spożywcze niż po cenach rynkowych?

174

Niewidzialne fundamenty wspólnot lokalnych

prof. Tomasz Rakowski, Uniwersytet Warszawski



Na obszarach wiejskich możemy się zetknąć z bardzo żywiołowymi, oddolnymi działaniami rozwojowymi, których inicjatorami są lokalne społeczności. Struktury te, choć często działają od dekad, pozostają jednak zazwyczaj w cieniu – nie zauważa się ich, nie docenia ich znaczenia, a nawet niesłusznie się je odrzuca. Jak przełamywać żywe do dziś stereotypy? Dlaczego polska „wiejskość” zasługuje na uznanie i zrozumienie?

179

Jak odblokować energię mieszkańców gminy?

Paweł Żmuda, Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Głównychach



W społecznościach wiejskich drzemie wielki potencjał związany z tworzeniem i animacją kultury lokalnej. Często bywa on jednak blokowany przez bariery natury m.in. formalnej czy mentalnej. Jak w ich przełamywaniu mogą w kreatywny sposób pomóc instytucje takie jak gminne ośrodki kultury?

182

Dlaczego
sąsiedztwo i lokalność?

Sąsiedztwo i lokalność – przestrzenie nowego ładu i nowej nadziei



dr

JAN SZOMBURG

Przewodniczący Rady IBnGR, Inicjator Kongresu Obywatelskiego

Widać dziś wyraźnie, że i Polskę i świat trzeba poukładać na nowo – na każdym szczeblu. Sąsiedztwo i lokalność są przestrzeniami szczególnie predestynowanymi do wykuwania tego nowego ładu, nowych wzorców komunikacji, współżycia, współdziałania i współprojektowania przyszłości. Tu wprawdzie łatwiej o konflikt, ale jego akceptacja i oswojenie może być dobrą drogą do nauki myślenia i działania zbiorowego jakże przydatnego na wyższych poziomach. Jak w praktyce wykorzystać nasz sentyment do lokalności? Dlaczego nasze najbliższe otoczenie warto potraktować jako laboratorium ćwiczenia integracji działań z różnych sektorów?

Dziś chyba każdy z nas ma poczucie że **żyjemy w czasie „interregnum”**, w okresie przejściowym. Że coś się skończyło, coś się zaczyna, ale nikt jeszcze nie wie, co się z tego wyłoni.

Kiedy pokolenie „Solidarności” wyzwalało Polskę z komunizmu, świat wydawał się dobrze poukładany i przyjazny. Dominowało przekonanie, że wystarczy wsiąść do windy demokracji liberalnej, gospodarki rynkowej, Unii Europejskiej i Pax Americana, a stały wzrost i pomyślność „same przyjdą”. Po upadku komunizmu Francis Fukuyama zaryzykował nawet tezę o „końcu historii”. Ale historia się nie skończyła – ani na świecie, ani w Polsce. Za to **wszystko się skomplikowało**.

Wyzwania klimatyczne (tak naprawdę – kwestia przeżycia ludzkości), nowe technologie komunikacyjne, rodzące skutki uboczne w postaci radykalizmów, rosnąca potęga Chin, populizm, konflikty tożsamościowo-kulturowe, rosnące nierówności dochodowo-majątkowe, pandemia... Lista tych czynników chaosu i niepewności, niestabilności i nieprzewidywalności, jest długa. Nawet najbardziej czuły narrator nie jest dziś w stanie ogarnąć świata, w którym żyjemy. Wywołuje on w nas lęki, poczucie bezradności i swoiste rozedrganie. Nawet ci z nas, którzy dysponują dużymi zasobami własnymi, nie są w stanie „odgrodzić się” od takich zagrożeń jak trujące powietrze, pandemia czy katastrofy naturalne. Wyraźnie widać, że i Polskę i Europę i świat trzeba **poukładać na nowo** – na każdym szczeblu.

Przestrzeniami szczególnie predestynowanymi do wykuwania tego nowego ładu, nowych wzorców komunikacji, współżycia, współdziałania i współprojektowania przyszłości jest właśnie szeroko rozumiane **sąsiedztwo i lokalność**. Tu wprawdzie łatwiej o konflikt, ale jego akceptacja i oswojenie może być dobrą drogą do **nauki myślenia i działania zbiorowego** jakże przydatnego na wyższych poziomach – i w regionie, i w kraju, a także w UE. Potrzebujemy więziotwórczych, cywilizowanych sporów wokół definiowania lokalnych potrzeb i rozwiązywania konkretnych problemów (np. ekologicznych, społecznych, zaopatrzeniowych), bliskich każdemu z nas. Takie doświadczenie wyposaży nas w kompetencje potrzebne do zmieniania rzeczywistości na szeroką skalę i w innych sferach. Zaczniemy więc od miejsc, gdzie życie uczy nas praktyki współpracy, gdzie kontakty są bardziej gęste, realne problemy wołają o działanie, gdzie jest szybki *feedback*, jeśli popełnimy błąd lub nasze działania przyniosą pozytywny skutek.



Potrzebujemy więziotwórczych, cywilizowanych sporów wokół definiowania lokalnych potrzeb i rozwiązywania konkretnych problemów (np. ekologicznych czy społecznych), bliskich każdemu z nas. Takie doświadczenie wyposaży nas w kompetencje potrzebne do zmieniania rzeczywistości na szeroką skalę – także w innych sferach.

Lokalność będzie również najlepszym laboratorium ćwiczenia **integracji działań** z różnych sektorów – planowania przestrzennego, transportu, ekologii czy usług publicznych – oraz odchodzenia od nieefektywnej „silo-sowości” zakorzenionej w naszych strukturach administracyjnych. Wyzwania przyszłości wymagają bowiem zdecydowanie więcej **horyzontalności i spójności** (międzydziałowej i międzysektorowej) oraz współpracy różnego rodzaju podmiotów: biznesowych, administracyjnych, społecznych i prywatnych. Niech lokalność będzie też areną budowania nowoczesnego etosu prosumenckiego, indywidualnego i zbiorowego (grupowego). Niech sprzyja nowoczesnemu modelowi decentralizacji polegającemu na łączeniu działań ze sfery polityk publicznych, przedsięwzięć sektora biznesu oraz praktyki codziennych wyborów i decyzji prywatnych – obywateli, rodzin. Dobrym przykładem jest energetyka obywatelska – oddolny proces zakładania spółdzielni energetycznych pozwala zwykłym Kowalskim stać się jednocześnie producentami i odbiorcami energii elektrycznej, a równocześnie odpowiada na wyzwania transformacyjne, które czekają cały nasz system energetyczny.



Niech lokalność będzie areną budowania nowoczesnego etosu prosumenckiego, indywidualnego i zbiorowego. Niech sprzyja nowoczesnemu modelowi decentralizacji polegającemu na łączeniu działań ze sfery polityk publicznych, przedsięwzięć sektora biznesu oraz praktyki codziennych wyborów i decyzji obywateli.

Czy Polska ze względu na swoją historię, kody kulturowe i strukturę społeczną nie jest stworzona do takiego właśnie modelu rozwoju? **Sentymentalny głód lokalności** w Polsce był wyczuwalny już przed pandemią. Wystarczy porównać polskich i zagranicznych kibiców na masowych imprezach sportowych. Żadna publiczność nie ma tylu transparentów demonstrujących „lokalny patriotyzm”, dumę ze swojej miejscowości pochodzenia, co polscy kibice. To jest zawsze uderzające, a w pewnym sensie – wzruszające.

Od lat wzmacnia się również zjawisko powstawania portali czy grup w mediach społecznościowych, dedykowanych określonym miejscom (miasteczkom czy dzielnicom dużych miast). To sprawy lokalne najczęściej wywołują naszą nostalgię i prowokują do zaangażowania się. Na wycinkę drzew rosnących przy szkole, do której chodziliśmy, czy projekt przebudowy często odwiedzanej ulicy reagujemy odruchowo i emocjonalnie.

Potwierdzają to powtarzane rokrocznie badania opinii publicznej, z których wynika, że jako społeczeństwo właśnie w obszarze spraw lokalno-samorządowych widzimy swój największy wpływ.

Sytuacja pandemii okazała się „game changerem” i katalizatorem wielu zmian. Choć w tym wypadku nasza uwaga skupiła się na przestrzeni sąsiedzko-lokalnej w sposób niejako wymuszony przez obiektywne czynniki zewnętrzne, to równocześnie jeszcze dobitniej uwidoczniła została **siła lokalnych więzi** – np. w sposobie wzajemnego postrzegania, solidarnej pomocy czy budowie relacji „zastępujących” te z miejsc pracy. Doświadczenie tego, że możemy liczyć na bezinteresowną pomoc sąsiada głęboko zapadło nam w pamięć.

Ale to nie wszystko. Sentyment do przeszłości czy katalityczny efekt pandemii to dopiero początek. Jeszcze większe znaczenie będą miały czekające nas wyzwania klimatyczno-ekologiczne. Tylko razem jesteśmy w stanie im sprostać, ale równocześnie, **wspólna odpowiedź na te wyzwania przyniesie korzyści każdemu z nas** – chociażby w wymiarze zdrowszego i dłuższego życia czy też lepszego radzenia sobie z katastrofami naturalnymi. Potrzebujemy swego rodzaju „**egoistycznej solidarności**” wyrażającej się np. w tworzeniu niskoemisyjnych, „samowystarczalnych” osiedli (np. w zakresie energii, ciepła, obiegu wody, wykorzystania zieleni).

Każdą zmianę poprzedza otwieranie oczu i proces zrozumienia. Współautorzy niniejszej publikacji odśladają potencjał i siłę sąsiedztwa w różnych aspektach – od znaczenia terapeutycznego, poprzez odpornościowe, dotyczące jakości życia, aż po korzyści ekonomiczne. Mam nadzieję, że ich głosy będą inspiracją nie tylko dla samorządowców, przedstawicieli świata nauki czy biznesu, ale także dla nas, obywateli – sąsiadów i mieszkańców ulic, osiedli, dzielnic. Może się okazać paradoksem historii, że nie wielkie, spajające narracje (które zresztą, jak widać, nie mogą się jakoś narodzić), ale właśnie ta mała, ale powszechna transformacja kulturowo-mentalna na poziomie sąsiedztwa i lokalności, **pomoże zmienić Polskę na lepsze.**



Może się okazać paradoksem historii, że nie wielkie, spajające narracje, ale właśnie ta mała, ale powszechna transformacja kulturowo-mentalna na poziomie sąsiedztwa i lokalności, zmieni Polskę na lepsze.

O autorze

Dr **Jan Szomburg** – współzałożyciel, wieloletni Prezes, a obecnie Przewodniczący Rady Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, inicjator Kongresu Obywatelskiego. Promotor publicznej refleksji i debaty nad tożsamością i wspólnotowością Polaków. Doktor nauk ekonomicznych. Współtwórca polskiej myśli transformacyjnej dotyczącej gospodarki. Autor wielu opracowań na temat kulturowych przesłanek i uwarunkowań rozwoju. Wydawca serii wydawniczej „Wolność i Solidarność” (od 2005). W latach 80. zaangażowany w gdańską „Solidarność”, w stanie wojennym współpracował z podziemiem. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego.

Bądźmy sobie nawzajem sąsiadami



prof.

JERZY BRALCZYK

Uniwersytet Warszawski

Sąsiad jest jednym z tych słów, które w języku polskim przywodzą na myśl przede wszystkim pozytywne skojarzenia. Nieprzypadkowo przez lata mówiło się o „byciu komuś sąsiadem”, zamiast bardziej suchego „bycia czymś sąsiadem”. Jest w tym słowie coś w jak najlepszym sensie wiejskiego, kojarzonego z bliskością i naturalnością. Również literatura wskazuje nam, że od sąsiadów i sąsiedztwa można oczekiwać dobra – być, traktować się „jak sąsiady”. Czy tak jest też w rzeczywistości?

Bycie czymś sąsiadem jest relacją wzajemną, dla mojego sąsiada ja też jestem sąsiadem. Sąsiadem jest się *czymś*, *kogoś* lub *dla kogoś*, kiedyś podstawowe było wyrażenie z celownikiem – było się raczej sąsiadem *komuś*. Zdanie „jestem mu sąsiadem” daje wrażenie większej bliskości niż zdanie „jestem jego sąsiadem”, większej bezpośredniości, tak jak „jestem mu bratem” (i „on jest mi bratem”) różni się od obiektywnego, bardziej suchego „jestem jego bratem”. Sąsiedztwo to, oczywiście, relacja przestrzenna, i odnosząca się do różnie rozumianej przestrzeni: *sąsiadem* nazywamy i tego, co mieszka blisko mnie, jak i tego, co obok mnie siedzi. Relacja to zatem także o różnej trwałości, mieszkanie jest na dłużej, zajęte miejsce przy stole nieraz na chwilę. Ale za każdym razem to relacja wymagająca refleksji.

Kilka słów o etymologii

Mój *sąsiad* to ‘ten, co ze mną siedzi’. W siedemnastym wieku używano też formy *samsiad*, która była interpretowana inaczej, że niby „ktoś oto sam siedzi”. Dałoby się to jednak wyjaśnić tak, że on sam to właśnie miejsce obok mnie wybrał. Etymologicznie rzecz biorąc, cząstka *są-* ma znaczenie odpowiadające słowu *razem* lub przyimkowi *z*, rzeczownik *sąsiad* historycznie wziął się z formy czasownikowej *sęsti* (*sę*), czyli ‘usiąść razem, obok siebie’.

Słowo *sąsiad* ma długą historię. W przechowującym dawną językową tradycję języku litewskim *sąsedos* to ‘siedzenie razem’, a i w staroindyjskim *san-sad-* to ‘zgromadzenie, zebranie’. Słowianie różne warianty *sąsiada* mają, dość konsekwentnie, a i *sąsiadujący* z nimi Węgrzy używają słowa *szomszed*.

Języki germańskie na różne sposoby rozwinęły określenie sąsiada, skomplikowany angielski *neighbour*, prostszy niemiecki *Nachbar*, krótki skandynawski *nabo* wzięły się z połączenia „bliskości” i z „mieszkańca wsi”, francuski *voisin* też jest kontynuacją łacińskiego *vicinus*, od *vicus*, czyli ‘wieś’. Istotnie, coś wiejskiego łączy się z *sąsiadem*, ale wiejskiego w jak najlepszym sensie, kojarzonego z bliskością i naturalnością – ot, mieszkamy tak blisko siebie, obok siebie, razem, tak jak się urodziliśmy... i ta wspólność przestrzeni nas określa, względem siebie nawzajem, ale jakoś nie tylko, i naturalne bycie sąsiadem, zachowując swoją relacyjność (w końcu sąsiadami jesteśmy wobec swoich sąsiadów), określa też i naszą tożsamość...



Coś wiejskiego łączy się z *sąsiadem*, ale wiejskiego w jak najlepszym sensie, kojarzonego z bliskością i naturalnością – ot, mieszkamy tak blisko siebie, obok siebie, razem, tak jak się urodziliśmy...

Nasz czternastowieczny *sąsed* dał późniejszego *sąsiada*, a mieliśmy też formy *samsiad*, *sąmsiad*, *siósiad* i *sąsiadek* (który nie był wcale zdrobnieniem). Ciekawe, że dzisiaj wraca jeden z tych wariantów: współczesne internetowe *somsiad*, otwarcie, zatem żartobliwie nieortograficzne, ma charakter ironiczny, pojawia się w memach.

Językowe „dzieci” sąsiada

Aż trzy przymiotniki dał *sąsiad*: jeden z nich, czyli *sąsiadczyny*, już nie jest używany, *sąsiedni* jest tak ściśle przestrzenny, że może się odnosić do wszystkiego, co obok czegoś się znajduje, na przykład na *sąsiedniej stronie*, podobne znaczenie ma imiesłów *sąsiadujący*. *Sąsiedzki* jest z *sąsiadem* związany najściślej, i daje się zastosować też do wymiarów abstrakcyjnych, bo wyrażenie *po sąsiedzku* to nie tylko przestrzeń, a słowo *dobrosąsiedzki* zakłada istotną cechę relacji. Nawiasem mówiąc, nie ma słowa *złosąsiedzki*...

Czasownik *sąsiadować* jest potrzebny do określania stosunków przestrzennych i jako taki rzadkie ma odniesienia do innych, bardziej związanych z ocenami i emocjami. Jak coś (czy ktoś) *sąsiaduje* z czymś (czy kimś), to po prostu znajdują się we względnej bliskości, czasem wzmacnianej przez przysłowki *blisko* lub *bezpśrednio*, co zdaje się świadczyć o możliwości sąsiadowania niebezpośredniego.

Odpowiednie tym przysłówkom przymiotniki, zwłaszcza przymiotnik *bliski*, łączą się z rzeczownikami *sąsiad* – i tu już włącza się inna perspektywa.

Co nam mówią porzekadła?

W języku, w powiedzeniach, przysłowkach, porzekadłach, często cytowanych fragmentach literackich, ujawnia się stosunek do pojęć, do zdarzeń, zjawisk, ludzi, relacji. W znacznej części frazeologicznie ustabilizowanych wyrażen i zdań z *sąsiadem* mamy jakieś realne i postulowane kwalifikacje aksjologiczne. Można nawet uznać znaczną łączliwość frazeologiczną wyrażen *zły sąsiad* i *dobry sąsiad*. Wśród przysłów mamy zatem symetryczne „sąsiad dobry za brata stoi” i „sąsiad zły za nieprzyjaciela stoi”, oba z siedemnastego wieku. Inne, wcześniejsze, mówi „lepszy sąsiad bliski niż brat daleki”. Są wśród powiedzeń pouczenia: z szesnastego wieku „miły synu, to ma rada, ucz się sprawy u sąsiada”; i późniejsze, ale częstsze i bardziej cyniczne: „nie kupuj majątności, kup sąsiada”.

Niestety więcej jest ostrzeżeń i uwag zgryźliwych, ale tak to z powiedzeniami bywa. Mamy zatem wśród licznych (u Krzyżanowskiego czterdzieści kilka!) przysłów o sąsiadach ilustrujące ludzką zawiść: „u sąsiada wszystko lepsze” i „sąsiedzka zgoda rzadka” (siedemnasty wiek), i powtarzane jako przysłowie słowa ciężko rannego Floriana (pod Płowcami, do Łokietka) „bardziej boli zły sąsiad niż rany” (też u Kochanowskiego), i mocniejsze: „ciężki sąsiad we wsi, w domu i na wozie, ale najgorszy w łóżku”, bardzo stare: „okrutna jest zaraza zły sąsiad”, „nie ma nic gorszego od sąsiada złego”, „zła żona zły sąsiad, diabeł trzeci – jednej matki dzieci”, wreszcie Krasickiego „zły głód, wojna, powietrze, gorsi źli sąsiedzi”.

Sąsiad ważny jak rodzina?

Ale nie świadczy to wcale o nie najlepszym postrzeganiu sąsiedztwa, lecz właśnie o ważności sąsiedzkich relacji. Sąsiedztwo jest niemal tak ważne, jak stosunki rodzinne. Jesteśmy jako sąsiedzi wzajemnie dla siebie ważni, bliscy – i dlatego, jeśli sąsiedztwo nie spełnia naszych oczekiwań, konsekwencje mogą być niedobre. Zwłaszcza że bliskość zakłada też obfitość informacji. To nie przypadek, że takim „sąsiedzkim” przysłowiem najbardziej bodaj znanym jest „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi” (w którym zresztą sąsiaduje słowo *sąsiad* ze swoim wyjściowym czasownikiem). I, jak to w języku bywa, mnogość treści negatywnych paradoksalnie wskazuje, że naturalne są odniesienia właśnie pozytywne.

Papkin, apelując (z tchórzostwa, co prawda) do Cześnika o zgodę z Rejentem, mówi „jednak zgodnie, jak sąsiady” – co wyraźnie wskazuje, że w sąsiedztwie właśnie zgoda jest naturalna, a ten jej rodzaj bardzo pożądany.

Mickiewicz w listach wielokrotnie łączy stosunki „sąsiedztwa i przyjaźni” i „sąsiedztwa i przychylności”. Tłumacząc motywy dobrego stosunku Stolnika do Dobrzyńskich Gerwazy mówi „A dlaczego to robił? Bo był wam sąsiadem!”. Sąsiedztwo samo zdaje się uzasadniać dobre relacje...

W istocie bardziej nacechowane, jako mniej naturalne, zatem chyba postrzegane jako rzadziej spotykane, ale przez to i spostrzeganiu łatwiej się narzucające, są stosunki nieprzyjazne. Kiedy w Epilogu „Pana Tadeusza” Mickiewicz pisze o emigrantach, że „w każdym sąsiedzie znajdowali wroga”, kiedy Jan Gross nadaje ironiczny tytuł swojej rozliczeniowej książki „Sąsiedzi” – to widzimy przez to, że od sąsiedztwa mamy prawo oczekiwać dobra. Że powinniśmy, i my, i nasi sąsiedzi, traktować się po sąsiedzku, „jak sąsiady”. W tym, co dobre, i w tym, co złe. Nieporadni majsterkowicze ze znakomitego czeskiego filmu animowanego to właśnie „Sąsiedzi” i ten tytuł wbił się w pamięć niejednemu już pokoleniu bardziej niż inne odniesienia do sąsiedztwa.

“ **Od sąsiedztwa mamy prawo oczekiwać dobra. I my, i nasi sąsiedzi powinniśmy traktować się po sąsiedzku, „jak sąsiady”. W tym, co dobre, i w tym, co złe.**

Wymiary sąsiedztwa

Sąsiedztwo ma wiele wymiarów – jako o sąsiadach mówimy o graniczących z nami państwach, słowo *sąsiedni* odnosi się do regionów, województw, powiatów. Ale taka nazwa i takie określenie zakłada konsekwentnie, nawet przy nienajlepszych doświadczeniach, stosunek wyjściowo pozytywny. Mam prawo oczekiwać od sąsiada pomocy, co bywało nawet dekretowane (na przykład w statucie Kazimierza Wielkiego wymagało się od sąsiadów uczestnictwa w dochodzeniu swoich praw od kogoś, kto zaszkodził). Obowiązki sąsiedzkie nie musiały być zresztą dekretowane, dobre sąsiedztwo naturalnie dawało poczucie bezpieczeństwa.

“ **Jako o sąsiadach mówimy o graniczących z nami państwach, słowo *sąsiedni* odnosi się do regionów, województw, powiatów. Ale taka nazwa i takie określenie zakłada konsekwentnie, nawet przy nienajlepszych doświadczeniach, stosunek wyjściowo pozytywny.**

Słowo *sąsiad* ma w naszym słowniku wciąż wymiar lokalny, w jakiś sposób przypominający pierwotne, a w każdym razie dawne układy społeczne, nawet odwołujące się do stosunków wiejskich. Owszem, myślimy o sąsiadach z klatek schodowych, ale kiedy o nich tak właśnie myślimy, oczekujemy bliskości bardziej naturalnych niż kwaterunkowe.

Nie przedobrmy

Współcześnie pojęcie sąsiedztwa, jak i inne pojęcia, stabilizujące nasze realne i pożądane relacje, jak wspólnota czy partnerstwo, może być przyczynkiem do satysfakcjonującego i dającego perspektywę myślenia o dobrostanie. Rzecz w tym jednak, żeby się te pojęcia nie terminologizowały, nabierając wskutek tego wymiaru ideologicznego. Najśluszniesze koncepcje, idee i społeczne postulaty, korzystając z wyznaczonego

przez język systemu pojęciowego, żeby zachować to, co szczególnie cenne, naturalność, powinny się z takimi pojęciami obchodzić w miarę delikatnie. Niewiele brakowało, żeby wyrażenie *stosunki dobrosąsiedzkie* nam nie obrzydły przez natrętne propagandowe powtarzanie.

Szanujmy sąsiada, pojęcie sąsiada i sąsiedztwa. Przyda nam się.



Najsłuszniejsze koncepcje, idee i społeczne postulaty powinny się z takimi pojęciami jak sąsiad obchodzić w miarę delikatnie. Niewiele brakowało, żeby wyrażenie *stosunki dobrosąsiedzkie* nam nie obrzydły przez natrętne propagandowe powtarzanie.

O autorze

Prof. **Jerzy Bralczyk** – językoznawca, specjalista w dziedzinie języka mediów, reklamy i polityki. Od 1999 r. wykłada w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Autor wielu programów telewizyjnych i audycji radiowych popularyzujących polską mowę, m.in. „Mówi się”, „Na słówko”, „Słowo o słowie”. Autor wielu poradników językowych i opracowań dotyczących współczesnej polszczyzny. Wiceprzewodniczący Rady Języka Polskiego.

Lokalność to nie prowincjonalność



JANUSZ SEPIOŁ

b. Marszałek Województwa Małopolskiego, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Lokalność i prowincjonalność to słowa, które dość powszechnie uznaje się wręcz za synonimy i używa się ich naprzemiennie. Nietrudno jednak dowieść, że tak naprawdę są to dwie głęboko różniące się sytuacje. Na czym zatem polegają? Jakie są ich cele? Co je buduje? Jak układają swoje relacje z „centrum”? Którą z nich można określić mianem wyboru miejsca obserwacji i działania, a którą – wyboru horyzontu?

Lokalność a prowincjonalność

W potocznym rozumieniu lokalność i prowincjonalność wydają się funkcjonować nie tyle jako synonimy, co pojęcia pokrewne, bliskie określeniom takim jak parafiańszczyzna czy zaściankowość. Są opisem egzystencji (czy skutków egzystencji), rozgrywającej się w jakiejś odległości – z reguły dużej – od „centrum”. Jednak nawet tylko językowa analiza wskazuje, że lokalność i prowincjonalność to dwie głęboko różniące się sytuacje.

Sama istota prowincji zakłada istnienie centrum – metropolii, czyli miejsca, które jest uprzywilejowane, gdzie podejmowane są decyzje, gdzie rozstrzyga się to, co ważne. Prowincja to obszar oddalony, i co ważniejsze – uzależniony, niesamodzielny. Tam wszystko ma charakter wtórny. W rzymskiej tradycji prowincją zarządzał wysłannik z centrali – prokonsul. Prowincja jest administrowana z zewnątrz i skazana na to, by absorbować, chłonąć to, co idzie z centrum.

Lokalność zakłada istnienie jakiejś odrębności na konkretnym terytorium. Jeśli coś jest lokalne, to oznacza że nie występuje gdzie indziej, albo przynajmniej istnieje czytelne otoczenie, gdzie owej cechy czy wartości brak. Lokalność nie zależy od centrum – ona jest produktem własnych sił, więcej – decyduje o własnej tożsamości.

“ **Prowincja to obszar oddalony, i co ważniejsze – uzależniony, niesamodzielny. Tam wszystko ma charakter wtórny. Lokalność nie zależy od centrum – ona jest produktem własnych sił, więcej – decyduje o własnej tożsamości.**

Na prowincjonalność można skazywać np. poprzez odebranie samodzielności, suwerenności, podmiotowości. Lokalność można zbudować np. poprzez przydzielenie władzy, autonomii, po prostu wolności.

Co jest opozycją prowincjonalności? Stołeczność albo metropolitalność. Cecha, która z natury rzeczy musi być unikalna. Jeśli istnieje terytorium uprzywilejowane stołecznością – cała reszta niejako z automatu staje się prowincją. Jak głęboką – to zależy nie tyle od fizycznego oddalenia, co od modelu centralizmu, który zresztą nie zawsze musi być opresyjny, a nawet może być wysoce efektywny. Jak w każdej strukturze hierarchicznej.

Co jest opozycją lokalności? Jest nią uniwersalność albo globalność, powszechność. Czy może funkcjonować coś, co jest unikalne, związane z konkretnym „tu”, ale o wymiarze uniwersalnym? Czy można działać lokalnie, ale wywoływać skutki w skali globalnej? Czy można uczestniczyć w trendach globalnych, nie wychylając się ze swojej lokalności? Odpowiedź wydaje się być twierdząca. Najłatwiej powołać się na przykłady twórczości wielkich artystów, głęboko zakorzenionych w różnych lokalnościach, których przekaz miał i ma jednak charakter uniwersalny. Czy będzie to Tadeusz Kantor w swoim „małym pokoiku wyobraźni” w rodzinnym Wielopolu, czy Gabriel Garcia Marquez w swoim Macondo, czy też Thomas Mann w Lubece Buddenbroków. To przypadki podnoszenia lokalności do wymiaru uniwersalnego.

Dla lokalności charakterystyczne jest działanie w kooperacji poziomej, w sieci – nie w hierarchii. Im owa sieć bogatsza, rozleglejsza, tym bardziej uprawnione jest mówienie o „glokalności”, czyli sytuacji gdzie to, co globalne łączy się integralnie z tym, co lokalne. Prowincja nie ma powiązań poziomych – jest nastawiona na relacje tylko z centrum.

Siłą lokalności jest samodzielność, podmiotowość, wyjątkowość własnych zasobów, zdolność do innowacji i znajdowania własnej drogi. Siłą prowincji jest ściśle wypełnianie reguł, trzymanie się nadesłanych procedur, lojalność wobec centrum – która czasem bywa nagradzana – oraz rutyna i perfekcja.



Dla lokalności charakterystyczne jest działanie w kooperacji poziomej, w sieci – nie w hierarchii. Jej siłą jest samodzielność, podmiotowość, wyjątkowość własnych zasobów, zdolność do innowacji i znajdowania własnej drogi.

Co buduje lokalność, co buduje prowincjonalność?

Prowincję buduje oświecony absolutyzm, absolutyzm ciemny pogrąża ją zupełnie. Lokalność potrafi radzić sobie sama, rozkwita w systemie władzy opartym na zasadzie pomocniczości, natomiast w warunkach ciemnego absolutyzmu znajduje sposoby, by minimalizować straty.

Obszary, w których najbardziej objawia się siła lokalności: to aktywność kulturalna i polityka dziedzictwa, polityka środowiskowa, system – a zwłaszcza treści – edukacji publicznej, system zarządzania, w tym system finansów publicznych oraz zarządzanie w sferze społecznej (polityka socjalna, rynek pracy etc.).

Proces prowincjonalizacji pogłębiają wielkie, ogólnonarodowe narracje, w których nie ma miejsca dla lokalnych bohaterów, regionalnych ethosów, własnych odchyleń od ogólnonarodowej historii. Przykładowo: w cieszyńskim ratuszu wisiały portrety cesarzowej Marii Teresy i Józefa II. W lokalnym rozumieniu to dobrodziejstwo – założyciele tzw. „Komory Cieszyńskiej”. Instytucja ta zapewniała przez długie lata *prosperity* miasta i regionu. W najnowszych czasach pojawiły się naciski, by je usunąć jako portrety zaborców. Problem w tym, że Cieszyn nie należał do Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a więc nie podlegał rozbiorom. Przytaczam ten przykład aby wskazać na niebezpieczeństwo rozumowania, według którego te części Polski, które nie przeżyły powstania listopadowego, styczniowego czy akcji „Burza”, są symboliczną prowincją, której losy i tradycje są czymś marginalnym, drugorzędym. Lokalność – wręcz przeciwnie – na takich wartościach buduje swoją siłę.

Nie bądźmy jednak idealistami. Lokalność może oznaczać prowincjonalność – dzieje się tak wtedy gdy ekspozuje się wartości ksenofobiczne, gdy odrzuca się perspektywę glokalności.

Bo w gruncie rzeczy jest tak, że lokalność to wybór miejsca obserwacji i działania, a prowincjonalność to wybór ich horyzontu.



**Lokalność to wybór miejsca obserwacji i działania,
a prowincjonalność to wybór ich horyzontu.**

O autorze

Janusz Sepioł – architekt i historyk sztuki, wieloletni Architekt Wojewódzki. W latach 2002-2006 Marszałek Małopolski a następnie Senator RP VII i VIII kadencji. Inicjator szeregu przedsięwzięć kulturalnych i budowy obiektów kultury na terenie Małopolski. Członek rad programowych szeregu muzeów i Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie. Laureat nagrody im. J. Regulskiego i Medalu Honorowego SARP. Autor kilku książek z zakresu architektury (m.in. „Architekci i historia” i „Forms Follow Freedom”). Członek SARP i Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Poczucie sprawczości rozwija skrzydła lokalności



ALEKSANDRA DULKIEWICZ

Prezydent Gdańska

Dobrze, gdy z obywatelską troską o najbliższą okolicę łączy się poczucie, że faktycznie coś od nas zależy. Po to przecież chcemy się angażować w sprawy naszego miasta, osiedla czy nawet podwórka, aby móc dołożyć swoją cegiełkę i – jakkolwiek górnolotnie by to zabrzmiało – zmienić świat na lepsze.

Miasta od zawsze przyciągają ludzi swoim dynamizmem i nadzieją na możliwość stworzenia lepszej wersji siebie. Przybycie do nich często wiąże się z tęsknotą za wyrwaniem się z dotychczasowego środowiska, pragnieniem ucieczki od znanych schematów czy obietnicą anonimowości. Równocześnie, kiedy osiedlimy się już na stałe, w większości z nas nadal tli się tęsknota za bliską społecznością – za sąsiedztwem, w którym nie trzeba zamykać drzwi na klucz, gdzie możemy liczyć na wsparcie (np. przyniesienie zakupów, gdy jesteśmy w potrzebie), a rozmowy z sąsiadami są miłą codziennością.

“ **W większości z nas tli się tęsknota za społecznością – za sąsiedztwem, w którym nie trzeba zamykać drzwi na klucz, gdzie możemy liczyć na wsparcie, a rozmowy z sąsiadami są miłą codziennością.** ”

Po okresie zachwyty nad indywidualizmem (któremu sprzyjał czas transformacji), miejskie społeczności zaczęły w ostatnich kilkunastu latach coraz głośniejsze domagać się lepszych warunków rozwoju dla działań sąsiedzkich: miejsc spotkań, klubów, domów sąsiedzkich czy centrów lokalnych. W Gdańsku ten ruch stał się ważnym kamieniem milowym w tworzeniu polityki dzielnicowej, której kolejnym etapem był dynamiczny rozwój rad dzielnic i licznych inicjatyw oddolnych stanowiących obecnie filar naszej polityki lokalnej.

W Gdańsku działa 35 rad dzielnic oraz 22 domy/kluby sąsiedzkie prowadzone przez organizacje pozarządowe. Realizowane są również niezliczone inicjatywy organizacji, grup nieformalnych, sieci zainteresowań, które stanowią o witalności miasta i unaoczniają wyzwania związane z moderowaniem miejskiej sąsiedzkości. Jakże to wyzwania?

W obszarze pracy ze społecznościami często mówimy o „odporności miasta” wobec różnorodnych wyzwań współczesności. Chcielibyśmy, żeby wspólnoty sąsiedzkie przejmowały odpowiedzialność za miejsce, w którym żyją, wspierały swoich członków, aktywnie i konstruktywnie włączały się w lokalną debatę, planowanie itp. Wielkim sprawdzianem odporności był początek pandemii, kiedy w sytuacji niepokoju i braku systemowych rozwiązań to właśnie społeczności lokalne wypełniły swoją energią i zaangażowaniem przestrzeń – szyjąc maseczki, robiąc zakupy potrzebującym, podnosząc ludzi na duchu w tym trudnym momencie. Ten zryw pokazał siłę wspólnoty, obudził w nas nadzieję i wielką wdzięczność w trudnym momencie lockdownu.

Jednak systemowa pomoc nie powinna opierać się na „zrywach” Naszym zobowiązaniem jest zapewnianie mieszkańcom stałego wsparcia zawsze, gdy jest ono potrzebne. Konieczne jest wykorzystanie mocnych stron dwóch aspektów: pasji sąsiedzkiej i stałości instytucjonalnej. Umiejętność stworzenia warunków partnerskiej współpracy pomiędzy tymi dwoma światami i uczenie się na podstawie zdobytych doświadczeń, to duże wyzwanie dla rozwoju społeczności lokalnych. Tym bardziej, że różnica w logice ich funkcjonowania powoduje spory, które powinniśmy umieć moderować i z których powinniśmy się uczyć – zwiększając zakres wpływu obywatelskiego na system oraz czerpiąc z jego witalności.

Rozumiemy przecież, że obywatelskość nie powinna ograniczać się jedynie do troski, rozmowy, stawiania pytań – kluczowe jest poczucie, że faktycznie coś od nas zależy. Po to przecież chcemy się angażować w sprawy naszego miasta, osiedla czy nawet podwórka, aby móc dołożyć swoją cegiełkę i – jakkolwiek górnolotnie by to zabrzmiało – zmienić świat na lepsze.

Budowanie więzi społecznych ufundowanych na zaufaniu to proces. Dom, szkoła, wspólnota lokalna, rada dzielnic czy panel obywatelski – to tylko niektóre z wielu miejsc, w których możemy spojrzeć drugiemu człowiekowi w oczy, porozmawiać, zgadzać się z nim, czy też różnić, ale praktykować sąsiedzką opartą na szacunku i dialogu. Właśnie tak zaczyna się budowanie wspólnoty, a doskonalenie narzędzi wspierających te wspólnoty to nasze stałe wyzwanie i zobowiązanie.

“ **Dom, szkoła, wspólnota lokalna, rada dzielnic czy panel obywatelski – to tylko niektóre z wielu miejsc, w których możemy spojrzeć drugiemu człowiekowi w oczy, porozmawiać, zgadzać się z nim, czy też różnić, ale praktykować sąsiedzką opartą na szacunku i dialogu. Właśnie tak zaczyna się budowanie wspólnoty.**

W moich rozmowach z radnymi dzielnicowymi często podejmujemy tematy dotyczące infrastruktury, wspólnej przestrzeni – dyskutujemy o potrzebie budowy chodnika, przejścia dla pieszych, stworzenia przestrzeni zielonej. Jednak coraz częściej słyszę z ich ust także o potrzebie większego zaangażowania w lokalne działania kulturalne – budujące lokalną tożsamość, pokazujące różne perspektywy i włączające nowych mieszkańców naszej wspólnoty do bezpośredniego zaangażowania. W skali dzielnic może się ona przejawiać oglądaniem filmów pod gołym niebem, wspólnym tworzeniem książki kucharskiej czy upiększaniem przestrzeni lokalnej – wszystkie te inicjatywy dają okazję do budowania relacji i czerpania z bogactwa kultur i doświadczeń.

Życzę nam wszystkim, żebyśmy mieli w sobie otwartość i energię do tego, aby razem z drugim człowiekiem – z członkiem rodziny, sąsiadem, urzędnikiem czy kimkolwiek innym – podejmować wysiłek wspólnego działania na rzecz pozytywnej zmiany naszego otoczenia.

O autorce

Aleksandra Dulkiwicz – samorządowiec i prawniczka, prezydent Gdańska od 2019 r. Wcześniej zastępca prezydenta Gdańska ds. polityki gospodarczej (2017-2019). Pełni funkcję Wiceprezesa Rady Obszaru Metropolitalnego Gdańsk-Gdynia-Sopot oraz jest członkiem Zarządu Fundacji Unii Metropolii Polskich. Absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego oraz Paris Lodron University w Salzburgu.

Oddajmy miasto w ręce mieszkańców



HANNA ZDANOWSKA

Prezydent Łodzi

Miasto należy do jego mieszkańców. Znają je i rozumieją jak nikt inny – są źródłem wiedzy o jego potrzebach, problemach, wyzwaniach. To im na mieście najbardziej zależy – przecież codziennie godzinami przebywają w jego przestrzeni, podobnie jak ich dzieci, rodzice czy dziadkowie. Dajmy im szansę na zarządzanie swoimi małymi ojczyznami – i to już na etapie planowania, nie tylko realizacji. Ich największym sprzymierzeńcami powinni być urzędnicy samorządowi – jako specjaliści od urealniania pomysłów lokalnych społeczności i moderowania ich aktywności obywatelskiej.

Od zawsze wiedziałam, że chcę zmieniać moje miasto. Jeszcze w liceum w ramach prac społecznych budowałam z kolegami i koleżankami Ogród Botaniczny. Wyrównywaliśmy teren, wyznaczaliśmy alejki, sadziliśmy drzewa. Po studiach na Politechnice Łódzkiej budowałam już jako majster łódzkie osiedla – Retkinię i Radogoszcz.

Kiedy w 2010 r. objęłam stery Łodzi, do zrobienia było wszystko. A że od czegoś trzeba było zacząć, to zrobiliśmy ze współpracownikami to, co podpowiadała intuicja: nowa, wielkomiejska ulica Piotrkowska, nowe centrum wokół dopiero co wybudowanej podziemnej stacji kolejowej Łódź-Fabryczna, rewitalizacja, przebudowa trasy WZ i wydłużenie linii tramwajowej na kolejne osiedla. Duże inwestycje, które zmieniły wizerunek Łodzi. Z miasta, w które nikt nie wierzył, zrobiliśmy miasto, z którego wielu z nas jest dumnych.

Miasto współzarządzane przez mieszkańców

Nie wyobrażam sobie swojej pracy bez łódzian – bez rozmów z nimi, spotkań i spacerów. Bez budżetu obywatelskiego i konsultacji. To sami łódzianie dali mi wyjątkową wiedzę o mieście, otworzyli oczy na prawdziwe potrzeby mieszkańców, zwrócili uwagę na problemy, które dla nich są najważniejsze.



To sami łódzianie dali mi wyjątkową wiedzę o mieście, otworzyli oczy na prawdziwe potrzeby mieszkańców, zwrócili uwagę na problemy, które dla nich są najważniejsze.

Gdy kilka lat temu mieszkańcy chcieli posadzić drzewa pośrodku ulicy i nazwać to woonerfem, zrobiliśmy to. Dzisiaj mamy centrum miasta pełne zielonych ulic, najbardziej znane to te, gdzie wiosną malowniczo kwitną wiśnie kanzan. To miejsca pełne życia, sąsiedzkich spotkań, kawiarnianych stolików, kameralnych koncertów, rodzinnych spacerów. To, co z zewnątrz wygląda jak estetyzacja przestrzeni, wyrasta z podstawowych potrzeb każdego z nas – z potrzeby mieszkania, pracowania i życia w miejscu przyjaznym, bezpiecznym, zielonym.

Woonerfy, z których zna nas cały kraj, to jeden z setek projektów wymyślonych przez samych mieszkańców, które zaistniały w Łodzi z pomocą budżetu obywatelskiego. Co roku staramy się go ulepszać, a zaangażowanie łódzian we współtworzenie miasta chcemy rozszerzać na kolejne obszary. Do tego samego zachęcam

wszystkie samorządy: dajmy mieszkańcom zarządzać – na co dzień, lokalnie, po sąsiedzku – ważnymi dla nich projektami, obszarami, miejscami, inwestycjami. I to już na etapie planowania, nie tylko realizacji.

“ **Zachęcam wszystkie samorządy: dajmy mieszkańcom zarządzać – na co dzień, lokalnie, po sąsiedzku – ważnymi dla nich projektami, obszarami, miejscami, inwestycjami. I to już na etapie planowania, nie tylko realizacji.**

My w Łodzi robimy tak od dekady. Oczywiście, to jest proces. Krok po kroku wciągamy mieszkańców we współdecydowanie i współzarządzanie miastem, bo tylko tak można rozwinąć lokalny kapitał społeczny. I krok po kroku, dzień po dniu sami się tego współdziałania uczymy. Zaczęliśmy od spraw podstawowych: pierwsza nowoczesna strategia rozwoju Łodzi była napisana w praktyce przez samych mieszkańców. Zaraz później przyszła pora na rewitalizację – z której Łódź słynna jest już i w Polsce, i w Europie. Bez szerokiej partycypacji społecznej pozostałaby ona wyłącznie pięknym planem, papierową ideą, jak wiele przed nią.

Rozbudzając lokalną aktywność zeszliśmy już kilka lat temu na poziom małych ojczyzn. Wszystko za sprawą „Planu dla Osiedli”, zakładającym objęcie ich siecią drobnych, ale bardzo ważnych dla ludzi inwestycji. Podczas setek spotkań, konsultacji i spacerów po okolicy, mieszkańcy zgłaszają, często mi osobiście, konkretne propozycje. Zazwyczaj niewielkie, ale dla nich przecież najważniejsze: więcej zieleni, równe chodniki, kieszonkowe parki, ułatwienia komunikacyjne, lokalne centra aktywności fizycznej dla młodzieży i seniorów, kosze na śmieci.

To strategicznie pomyślane współzarządzanie, wręcz codzienne współtworzenie miasta przez jego obywateli, idea Łodzi na co dzień współgospodarowanej przez samych mieszkańców, i to od poziomu najbardziej jak tylko można lokalnego, polega właśnie na tym, o czym tu wszyscy mówimy – to sami Łodzianie mają decydować o swoim otoczeniu na ich ulicy, placu, skwerze, parku... To oni uzyskują narzędzia i miejską pomoc dla samoorganizowania się, realizacji własnych pomysłów, wkładania w nie również swojej pracy, odpowiedzialności i środków.

Urzędnik – pomocnik, nie hamulcowy

Dzięki Łodzianom zmienia się Łódź, ale zmienia się też urząd miasta. Za sprawą platformy internetowej Vox Populi, możemy w ekspresowym tempie zapytać mieszkańców o zdanie w każdej sprawie, powołaliśmy Biuro Aktywności Miejskiej – wreszcie wyszliśmy do mieszkańców. Dosłownie. Mamy za sobą już setki spotkań w terenie – zarówno w formie spacerów po osiedlach, które często trwały do zmroku, ale także mobilnej Cafe Magistrat w największych centrach handlowych, bo również tam szukaliśmy i szukamy kontaktu z mieszkańcami.

Lokalność, współtworzenie miasta ma to do siebie, że jeśli ma być naprawdę skuteczne, nie można się w takim procesie zatrzymać. W ślad za zmianami otoczenia i warunków – i to na skalę europejską – przyszła pora na kolejne działania. W tym na zupełnie nową strategię rozwoju Łodzi. Właśnie ją tworzymy. Do dziś w konsultacjach zmierzających do jej opracowania wzięło udział 1200 mieszkańców. Zgłosili ponad tysiąc propozycji. Zdecydowana większość z nich zostanie zrealizowana. Bo nowa strategia Łodzi to nie tylko rewitalizacja, ekologia czy rozwój gospodarczy, to przede wszystkim rozwój więzi społecznych.

“ **Nowa strategia Łodzi to nie tylko rewitalizacja, ekologia czy rozwój gospodarczy, to przede wszystkim rozwój więzi społecznych.**

I na koniec kilka refleksji po rozmowach z łodzianami. Czy urzędnik w ogóle potrzebny jest do postawienia przez kilku sąsiadów dodatkowej ławki na skwerku? W upiększaniu najbliższego otoczenia? Czy urzędnik wciąż niezbędny jest do wymyślania i urządzania pięknego zieleńca pod oknami kamienicy? Przez samych jej mieszkańców? Czy samorządowy urzędnik musi naprawdę oceniać, czy ludzie mają prawo ułatwiać sobie życie?

Urzędnik, samorządowiec, ma w takich sprawach w Łodzi mieszkańcom wyłącznie pomagać. Wskazać sposoby. Pomóc w przejściu przez maksymalnie uproszczoną „papierologię”. Jeśli już w ogóle ma istnieć w takich procesach – to wyłącznie jako spolegliwy pomocnik, skromny i pokorny moderator lokalnej aktywności. Codziennej aktywności mieszkańców, ich lokalnych nieformalnych stowarzyszeń, ich firm, ich własnej pracy dla Łodzi. Taką Łódź dziś z mieszkańcami współtworzymy i planujemy. Bo tylko taka ma sens.

“ **Urzędnik ma mieszkańcom w ich oddolnych inicjatywach wyłącznie pomagać – powinien być spolegliwym pomocnikiem, skromnym i pokornym moderatorem lokalnej aktywności.**

O autorce

Hanna Zdanowska – od 2010 r. Prezydent Łodzi. W latach 2007-2010 posłanka do Sejmu RP, od 2006 r. była radną Rady Miejskiej, a następnie Wiceprezydentem Łodzi. Wcześniej pełniła też funkcję dyrektora biura Łódzkiej Izby Przemysłowo-Handlowej. Absolwentka inżynierii środowiska na Wydziale Budownictwa i Architektury Politechniki Łódzkiej.

Przełamać miejski centralizm



dr
WOJCIECH SZCZUREK

Prezydent Gdyni

Prawdziwa demokracja zaczyna się w wymiarze sąsiedzkim. Lokalne – dzielnicowe, osiedlowe czy nawet podwórkowe – wspólnoty są natomiast naturalnie predestynowane do tego, by decydować o swoim najbliższym otoczeniu, by realizować swoje potrzeby oraz rozwiązywać własne problemy. Aby jednak mogły to wszystko wziąć na swoje barki, potrzebują mądrego i odpowiedzialnego samorządu, który nie będzie blokował ich energii, lecz ją uwalniał. W jaki sposób może to robić? Jak miejskie władze mogą przyczynić się do budowy oddolnych wspólnot? Dlaczego ich funkcjonowanie jest tak ważne szczególnie teraz – w tak złożonym i niestabilnym świecie?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Dlaczego w miastach – nie tylko zresztą – mieszkańcy łączą się w różnego rodzaju wspólnoty? Czy jedynym, zasadniczym powodem są sprawy doraźne, którym przyświeca konkretny cel, jak np. budowa szkoły w okolicy czy stworzenie przejścia dla pieszych w niebezpiecznym miejscu?

Nie tylko. Mam wrażenie, że wspólnotowość staje się dziś generalnie odpowiedzią na rzeczywistość, w jakiej żyjemy. Każdego z nas przytłacza złożoność współczesnych procesów gospodarczych i politycznych, instytucje państwa stają się coraz bardziej abstrakcyjne, coraz trudniej nam się w tym świecie połączyć, znaleźć punkt odniesienia. Gdy natomiast pojedynczy obywatel nie rozumie tego, co dzieje się wokół niego – traci poczucie bezpieczeństwa, kontroli. Będąc natomiast częścią wspólnoty, nie jesteśmy już „rozbitkami dryfującymi po szerokim morzu”. Daje nam ona pewien kompas, pozwala lepiej rozumieć zachodzące wokół procesy, odnajdywać się w nich. Dzięki temu czujemy się znacznie bezpieczniej.

Czy włodarzom miast powinno zależeć na rozkwicie silnych miejskich, sąsiedzkich czy nawet podwórkowych wspólnot?

Żywię głębokie przekonanie, że siła miasta polega na sile wspólnoty i jej aktywności. Wspólnotowość jest podejściem bardzo mi bliskim, które w gruncie rzeczy jest pewnym sensem, filozofią myślenia samorządowego. Próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, czym jest gmina lub miasto, najważniejszą odpowiedzią nie jest historia, tożsamość czy infrastruktura, lecz właśnie wspólnota. Prawidłowe myślenie o samorządzie to natomiast myślenie, jak tę wspólnotę wzmacniać, pamiętając przy tym, że w skali takiej, jak miasto można rozumieć ją na bardzo różnych poziomach – są przestrzenie wspólnotowości całego miasta, dotyczące dzielnic, ale też sąsiedztwa, bliskości, pewnych tradycji związanych z miejscami czy z ludźmi, którzy w nich żyją.



Wspólnotowość jest sensem, filozofią myślenia samorządowego. Próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, czym jest gmina lub miasto, najważniejszą odpowiedzią nie jest historia, tożsamość czy infrastruktura, lecz właśnie wspólnota.

Jak zatem wzmacniać miejskie wspólnoty?

Najlepszą drogą jest ich zrozumienie oraz upodmiotowienie – to podejście powinno przyświecać każdej świadomej, odpowiedzialnej władzy samorządowej. W praktyce polega to w dużej mierze na tym, by na każdym szczeblu poprzez różne instrumenty, mechanizmy włączać mieszkańców do procesów decyzyjnych, wspierając ich równocześnie w rozumieniu zachodzących wokół procesów.

Przez lata utarło się jednak przekonanie, że tacy aktywni, mocno identyfikujący się z miastem mieszkańcy mogą stanowić problem. Oni od miasta wymagają, oni z miastem dyskutują, oni wychodzą z własnymi inicjatywami, które miastu mogą być zwyczajnie nie po drodze...

Myślę, że grzech centralizacji to nie tylko cecha władzy na szczeblu państwowym – dotyczy on także miast. Gdybyśmy spojrzeli na reguły ustrojowe w Polsce – Konstytucję, ustawy samorządowe – to myślę, że są one zupełnie nieźle napisane. Problem jest jednak z praktyką. Kluczem jest zasada subsydiarności, czyli rzeczywiste zrozumienie, że wspólnoty są w stanie same doskonale rozwiązywać wiele swoich problemów. U nas owa subsydiarność często pozostaje jedynie na poziomie deklaracyjnym.

“ **Grzech centralizacji to nie tylko cecha władzy na szczeblu państwowym – dotyczy on także miast.**

Relacje między wspólnotami sąsiedzkimi, dzielnicowymi a gminą wymagają zrozumienia ze strony tej ostatniej, że nie posiada ona wyłącznego mandatu do mądrości i odgórnego wskazywania, w jaki sposób ma się rozwijać oraz jakie mają być tego rozwoju priorytety. Władze samorządowe powinny raczej za każdym razem myśleć, co mogłyby zrobić, by włączyć w proces podejmowania decyzji mniejsze wspólnoty oraz by pomóc im w skutecznym i samodzielnym rozwiązywaniu swoich problemów.

Prawdziwa demokracja zaczyna się bowiem właśnie w wymiarze sąsiedzkim. Gdy jako samorządowcy to rozumiemy, nie będziemy mieli problemu z samoograniczeniem się i wyposażaniem „niższych”, np. dzielnicowych struktur w różne narzędzia, środki i kompetencje służące temu, by same mogły one podejmować decyzje i je realizować. Takie podejście różnicuje mapę miasta, pogłębia proces podejmowania decyzji, ale koniec końców – przybliża je do mieszkańca. Uruchamia to lokalnych aktywnych, zaangażowanych liderów. Jeżeli bowiem mieszkaniec ma poczucie, że dostaje w swoje ręce realną kompetencję, ma realny wpływ na to, co dzieje się w jego otoczeniu, to będzie się w to angażował, będzie poświęcał swój czas. Ludzie są racjonalni – nie chcą uczestniczyć w fasadowych strukturach, które również pochłaniają czas i energię, a na końcu przynoszą marne efekty. Muszą mieć poczucie, że to, w co się angażują, ma sens.

“ **Jeżeli mieszkaniec ma poczucie, że dostaje w swoje ręce realną kompetencję, ma realny wpływ na to, co dzieje się w jego otoczeniu, to będzie się w to angażował, będzie poświęcał swój czas.**

Z perspektywy mieszkańca – udział w wyborach samorządowych i zagłosowanie na opcję samorządową odpowiadającą jego poglądom, filozofii, sposobowi myślenia o mieście, to za mało?

Jeśli procesy identyfikacji z tym, co dzieje się w wymiarze lokalnym mają być prawdziwe, nie wystarczy raz na cztery lata dokonać wyboru rady gminy czy wójta, burmistrza lub prezydenta. Chodzi o to, by w sposób ciągły, permanentny mieć wpływ na to, co nas otacza – wówczas nasza identyfikacja z miejscem, w którym

żyjemy rośnie, zwiększa się nasza aktywność obywatelska, tworzy się kapitał społeczny, co z kolei przekłada się na szereg korzyści społeczno-ekonomicznych. Jest to ewolucja miejskiej społeczności w dobrą stronę.

Czy z perspektywy samorządowców lepszym sposobem na budowanie miejskiej wspólnotowości są działania „twarde”, związane np. z organizacją fizycznej przestrzeni spotkań, czy też „miękkie”, dotyczące chociażby kultury czy edukacji?

Jestem głęboko przekonany, że obydwa typy działań należy łączyć i realizować je równolegle. Tak też zresztą pokazuje praktyka. Na takich fundamentach opierał się chociażby gdyński program rewitalizacji, w którym procesy przekształcania lokalnej infrastruktury przeplataliśmy z inicjatywami integrującymi społeczność lokalną. Doświadczenie to było bardzo wartościowe – wskazało nam klarownie, że nawet w pewnych zdegradowanych obszarach miasta poczucie wspólnotowości wśród mieszkańców może być bardzo silne. To dzięki ich aktywności i zaangażowaniu, dzięki rozmowom z nimi i wsłuchaniu się w ich głos, udało nam się zorganizować przestrzeń w taki sposób, by mogli się w niej spotykać, realizować pewne działania. Uwolniło to ich aktywność obywatelską i przyniosło wspólny efekt.

Uważam, że nie ma jednej, złotej recepty na budowanie wspólnotowości – ona może się tworzyć podczas zupełnie różnych doświadczeń, aktywności. Pretekstem może być nauka szydełkowania albo wspólnego gotowania. Czasem może to być doświadczenie kultury, doskonale na taką potrzebę odpowiada też sport. Często wystarcza po prostu miejsce do spotkania się i porozmawiania.

Odpowiednia organizacja przestrzeni ma zatem znaczenie.

Oczywiście – świadczy o tym chociażby popularność projektów dotyczących tworzenia parków kieszonkowych w ramach budżetu obywatelskiego. W różnych częściach Gdyni szukamy niewielkich przestrzeni znajdujących się bardzo blisko obiektów mieszkalnych, w których chcemy aranżować formuły parkowe. Dostępność przestrzeni spotkania sprzyja budowaniu wspólnotowości.

Symbolem tego, o czym mówię jest też moja własna obserwacja. Czasem przed rozpoczęciem pracy wybieram się na Bulwar Nadmorski, żeby zobaczyć wschód słońca. To bardzo kojący krajobraz, zdarza mi się rozpoczynać tam dzień. Zauważyłem pewną prawidłowość: choć wieczorem służby miejskie ustawiają na Bulwarze ławeczki w rzędach, to o poranku wiele z nich jest ustawionych w inny sposób, przypominający kręgi. Zrozumiałem, że ludzie spotykając się nie chcą siedzieć obok siebie, tylko ze sobą – tak, by móc komfortowo rozmawiać, budować relację. Jak widać, wiele można zdziałać nawet samym przesunięciem ławeczek. Staramy się o tym pamiętać organizując miejską przestrzeń.

“ **Ludzie spotykając się nie chcą siedzieć obok siebie, tylko ze sobą – tak, by móc komfortowo rozmawiać, budować relację.**

Znajdujemy się jednak nie w Hiszpanii czy Włoszech, lecz w Polsce, gdzie istotnym ograniczeniem spotykania się w przestrzeni miejskiej może być pogoda. Nawet najlepsze ułożenie miejskich ławeczek nie pomoże, gdy za oknem deszcz, wiatr lub mróz. Co miasto może zrobić, by budowanie wspólnotowości nie odbywało się wyłącznie sezonowo?

Znakiem czasu pierwszych dwóch-trzech dekad kształtowania samorządu było myślenie o różnych potrzebach mieszkańców. Przez ten czas przeżyliśmy chociażby gruntowną rewolucję w zakresie możliwości spędzania czasu wolnego. Po latach komunizmu zaczęły powstawać przestrzenie, w których mogliśmy się spotkać – najczęściej były to punkty komercyjne, jak np. restauracje czy kawiarnie. Mogliśmy wyjść z domu

i zobaczyć się tam ze znajomymi, przyjaciółmi. Cały czas brakowało jednak ogólnodostępnych, otwartych dla każdego przestrzeni publicznych, w których można byłoby aranżować takie spotkania. Zidentyfikowaliśmy, że mieszkańcy Gdyni chętnie z takich miejsc by korzystali.

Odpowiedzią na tę potrzebę są tworzone przez miasto Przystanie. Mamy ich w tym momencie w Gdyni pięć, są one rozsiane po różnych dzielnicach. W placówkach tych organizujemy różne formy aktywności aktywizujące lokalne społeczności. Spotykają się one z dużym zainteresowaniem. W ramach Przystani mogą się także organizować sami mieszkańcy. W tym względzie prym wiodą lokalni seniorzy, choć aktywni są także najmłodsi. Przystanie stały się chociażby ulubionym miejscem młodzieży w wieku szkolnym – spotykają się w nich, by grać w gry planszowe. Cieszy mnie też, że wiele aktywności w ramach Przystani – czy to organizowanych przez miasto, czy to przez samych mieszkańców – ma charakter międzypokoleniowy. Nie muszę chyba dodawać, że obiekty te funkcjonują przez cały rok – niezależnie od tego, jaka jest za oknem pogoda.

O rozmówcy

Dr **Wojciech Szczurek** – od 1998 r. Prezydent Gdyni, z działalnością samorządową związany od 1990 r. W latach 2006-2010 był doradcą Prezydenta RP ds. samorządu. Laureat licznych nagród i wyróżnień dla najlepszych samorządowców w kraju. Uhonorowany m.in. tytułem „Lider Dostępności”, „Włodarz 25-lecia”, nagrodą Fundament Rzeczypospolitej im. Michała Kuleszy. W 2015 r. odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W VIII edycji ogólnopolskiego rankingu Perły Samorządu 2020 przygotowanego przez Dziennik Gazetę Prawną i Deloitte zajął pierwsze miejsce w kategorii „Najlepszy włodarz miasta powyżej 100 tys. mieszkańców”. Doktor nauk prawnych, z zawodu sędzia.

Lokalny wymiar miasta



JACEK SUTRYK

Prezydent Wrocławia

Trudno wyobrazić sobie lokalność bez utożsamiania się z najbliższym otoczeniem. Najlepiej jest więc, by nasze „sąsiedztwo” miało swój silny wymiar „lokalny”. Jak w dokonaniu tego może pomóc miasto?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Jak duży wpływ na rozwój miasta ma siła lokalnych wspólnot – dzielnicowych, osiedlowych, podwórkowych?

Ich wpływ jest nie do przecenienia. Urządzanie nowoczesnego miasta to ciągłe wybory – gdzie wybudować osiedle, jakie ma ono być, jak je skomunikować, jak urządzić zieleń, pobudować basen czy kort, zacząć od stworzenia tej czy innej drogi... Same pytania, które wymagają trafnych i do tego szybkich odpowiedzi. Te z kolei jednych zadowolą bardziej, innych mniej. Bo życie w miejskiej strukturze to sztuka kompromisu i dialogu. Ktoś zyska bardziej i natychmiast, a ktoś inny musi się uzbroić w cierpliwość – takie jest po prostu miasto. Oczywiście, są eksperci, którzy w poszczególnych obszarach próbują na te pytania odpowiadać, ale nie dość, że nie zawsze są zgodni, to jeszcze świat pędzi do przodu i nie zawsze nadążają. Dlatego tak ważna jest opinia samych mieszkańców – współpraca z nimi, ich sugestie oraz finalna akceptacja danego projektu czy pomysłu. Sam jako prezydent staram się wsłuchiwać w te głosy, najlepiej z bliska. Nie lubię obserwować zmian z perspektywy gabinetu, nie trafia do mnie przekonanie, że „z góry widać więcej”.

W jaki sposób miasto może jeszcze bardziej uwolnić potencjał lokalnej, obywatelskiej energii?

Dobrym przykładem jest Wrocławski Budżet Obywatelski, który uruchomiliśmy już w 2013 r., czyli daleko przed tym, gdy wprowadzono centralne, ustawowe obowiązki w tym zakresie. We wszystkich dotychczasowych edycjach nasi mieszkańcy zgłosili już ponad 4,5 tys. projektów. Osiem lat WBO to także tysiące oddanych głosów i 410 zwycięskich projektów, na realizację których wydaliśmy już ponad 170 mln zł. Moim zdaniem jest to kwintesencja naszego wrocławskiego, partycypacyjnego sposobu myślenia – mieszkańcy mają coraz silniejszą świadomość, że ich głos nie liczy się tylko przy okazji wyborów, ale może okazywać się decydujący także na co dzień. Dlatego też finanse miasta konstruujemy w taki sposób, by pula, o której bezpośrednio mogą decydować wrocławianie, była coraz większa.

Tworzymy również kolejne programy miejskie, które służą wzmocnieniu osiedli: Fundusz Osiedlowy, Mikro-granty, Rewitalizacja odNowa, Osiedla Kompletne, Nowe Kompetencje Rad Osiedli, przed nami również program Silne Społeczności Lokalne. Każdy z nich obudowany jest stosownymi narzędziami, które są kierowane bezpośrednio do mieszkańców Wrocławia i rad osiedli, ale także do organizacji pozarządowych, grup nieformalnych, przedsiębiorców, związków wyznaniowych, jednostek organizacyjnych miasta. Wszystko po to, by jeszcze bardziej wzmacniać współzarządzanie miastem na poziomie osiedli. Chcemy, aby mieszkańcy czuli się współodpowiedzialni za Wrocław.



Tworzymy liczne programy miejskie, których celem jest wzmacnianie współzarządzania miastem na poziomie osiedli. Chcemy, aby mieszkańcy czuli się współodpowiedzialni za Wrocław.

Wróćmy na chwilę do pomysłów mieszkańców na ulepszenie przestrzeni miasta. Jakiego typu inicjatywy często się wśród nich przewijają?

Zwróciłbym przede wszystkim uwagę na parki kieszonkowe. Te miniparki mogą się składać zarówno z drzew, jak i roślinności niskiej, ozdobnej oraz krzewów. Przeważnie są w nich wytyczone nowe ścieżki oraz zainstalowana mała architektura, sprzyjająca wypoczynkowi wśród zieleni, spotkaniu się, posiedzeniu z książką. Co roku urządzamy kilka-kilkanaście „kieszzonek” i coraz łatwiej na nie trafić, spacerując po mieście. Stanowią one najlepszy dowód na to, że mieszkańcy miasta chcą przestrzeni, w których będą mogli wspólnie spędzać czas – spotkać się, wyprowadzać psa, wychodzić z dziećmi, czy nawet po prostu poprzebywać trochę wśród zieleni. To tam poznajemy się, rozmawiamy, konfrontujemy pomysły na dalszy rozwój terenu, tworzymy społeczeństwo obywatelskie. Co więcej, parki kieszonkowe są przejawem nowego myślenia o przestrzeni miejskiej – stanowią one próbę przeciwdziałania zmianom klimatu. Zieleń może być naszym antidotum – „kieszonki” to bowiem zatrzymywanie wody, cień, bioróżnorodność.



Mieszkańcy miasta chcą przestrzeni, w których będą mogli wspólnie spędzać czas – spotykać się, wyprowadzać psa, wychodzić z dziećmi, czy nawet po prostu poprzebywać trochę wśród zieleni. To tam poznajemy się, rozmawiamy, tworzymy społeczeństwo obywatelskie.

Dodatkowo, w ramach projektu badawczego pod nazwą „Grow Green”, zazieleniliśmy ul. Daszyńskiego i kilka okolicznych podwórek, tworząc parki kieszonkowe, w których nasadziliśmy w sumie 103 drzewa. Chcemy w ten sposób sprawdzić, na ile zieleń pomaga w walce z tzw. „miejskimi wyspami ciepła”. Ten sam program jest także realizowany w Manchesterze czy Walencji.

W Pana przypadku nie sposób nie zapytać o media społecznościowe. Jak *social media* wpływają na budowanie siły sąsiedztwa i lokalności we Wrocławiu?

Terminy „sąsiedztwo” i „lokalność” są ze sobą bardzo związane, ale mogą znaczyć trochę co innego. Teoretycznie można być sąsiadami mieszkającymi obok siebie, ale niewchodzącymi sobie nawzajem w drogę i niespecjalnie zainteresowanymi tym sąsiedztwem. Trudno zaś wyobrazić sobie lokalność bez zainteresowania i utożsamiania się z najbliższym otoczeniem. Najlepsze jest więc połączenie tych dwóch czynników.

A mieszkańcy – według moich obserwacji – chcą działać na rzecz lokalnej społeczności, gdy czują, że są jej ważną częścią. Tak w istocie przecież jest – Wrocław to jego mieszkańcy, to nasza największa energia, największy kapitał naszego miasta. I w tym kontekście uważam, że aktywność w mediach społecznościowych może sprzyjać takiemu zbliżeniu, może budować związki z naszą małą ojczyzną. To, jak mi się wydaje, niezwykle ważne szczególnie w czasie pandemii, gdy jest nam trudniej spotykać się osobiście.



Mieszkańcy chcą działać na rzecz własnej społeczności, gdy czują, że są jej ważną częścią.

Sąsiedztwo i lokalność – szczególnie w tak międzynarodowym mieście jak Wrocław – mają szczególny charakter?

I tak, i nie. Faktycznie Wrocław to miasto międzykulturowe i otwarte, w którym każdy powinien czuć się jak u siebie. Jednak wiele zagadnień jest takich samych jak we wspólnocie, która ma zaledwie stu czy tysiąc mieszkańców. Żyjemy tymi samymi problemami. Przecież ludzie zwracają się z bardzo konkretnymi bolączkami: że w jakimś miejscu brak toalety, że ścieżka rowerowa się urywa, że drzewo może się wywrócić, że dziura w drodze itd. Wszyscy – także ja, jako prezydent miasta – w tym uczestniczymy, jeździmy tymi samymi drogami, biegamy po tych samych parkach, denerwujemy się na te same sprawy, cieszymy się tymi samymi sukcesami. Nasze sąsiedztwo i lokalność – niezależnie skąd kto do Wrocławia przyjechał – to wspólne obcowanie w przestrzeni miejskiej.

O rozmówcy

Jacek Sutryk – od 2018 r. Prezydent Wrocławia. Wcześniej w latach 2011-2018 Dyrektor Departamentu Spraw Społecznych Urzędu Miasta Wrocławia, a w latach 2007-2011 – Dyrektor Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej we Wrocławiu. Absolwent socjologii na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego, doktorant Kolegium Społeczno-Ekonomicznego Szkoły Głównej Handlowej, wykładowca w Szkole Głównej Pedagogicznej w Warszawie.

Dlaczego wracamy do lokalności?



LUK PALMEN

Prezes Zarządu InnoCo, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Pandemia Covid-19 uczy nas pokory. Kolejne lockdowny, praca zdalna, bezrobocie spowodowane tymczasowym lub stałym zamknięciem tysięcy małych firm sprawiły, że ludzi ogarnęła niepewność. Nagle staliśmy się bardziej świadomi, że oprócz zaspokojenia potrzeb materialnych, do szczęśliwego życia potrzebujemy również spełnienia tych duchowych, nadających naszemu życiu sens. Jakże jeszcze są dziś płaszczyzny rozwoju naszej świadomości? Skąd się biorą? Dlaczego kierują nas w stronę lokalności?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Mówi się dziś często, że społeczeństwa są coraz bardziej świadome, dzięki czemu coraz chętniej „powracają” do lokalności. Jakich przestrzeni dotyczy ów wzrost świadomości i jak przekłada się on na większe zainteresowanie najbliższym otoczeniem?

Wskazałbym cztery takie obszary. Pierwszym z nich jest świadomość pochodzenia – coraz większą uwagę zwracamy na pochodzenie surowców, półproduktów i produktów. Dziś już niekoniecznie najlepsze jest to, co tanie i dostępne w dużych ilościach – a taki dogmat obowiązywał przecież przez wiele lat. Konsumenci coraz częściej nie chcą kupować dóbr i usług wytwarzanych w krajach, gdzie toczą się wojny, gdzie są łamane prawa człowieka, gdzie w imię dostępu do surowców niszczy się środowisko naturalne. To oczywiście pozytywny aspekt, jednak rosnąca świadomość pochodzenia można też wykorzystać w negatywny sposób – w postaci protekcjonizmu gospodarczego.

Czy rosnąca w społeczeństwie świadomość pochodzenia produktów widać też na poziomie lokalnym?

Owszem – trwają dziś dyskusje nad tym, co można lokalnie wytwarzać, sprzedawać i powtórnie wykorzystywać w ramach gospodarki o obiegu zamkniętym, w tym z wykorzystaniem lokalnych surowców i na podstawie rozproszonej produkcji. Po kryzysie gospodarczym z lat 2007-2009, gdy pojawiło się wysokie bezrobocie i zamknięto wiele firm z różnych branż, ludzie zaczęli lokalnie handlować, wymieniać się ze sobą, nadawać pomieszczeniom i przestrzeniom nowe funkcje. Porzucili swój indywidualizm, stawiając na współpracę. Ten trend trwa do dziś – tworzone są np. lokalne kooperatywy spożywcze.

Swoje trzy grosze dołożyła też pandemia Covid-19, która odcisnęła duże piętno na różnego typu lokalnych biznesach. Uruchomionych zostało wiele działań, aby te aktywności gospodarcze wesprzeć. Gminy inicjowały kampanie typu „kup lokalnie”, platformy crowdfundingowe organizowały zbiórki na pokrycie podstawowych kosztów funkcjonowania kawiarni czy restauracji. Dzięki sprzedaży voucherów na przyszłe usługi, przynajmniej chwilowo przetrwało wiele małych firm usługowych, znajdujących się „za rogiem”. W ramach swoich skromnych możliwości konsumenci zaczęli bardziej świadomie dbać o to, co jest dostępne i dostarczane lokalnie.



Za sprawą pandemii konsumenci zaczęli bardziej świadomie dbać o to, co jest dostępne i dostarczane lokalnie.

Jakie są kolejne przestrzenie zmian mentalnościowych społeczeństw?

Następuje wzrost świadomości wagi jakości życia. Coraz więcej ludzi chce aktywnie kreować rzeczywistość, współuczestniczyć w wytwarzaniu produktów i usług. Niekoniecznie muszą oni być ich właścicielami – wystarczy, że będą przez pewien czas ich użytkownikami. Stąd też przed pandemią zyskały popularność takie inicjatywy, jak rowery miejskie, udostępnianie swoich mieszkań czy *car sharing*. Choć ekonomia współdzielenia doznała ostatnio tąpnięcia, to jestem pewien, że odrodzi się po pandemii. Dlaczego? Obecny kryzys skutkuje tym, że więcej osób coraz bardziej intensywnie korzysta z usług cyfrowych w codziennym życiu. A to przecież właśnie na nich firmy z obszaru ekonomii współdzielenia zaczęły budować swoje imperia. Gdy pandemia się zakończy, grupa klientów w segmencie *sharing* będzie znacznie większa.

“ **Obecny kryzys skutkuje tym, że więcej osób coraz bardziej intensywnie korzysta z usług cyfrowych w codziennym życiu. A to przecież właśnie na nich firmy z obszaru ekonomii współdzielenia zaczęły budować swoje imperia. Gdy pandemia się zakończy, grupa klientów w segmencie *sharing* będzie znacznie większa.**

Mówiąc jednak o jakości życia, nie możemy zapomnieć o tym, że wiele osób przeszło Covid-19 lub nawet straciło z powodu tej choroby swoich bliskich. Dla tych, którzy doznali przykrych doświadczeń, w ostatnich miesiącach wiele na znaczeniu zyskało pojęcie bliskości – z rodziną i znajomymi, z naturą, także z samym sobą w postaci np. zdefiniowanego na nowo balansu między pracą, a życiem prywatnym. To również może prowadzić ludzi w kierunku lokalności – troski tego, co wokół nich.

Co jeszcze dodałby Pan do swojej listy społecznych zmian mentalnościowych?

Społeczeństwa mają coraz większą świadomość ograniczeń. Ograniczeń w dostępie do dobrej jakości wody, energii, czystego powietrza, przestrzeni czy surowców, co wiąże się z rosnącą populacją globu oraz zmianami klimatycznymi. W ciągu 40-50 lat setki milionów ludzi będą musiały wyprowadzić się ze swoich miast i wiosek z powodu powodzi, suszy czy braku wody. Ludzie ci będą szukali lepszego miejsca do życia. Potrzebne będą wówczas rozwiązania, które lokalnie zapewnią odzysk surowców i produktów, zminimalizują oddziaływanie procesów produkcji i transportu na środowisko, a także pozwolą mieszkańcom na utrzymanie odpowiedniego poziomu życia przy znikomym negatywnym wpływie na bioróżnorodność i ład przestrzenny.

Nie bez znaczenia są tu działania podejmowane na poziomie Komisji Europejskiej w ramach tzw. Zielonego Ładu, czy też na szczeblu krajowym i regionalnym, za sprawą tzw. sprawiedliwej transformacji gospodarczej. Gospodarka o obiegu zamkniętym, respektująca bioróżnorodność i zrównoważone podejście wobec zasobów może być odczytywana jako irracjonalna ekonomicznie w krótkiej perspektywie. Niemniej pamiętajmy o naszej zbiorowej odpowiedzialności wobec kolejnych generacji ludzi na Ziemi.

Czy jest coś jeszcze?

Wzrost świadomości przenikania granic. Społeczeństwa coraz bardziej doświadczają wszechobecności informacji, powiązań, również ingerowania w ich życie. Zdają sobie sprawę z tego, że nie tylko ludzie mają dostęp do świata, ale że świat ma dostęp do nich – nawet do ich prywatności. Od wielu osób w różnym wieku słyszę, że zamknęli swoje konta na Facebooku czy LinkedInie, coraz mniej bowiem chcą się dzielić swoją tożsamością.

Rozwój technologii informacyjnych początkowo przyczynił się do tego, że czuliśmy się wolni, stanowiliśmy część większych wydarzeń, itd. W wyniku nadmiernej ingerencji w życie prywatne, wiele osób zniechęciło się jednak do świata cyfrowego.

“ **Ludzie zdają sobie dziś sprawę z tego, że za sprawą nowoczesnych technologii nie tylko mają dostęp do świata, ale też, że świat ma dostęp do nich – nawet do ich prywatności.**

Pandemia pokrzyżowała chyba ich plany do funkcjonowania offline...

Owszem – zmusiła do pozostania w sieci. W innym wypadku osoby te byłyby skazane na izolację. W internecie da się dziś załatwić znacznie więcej niż jeszcze kilkanaście miesięcy temu: e-deklaracje w urzędzie, e-konsultacje u lekarza, e-recepty, e-zamówienia, e-porady, e-zakupy, itd.

Generalnie jednak izolacja społeczna wpływa rujnująco na nawiązywanie i utrzymywanie relacji międzyludzkich. Do czego może to prowadzić?

Do wzrostu alienacji. Podobnie było zresztą przed drugą wojną światową, tyle że z powodu wzrostu popularności masowej produkcji. Stworzyła ona grunt dla rozwoju ruchów ekstremistycznych, populistycznych lewicowych i prawicowych, które nadawały ludziom sens życia. Dziś z kolei mówi się, że demokratyczna elita liberalna straciła kontakt z rzeczywistością i tylko ruchy populistyczne są w stanie wsłuchać się w głos i potrzeby społeczeństwa.

Dlaczego mieszkamy w to nagle politykę?

Ludzie oczekują dziś bowiem zapewnienia im możliwości współtworzenia czegoś, współuczestniczenia w czymś, pomocy w znajdowaniu wartości. Szukają kogoś lub czegoś, co nada ich życiu sens. Partie populistyczne są tego świadome i mówią: „Wiemy, że szukacie sensu i wartości, wysłuchamy was, damy wam sens, pokażemy wam, że jesteście ważni i potrzebni”.

“ **Ludzie oczekują dziś zapewnienia im możliwości współtworzenia czegoś, współuczestniczenia w czymś, pomocy w znajdowaniu wartości. Szukają kogoś lub czegoś, co nada ich życiu sens.**

Nie ma przeciwwagi, która mogłaby wypełnić tę lukę?

Przeciwwaga musi wyjść od strony społeczeństwa – od ruchów zainicjowanych, wspieranych i kultywowanych na poziomie lokalnym, opierających się na społeczeństwie obywatelskim, angażujących mieszkańców. To właśnie na poziomie lokalnym można najlepiej przeciwstawić się populizmowi. Inicjatywy na tym szczeblu oddziałują znacznie skuteczniej na miejscowe społeczności i są w stanie niwelować alienację, dać poczucie sensu.

Dobłą stroną pandemii jest to, że przyczyniła się ona do tego, że ludzie odkryli na nowo podstawowe więzi w swoim lokalnym ekosystemie. Dzielnicowe, osiedlowe kontakty nagle ponownie nabrały sensu. Uświadomiliśmy sobie, że za twarzami pielęgniarek, artystów, fryzjerów, kasjerek i wielu innych stoją wspaniali ludzie. Spontanicznie – m.in. w mediach społecznościowych – łączyliśmy się w akcjach na ich rzecz, zaczęliśmy ich

bardzo doceniać. Tak jak trudno przychodziło nam to wcześniej, tak prosta nagle okazała się postawa niezobowiązującego udzielenia się. Zasadnicze pytanie – w tym momencie - brzmi: czy dzisiejsza spontaniczność przekształci się w jeszcze bardziej trwałe inicjatywy funkcjonujące także „jutro”? Czy może cechą charakterystyczną nowego, postpandemicznego wydania społeczeństwa obywatelskiego będzie chwilowość?

“ **Czy dzisiejsza spontaniczność przekształci się w jeszcze bardziej trwałe inicjatywy funkcjonujące także „jutro”? Czy może cechą charakterystyczną nowego, postpandemicznego wydania społeczeństwa obywatelskiego będzie chwilowość?**

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na generację młodych ludzi, przyzwyczajoną do nowoczesnych technologii, które bombardują ich tysiącem różnorodnych impulsów. Wbrew pozorom, często utrudniają im rozumienie siebie samych oraz podejmowanie decyzji. Utrudniają, bo gdy chcą robić jedną rzecz, dostają informację o stu innych, którymi mogliby się w tym samym czasie zająć. Tymczasem młode pokolenie chce się angażować, chce być częścią „czegoś” – najlepiej „czegoś”, co ma sens.

Czym jest ów kilkakrotnie przytaczany już przez Pana sens?

Nie ma jednej dobrej odpowiedzi na to pytanie. To kwestia indywidualna – każdy traktuje ją inaczej. Nie zmienia to jednak faktu, że z doświadczeń chociażby firm i organizacji zatrudniających młodych ludzi dobrze widać, że bardzo trudno ich motywować, gdy nie pokazuje się sensu pewnych rzeczy. Kiedy o coś ich prosimy, na coś wskazujemy, chcemy ich zaangażować, często pytają o to, jaki jest cel ich zaangażowania. Myślą sobie – „skoro mam tyle innych możliwości i wyborów, to jaki jest sens, że mam robić akurat to”.

Być może to zjawisko jest pochodną tego, że każdy z nich codziennie korzysta z internetu, ma kontakt z różnego typu impulsami, lajkami itp. W końcu pojawia się w ich głowach pytanie: „Kim jestem i co dokładnie chcę osiągnąć”. Nie chcą robić czegoś intuicyjnie, lecz raczej działają w sposób skalkulowany, przemyślany. Młodzi – czego się często nie zauważa – są bardziej świadomi swoich wyborów niż starsze pokolenie, ale przez to również bardziej indywidualnie nastawieni na dążenie do realizacji swoich planów.

W perspektywie nadchodzących lat wielką rolę metropolii, innych dużych skupisk ludzkich oraz w ogóle naszych miejsc zamieszkania będzie więc stwarzanie różnych możliwości, które mieszkańcy będą mogli uznać za „kreujące” sens. Nasze otoczenie lokalne będzie zapewniało nie tylko jakość, ale także sens życia.

“ **Wielką rolą metropolii, innych dużych skupisk ludzkich oraz w ogóle naszych miejsc zamieszkania będzie stwarzanie różnych możliwości, które mieszkańcy będą mogli uznać za „kreujące” sens. Nasze otoczenie lokalne będzie zapewniało nie tylko jakość, ale także sens życia.**

Nasze środowiska lokalne – nasze miasta, dzielnice, ale też wsie – będą zatem pełniły nową funkcję?

Owszem – chodzi o wytworzenie poczucia związku z lokalnym otoczeniem, o sytuację, w której człowiek czuje, że może je zmieniać, że może je aktywnie współtworzyć. Dzięki temu pojawia się nie tylko poczucie bycia częścią czegoś, ale również odpowiedzialności za okolicę, dbania o to, co wspólne, kształtowania tego, co wokół nas.

Natomiast bez stworzenia więzi z miejscem czy z lokalną społecznością ludzie będą usposobieni coraz bardziej nomadycznie. Będą wracali po pracy, do domu, włączali smartfona, synchronizując się ze światem tysięcy impulsów, ale całkowicie bez powiązania z lokalnym środowiskiem. Nie będą wiedzieli, co się dzieje w ich otoczeniu, w lokalnym środowisku społecznym czy centrum kultury. Będzie następowało społeczne wykorzenienie.

“ **Bez stworzenia więzi z miejscem czy z lokalną społecznością, ludzie będą usposobieni coraz bardziej nomadycznie. Będzie następowało społeczne wykorzenienie.**

Na ile jest to wina ludzi, a na ile nowoczesnych technologii, z których wręcz nałogowo korzystamy?

Oczywiście, nasza rzeczywistość i poczucie sensu stają się coraz bardziej zwirtualizowane. Nie wszyscy są w stanie sobie z tym poradzić. Szukają rozwiązania, starają się odnaleźć w pewnej tożsamości. Nie oznacza to jednak, że nowoczesne technologie same w sobie są złe – nie są one przyczyną alienacji, a jedynie jej potencjalnym narzędziem.

Jak wiemy, pandemia Covid-19 przyspieszyła procesy transformacji cyfrowej. Wiele osób pracuje zdalnie, robimy zakupy w internecie, a w przedsiębiorstwach postępują procesy automatyzacji i robotyzacji. Jeśli hasło „zdalnie” wiąże się z tym, że człowiek będzie stosunkowo więcej robić rzeczy z domu, to być może będziemy chcieli na nowo zdefiniować pojęcie „domu” i „lokalności”, nabierając większego dystansu do ingerencji technologii cyfrowych w nasze życie.

Możemy jednak chyba pomyśleć także o pozytywnej ingerencji, która nie byłaby wcale taka zła?

Coraz powszechniej użytkujemy dostępne narzędzia cyfrowe, więc szczególnie warto zastanowić się dziś chociażby nad tym, czy tworzymy wirtualne przestrzenie do kreatywnego budowania lokalnych społeczności, czy może raczej wykorzystujemy je do ich burzenia i antagonizowania? W internecie łatwo wyłącznie krytykować i wprowadzać destruktywność, a znacznie trudniej coś tworzyć, budować. Choć oczywiście nie twierdzę, że takie działania się nie pojawiają.

“ **W internecie łatwo wyłącznie krytykować i wprowadzać destruktywność, a znacznie trudniej coś tworzyć, budować.**

Na przykład w debatach z lokalnymi społecznościami widzimy często postulaty dotyczące budowania lepszych relacji między samorządem a mieszkańcami, w tym w kontekście komunikowania o życiu w mieście. Widać, że ludzie oczekują informacji, pozbawionych plotek i *fake newsów*, o tym, co się dzieje w ich lokalnej społeczności, do czego mogą się przydać i w co mogą się angażować. Jest tu również przestrzeń na nowe formy konstruktywnej i usystematyzowanej współpracy między samorządami a lokalnymi zrzeszeniami działającymi na co dzień tak w „realu”, jak i w „wirtualu”.

Czy powrót do lokalności jest spowodowany także tym, że mamy dosyć globalizacji, jesteśmy nią znużeni?

Powrót do lokalności w pewnej mierze wynika z rozczarowania negatywnymi konsekwencjami globalizacji, wiąże się też jednak z rosnącą niepewnością wynikającą z sytuacji geopolitycznej. Spójrzmy na to, co dzieje się na arenie międzynarodowej: bezwładność Narodów Zjednoczonych w odniesieniu do konfliktów na Bliskim Wschodzie, konsekwentna chińska polityka kolonizacji gospodarczej w Afryce i Europie, zachwiane relacje w międzynarodowej wymianie handlowej, próby kontrolowania światowego handlu surowcami, ataki na organizacje i kraje w internecie, pandemia Covid-19. Wszystko to stwarza poczucie niepewności. Gdy świat zaczyna być coraz bardziej nieprzewidywalny, naturalnie szukamy stabilnego otoczenia lokalnego. Powiedzenie „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej” nabiera tu nowego znaczenia.

“ **Gdy świat zaczyna być coraz bardziej nieprzewidywalny, naturalnie szukamy stabilnego otoczenia lokalnego. Powiedzenie „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej” nabiera tu nowego znaczenia.**

O rozmówcy

Luk Palmen – Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego, współzałożyciel i Prezes Zarządu InnoCo. Prowadzi usługi doradcze i coachingowe w zakresie strategii rozwoju i zarządzania innowacjami w przedsiębiorstwach oraz w jednostkach naukowych. Jest członkiem rad nadzorczych spółek technologicznych. Od ponad 10 lat zajmuje się doradztwem i coachingiem w zakresie zarządzania innowacjami, zarządzania MŚP, zarządzania klastrami oraz komercjalizacji technologii. Prowadził w tym okresie ponad 100 konferencji, seminariów i warsztatów. Angażuje się w promowanie innowacyjnych modeli współpracy w gospodarce. Jest autorem i współautorem praktycznych przewodników w zakresie foresightu, komercjalizacji technologii oraz klastrów. Jest menedżerem ds. innowacji i kooperacji Klastra Silesia Automotive & Advanced Manufacturing. W funduszu założkowym Akcelerator Technologiczny Gliwice jest ekspertem odpowiedzialnym za weryfikację zgłoszonych projektów B+R we wczesnych fazach rozwoju i doprowadzenie ich do gotowości inwestycyjnej.

Siła lokalności – na czym polega, jak ją wydobywać?



prof.
CEZARY OBRACHT-PRONDZYŃSKI

Uniwersytet Gdański

Jakich wspólnot lokalnych potrzebujemy dziś w Polsce? Na czym powinna opierać się ich siła? Dlaczego miarą ich dojrzałości jest identyfikacja z całym swoim dziedzictwem – nie tylko tym chlubnym, ale i wstydlwym? Kiedy lokalna wspólnotowość bywa zabójcza dla nietypowości, a kiedy jest w stanie pobudzać twórczość jej członków? Jak dojść do zgody, w której mimo dzielących nas różnic potrafimy ze sobą wspólnie żyć? Czym, wreszcie, różni się mieszkaniac od obywatela?

Niniejszy tekst powstał na bazie wystąpienia podczas XIII Kongresu Obywatelskiego.

Często pytamy, dlaczego jedne narody czy państwa przegrywają, a inne wygrywają. Podobnie jest ze społecznościami lokalnymi – co przesądza o ich sukcesie? Czy zależy on od tzw. renty położenia (np. bliskości metropolii czy granicy)? A może od dostępu do zasobów naturalnych? Czy może ważniejsze są walory turystyczne, dobrej jakości środowisko i bogate dziedzictwo? Wszystkie te czynniki się liczą. Ale niekiedy są społeczności żyjące tuż obok siebie, z których jedna „idzie do przodu”, a drugiej idzie jak po grudzie... Banalne, ale prawdziwe będzie stwierdzenie – za sukcesem kryją się zawsze ludzie. Dotyczy to szczególnie lokalnych społeczności.

Z perspektywy rozwoju całego kraju dobrze rozwinięte społeczności lokalne są niezbędne. Ale jednocześnie niczego nie gwarantują. Nie powinno się też lokalności idealizować, do czego niekiedy mamy skłonność, zwłaszcza twierdząc, że jest ona ostoją tradycji, prawdziwych, rodzimych wartości itp. Tak się bowiem dzieje, że lokalne społeczności ulegają bardzo głębokim transformacjom. Jest to widoczne szczególnie w Polsce – kształtowały je wojna i jej wpływ na ludność, kolejne fale migracji, procesy modernizacji socjalistycznej, transformacja i rewolucja technologiczna. Dzisiaj lokalne społeczności są mieszanką ciągłości i zerwania, zasiedlenia i wykorzenienia, swojskości i obcości. Są przy tym bardzo zróżnicowane – niekiedy nawet dwie wsie czy dwa małe miasteczka położone po sąsiedzku bywają bardzo odmienne.

Czy można jednak opisać warunki i kryteria dobrej lokalności? Na własny użytek używam kilku elementów, tworząc regułę dobrej lokalności: kulturę obywatelską, otwartość, wiedzę, autokrytycyzm, tożsamość, zaangażowanie i aktywność, liderów, instytucje i samorządność. Dlaczego?

Kultura obywatelska

Nie ma silnych społeczności lokalnych tam, gdzie nie ma rozwiniętej kultury obywatelskiej, gdzie ludzie są tylko mieszkańcami, lecz nie są obywatelami. Mieszkańcem się jest, obywatelem trzeba się stać. Wszystkie kolejne cechy i zasady wyrastają z obywatelskości i na nią wpływają.



Nie ma silnych społeczności lokalnych tam, gdzie nie ma rozwiniętej kultury obywatelskiej, gdzie ludzie

są tylko mieszkańcami, lecz nie są obywatelami. Mieszkańcem się jest, obywatelem trzeba się stać.

Otwartość

Być obywatelem oznacza być razem z innymi. Trzeba z tymi innymi chcieć i umieć być – choć dziś najlepiej wychodzi nam chyba bycie przeciwko innym. Nieustannie mówimy: lokalna wspólnota! Pragnienie wspólnoty jest dziś bardzo silne i napędza wiele społecznych zachowań. Istotą lokalności zawsze były relacje personalne, osobiste, bezpośrednie, silne, bazujące na emocjach. Jednocześnie jednak nie wolno zapominać, że wspólnota może narzucać i bezwzględnie egzekwować własne normy, co powoduje, że może nie być w niej miejsca na nonkonformizm, na odmienność, na inność właśnie. Lokalna wspólnotowość potrafi być zabójcza dla nietypowości, poza-standardowości i twórczości, zwłaszcza gdy podważa ona utarte autorytety i rozbija zastałe struktury.

Dlatego sprawdzianem jakości współczesnej lokalnej wspólnoty obywatelskiej jest to, na ile potrafi przestrzegać zasady księdza prof. Janusza Pasierba: „Cieszę się, że jesteś... inny”. Uznanie podmiotowości „innego” jest przy tym nie tylko normą pragmatyczną, ale przede wszystkim etyczną. Oznacza uznanie w nim człowieka, nawet jeśli się od nas zasadniczo różni.

“ **Lokalna wspólnotowość potrafi być zabójcza dla nietypowości, poza-standardowości i twórczości, zwłaszcza gdy podważa ona utarte autorytety i rozbija zastałe struktury. Dlatego sprawdzianem jej jakości jest to, na ile potrafi przestrzegać zasady księdza prof. Janusza Pasierba: „Cieszę się, że jesteś... inny”.**

Jak to dziś wygląda w lokalnych wspólnotach w Polsce? Wzmocnieni nacjonalistycznym powiewem stajemy się niechętni już nie tylko wobec osób różniących się skórą, językiem czy religią, ale nawet wobec tych, którzy – choć są tacy jak my – „różnią się” jednak np. światopoglądem czy postawą ideową. Doświadczenie zaś mówi nam, że trzeba bardzo niewiele, aby się nienawidzić. Nazywam to „polityką małych różnic”, które rodzą tragedie.

Warto przy tym pamiętać o tym, co pisał Lech Bądkowski w kontekście odrzucania otwartości tuż po doświadczeniach drugiej wojny światowej: „Izolacjonizm narodowy daje pożywkę jawnej ksenofobii. Nieuchronnie ścieśnia horyzonty, spłaszcza kulturę, obniża zasięg i poziom myślenia”.

Wiedza

Otwartość i chęć bycia z innymi wymagają odpowiednich kwalifikacji intelektualnych. Te możemy nabyć tylko za pomocą edukacji i praktyki. A więc w obywatelskość trzeba zainwestować: czas, energię i uwagę, czyli trzy najbardziej deficytowe dobra we współczesnym świecie. Nie ma zmiłuj – trzeba się uczyć. Trzeba znać siebie i swoją wspólnotę. Ale też trzeba wiedzieć, jak działać, jak być aktywnym, jak organizować życie społeczne. Liczą się więc aspiracje perfekcjonistyczne (Maria Ossowska), czyli stałe dążenie ku lepszemu, doskonalenie się. Największym zagrożeniem są zaś niedbalstwo i bylejakość.

Wiedza o sobie też jest ważna, daje bowiem tak potrzebną pewność własnych korzeni, doświadczenia, kultury. Z tego wyrasta szacunek do samych siebie. Oraz – ponownie – otwartość na innych, którzy mogą nas ubogacić, a nie zdominować, podporządkować. Jest niezwykle paradoksem, że nader chętnie mówimy o swojej wielkości i sile, a jednocześnie tak lekko reagujemy na wszelkie oznaki odmienności. Skoro jesteśmy tak mocni, czegoż się obawiamy? Tych kilku tysięcy uchodźców? Pozostawionego na naszych obecnych ziemiach dziedzictwa Niemców lub Żydów?

Niestety, wskazuje to na to, że mamy tak naprawdę do czynienia z ignorancją, która rodzi niepewność, a tę zwykle przykrywamy pokrzykiwaniem o (dawnej) wielkości, ogromie zasług i niezmaconej szlachetności. Tymczasem miarą siły społeczności, szczególnie lokalnych, są zdolność identyfikacji z całym dziedzictwem – i tym wspaiałym, i tym podłym – oraz otwartość na nowe elementy kulturowe, ponieważ historia jest ważna, ale to terażniejszość przesądza o tym, kim będziemy. Trzeba iść do przodu, mając giętkie umysły, lecz sztywne karki.

“ **Miarą siły społeczności, szczególnie lokalnych, są zdolność identyfikacji z całym dziedzictwem – i tym wspaiałym, i tym podłym – oraz otwartość na nowe elementy kulturowe, ponieważ historia jest ważna, ale to terażniejszość przesądza o tym, kim będziemy.**

Autokrytycyzm

Tylko wiedza dająca nam pewność pozwala na autokrytycyzm, a więc krytyczne myślenie o naszej przeszłości i terażniejszości. Tymczasem my, szczególnie w społecznościach lokalnych, doskonale radzimy sobie z byciem krytycznym wobec „onych”. Z samokrytycyzmem jest już znacznie gorzej. A żeby był on możliwy, konieczny jest humor i dystans do siebie. Jedenaste przykazanie kaszubskie brzmi: „raz na dzień sprawdź, czy potrafisz się śmiać z samego siebie”. Nie jest mi znany żaden przypadek silnej wspólnoty obywatelskiej, w której ludzie są pozbawieni poczucia humoru. Ani tym bardziej nie znam żadnej dobrej wspólnoty obywatelskiej, w której jest się piętnowanym za żart. Poczucie humoru i dystans do siebie bowiem są najlepszą receptą na egoizm i indywidualistyczny cynizm, które mają destrukcyjny wpływ na sferę obywatelską, a więc wspólnotową.

Tożsamość

Pochodzę z Kaszub, pracuję w Gdańsku, ale mieszkam w Bytowie – małym mieście położonym już „za granicą”, po niemieckiej stronie, na terenie historycznego pogranicza między Pomorzem Zachodnim a Nadwiślańskim. Mówię o sobie, że jestem bytowiakiem, Kaszubą rodem z Gochów i zarazem Kociewiakiem z pogranicza chojnicko-starogardzkiego, gdańszczaninem, Pomorzaninem, bardzo dobrze czującym się w każdym zakątku regionu. A zarazem Polakiem i Europejczykiem.

Podkreślam to, bo wszystkie te tożsamości są ze sobą w zgodzie i czynią moje życie ciekawszym. Ale jednocześnie wiążą się ze zobowiązaniami wobec różnorodnych wspólnot. I niekiedy narażają na stygmatyzowanie, bo ciągle można spotkać takie osoby, które nie rozumiejąc naszych skomplikowanych losów, czują się powołane i uprawnione do oceniania naszej polskości, naszego patriotyzmu, naszej historii. Dlatego nigdy dość podkreślania, że mamy prawo do własnej pamięci. Że mamy prawo do odmienności i tożsamości. Domaganie się prawa do bycia sobą jest szczególnie ważne w czasie, kiedy zdają się triumfować ci, którzy za wszelką cenę chcą narzucić ujednociającą, „glajszlachtującą”, nacjonalistyczną i niekiedy nawet autorytarną narrację.



Mamy prawo do własnej pamięci. Mamy prawo do odmienności i tożsamości. Domaganie się prawa do bycia sobą jest szczególnie ważne w czasie, kiedy zdają się triumfować ci, którzy za wszelką cenę chcą narzucić ujednolicającą, „glajszlachtującą”, nacjonalistyczną i niekiedy nawet autorytarną narrację.

Mój lokalny świat jest mały i wielki zarazem. Każdy, kto jest zanurzony w lokalną wspólnotę, wie, jak wielkiej cierpliwości i odpowiedzialności ona wymaga. Odpowiedzialności za słowo, gest, uczynek. Ponieważ nawet – wydawałoby się – niewinne słowa potrafią okrutnie zranić, podzielić, rozłamać lokalne społeczności. Z tak ogromną łatwością rzuca się dziś słowa, które dzielą, sieją strach, rodzą uprzedzenia i trwonią zaufanie, którego i tak nam brakuje.

W moich lokalnych społecznościach staramy się łączyć doświadczenia i opowieści różnych ludzi – dawnych i współczesnych mieszkańców, obcych i swoich, zakorzenionych i wędrujących, przybywających dobrowolnie, ale i pod przymusem, mówiących różnymi językami, chodzących do różnych świątyń lub niechodzących tam wcale, wyznających różne ideologie i preferujących odmienne style życia.

Żyję w świecie zróżnicowanym i doskonale zdaję sobie sprawę, że oblicza lokalności mogą być bardzo różne. Wiem, że lokalność może być przepojona lękiem, zamknięta w bolesnych wspomnieniach, izolacyjna i nieufna, zastraszone oraz uzależniona od dominujących osób, instytucji czy środowisk. Polska zdaje się dzisiaj coraz bardziej „zwielokrotnioną, przestraszoną, zamkniętą i nieufną wsią”. Żyjącą w myśl zasady: moja chata z kraja. Czekać na słowa z ust najważniejszej osoby w kraju: dajcie nam spokój! Zostawcie nas samych sobie. Tyle że lokalność (i Polska) w takim wariacie staje się swoją karykaturą. I jest skazana na przegraną.

Kultura zaangażowania i odpowiedzialności

Siła społeczności lokalnych, a więc także Polski i Europy, bierze się bowiem z zaangażowania obywateli. Z ich aktywności społecznie użytecznej. Warunkami takiego zaangażowania są: możliwość spotkania (stąd rola miejskich i wiejskich przestrzeni – miejsc spotkań), staranie się o kulturę dialogu i kulturę konfliktu (trzeba się umieć kłócić!) oraz docenianie kompromisu, ponieważ nie ma zaangażowania obywatelskiego tam, gdzie jedni arbitralnie narzucają swoją wolę.

Podkreślę – zgoda polega na zrozumieniu i uznaniu różnych interesów, poglądów, opinii, sądów i postaw. Nie dąży się w niej do tego, aby wszyscy myśleli tak samo i byli równi. Nie chodzi o to, abyśmy się nie różnili, ale o to, byśmy mimo tych różnic potrafili razem żyć. Przestroga niech będzie maksyma dawnych Gdańszczan, widniejąca na Złotej Bramie w Gdańsku, od strony ulicy Długiej: *Concordia res publica parvae crescunt, discordia magnae concidunt*, a więc: „Zgodą małe państwa wzrastają, niezgodą wielkie upadają”.



Zgoda polega na zrozumieniu i uznaniu różnych interesów, poglądów, opinii, sądów, postaw. Nie dąży się w niej do tego, aby wszyscy myśleli tak samo i byli równi. Nie chodzi o to, abyśmy się nie różnili, ale o to, byśmy mimo tych różnic potrafili razem żyć.

Pamiętajmy – tylko praktyka jest sprawdzianem intencji. Trzeba się włączać, partycypować i uczyć aktywności, bo to fundament kultury obywatelskiej. Najgorszym zaś jej przeciwnikiem jest lenistwo – zabiegi o dobro wspólne wymagają wysiłku. Obywatelstwo to ciężka praca. A prawda o nas jest taka, że jesteśmy dość leniwi intelektualnie: nie czytamy, nie wiemy i już nawet się tego nie wstydzimy. Ba – niewiedza uwalnia od wstydu, poczucia winy i odpowiedzialności. Jest zatem bardzo pragmatycznie użyteczna.

Jeśli jednak chcemy być prawdziwie obywatelami, musimy brać odpowiedzialność, a więc mieć odwagę.

Liderzy

Nie ma silnych społeczności lokalnych, gdy nie ma w nich liderów, bo to oni podejmują wysiłek budowania lokalnych społeczności. Na podstawie mojego doświadczenia mogę stwierdzić, że w każdym miejscu jest taki „ktoś”. Rola lidera polega przede wszystkim na włączaniu ludzi i uczeniu się z nimi aktywności. Wszystko zaczyna się od małych gestów i prostych działań, byleby były skuteczne, bo dają poczucie sprawstwa i sensu.

Warunkiem bycia dobrym lokalnym liderem jest uznanie podmiotowości ludzi i obdarzanie ich szacunkiem. Bez tego nie będzie warunków do rzetelnej, otwartej polemiki i krytyki. Lider musi umieć sobie z nią radzić i być na nią otwarty. Najgorsze, co może zrobić, to wejść w rolę ofiary. A u nas to powszechne, przy czym najchętniej ofiarą staje się... władza (od dołu aż po szczyty). Temu zresztą towarzyszą skłonność i upodobanie do obrażania się – jak się nie obrazisz, to nie jesteś ważny.

Lider nie może być „udzielnym księciem”, czy też „patronem”, bo wtedy z niechęcią będzie patrzył na tych, którzy „wyrastają powyżej trawy” (i szybko ich „zetrze”). Tacy liderzy nie lubią niekontrolowanej i niepodporządkowanej aktywności, bo to burzy spokój, tworzy nowe relacje, osłabia dotychczasowe autorytety (osobowe i instytucjonalne). Niestety, w lokalnych społecznościach panują silna tendencja do petryfikowania i stabilizowania „dotychczasowego porządku” i równie silna niechęć oraz obawa przed jego zmianą. Ale także niepokojąca jest sytuacja, gdy „z zewnątrz” przychodzi „impuls”, aby lokalnego lidera (jednostkę bądź grupę, a niekiedy instytucję) osłabić, zdyskredytować i tym samym podporządkować sobie daną społeczność lokalną. Sprawdzianem jej siły jest to, czy i na ile potrafi ona swoich liderów wesprzeć.

Instytucje

Pomocne w tym są instytucje. W ocenie ich jakości liczą się: procedury i skłonność do ich przestrzegania (sprawiedliwość proceduralna), zdolność do podejmowania decyzji i chęć podporządkowania się im (sprawiedliwość decyzyjna), zaangażowanie w tworzenie i funkcjonowanie instytucji, ochrona ich autorytetu. Niestety, trzeba to mocno podkreślić – mamy w Polsce niezwykłą łatwość niszczenia ładu instytucjonalnego, co wynika z nieopuszczającej nas „nerwicy reformacyjnej” i przekonania, że my to zrobimy lepiej, że dopiero teraz będzie tak, jak powinno być.

Tymczasem współpraca między instytucjami w ogromnym stopniu przesądza o jakości „tkanki społecznej”. Instytucje leżą bowiem u podłoża kultury obywatelskiej i nie ma mowy o silnych i zdrowych społecznościach lokalnych, w których dochodzi do destrukcji ładu instytucjonalnego. Instytucje są gwarancją ochrony dziedzictwa kulturowego, dają społeczności lokalnej poczucie wartości, sprzyjają mobilizacji społecznej oraz tworzą szansę na ochronę praw mniejszości, osłaniając przed uzurpacjami i woluntaryzmem większości.

Samorządność

Na koniec – nie ma lokalności bez samorządności! Oczywiście, różne są tradycje samorządów w Polsce. I różnie wygląda ich obecny stan. Znajdziemy przykłady spektakularnych sukcesów i bolesnych porażek. Nie zmienia to jednak tego, że silne społeczności lokalne są zawsze samorządne. A największym dla nich zagrożeniem jest centralizm, karmiący się nieufnością wobec oddolnych inicjatyw oraz wiarą, że „my wiemy lepiej, czego wam

potrzeba". Pokusa centralizmu w Polsce jest niezwykle silna. Tymczasem Lech Bądkowski w młodzieńczym szkicu *O krajowości*, napisanym w kwietniu 1946 r., stwierdzał, myśląc o przyszłym samorządnym ustroju Polski: „Demokratyczności ustroju nie uzyskuje się prostym istnieniem kłócących się partii, ale wprężeniem możliwie najszerszych mas ludności do służby państwu. Nigdy nie uda się tego uzyskać przez stawianie bezpośrednio odległego ideału państwa przed oczyma zwykłego obywatela”.

“

**Silne społeczności lokalne są zawsze samorządne.
A największym dla nich zagrożeniem jest centralizm,
karmiący się nieufnością wobec oddolnych inicjatyw
oraz wiarą, że „my wiemy lepiej, czego wam potrzeba”.**

A więc to nie kłócące się partie, lecz obywatele aktywni w swoich lokalnych społecznościach są źródłem demokratyczności ustroju. Swoją podmiotowość zaś mogą najpełniej zrealizować w warunkach samorządności. Bądkowski dodawał przy tym: „Miłość do rodzinnej ziemi, tak zwanej małej ojczyzny, umacnia spójnię społeczną i narodową, ukonkretnia tę spójnię, ponieważ w praktyce codziennej tworzy bezpośrednio, najtrwalsze stosunki i związki z ludźmi i z ziemią”.

Dziś, patrząc na Polskę lokalną, widzimy, że potrzebujemy silnych wspólnot obywatelskich: samokrytycznych, opartych na umiarkowaniu i rozsądku, ceniących kompromis, ufających sobie i innym, zdolnych do refleksji, systematyczności i wytrwałości, budujących wysoką kulturę dialogu, ale też sprawne mechanizmy rozwiązywania konfliktów, wreszcie niegodzących się ani na moralistyczny maksymalizm, ani na pesymistyczną mimikrę. Wspólnot działających zgodnie z zasadą dawnych gdańszczan: *nec temere, nec timide* – „ani trwożliwie, ani zuchwale”.

O autorze

Prof. **Cezary Obracht Prondzyński** – pracownik Instytutu Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie jest kierownikiem Zakładu Antropologii Społecznej, a w latach 2005-2012 był dyrektorem tegoż Instytutu. Socjolog, antropolog i historyk. Jego zainteresowania badawcze dotyczą głównie problematyki Kaszub i Pomorza, a ponadto uczestnictwa w kulturze, mniejszości narodowych i etnicznych, kulturowych problemów współczesności, polityki regionalnej, współczesnego społeczeństwa polskiego. Współzałożyciel, a obecnie prezes Instytutu Kaszubskiego.

Jakie „Razem” w mieście?



prof.

PAWEŁ KUBICKI

Uniwersytet Jagielloński, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Więzi społeczne, wspólnota pamięci oraz wspólnota wyzwań – te trzy czynniki w ogromnym stopniu wpływają na budowanie „razem” we współczesnych polskich miastach. Jak sprawić, by miasta faktycznie były dobrem wspólnym ich mieszkańców, a nie sumą prywatnych interesów? Dlaczego miejska „pamięć”, chętnie nawiązująca do tradycji mieszczaństwa, nie może zapominać o swoim bardziej aktualnym, robotniczym dziedzictwie? Dlaczego też, myśląc o przyszłych pokoleniach, powinniśmy dziś stawiać na budowanie miast „sprężystych”?

Dyskusja o „razem” dla miasta to pytanie o jego tożsamość. Pisanie o tożsamości miasta nie jest jednak sprawą łatwą. Kwestie, które odczuwamy intuicyjnie w życiu codziennym najczęściej są trudne do jednoznacznego definiowania. Tak dzieje się z problematyką tożsamości miasta, która wymyka się takim właśnie definicjom. Nie miejsce tu jednak na akademickie debaty, w dalszej części postaram się wskazać na trzy istotne czynniki, które wpływają na budowanie „razem” we współczesnych polskich miastach: więzi społeczne, wspólnotę pamięci oraz wspólnotę wyzwań.

Więzi

Więzi społeczne w mieście kształtują się przede wszystkim dzięki dobremu sąsiedztwu, które stanowi jedną z najważniejszych instytucji społecznych, pozwalających ludzkości przejść z nomadycznego do osiadłego trybu życia. Dzięki temu tworzyły się zręby społeczeństwa opartego na zaufaniu, współpracy i bezpieczeństwie. To właśnie sąsiedztwo pozwala spojrzeć na miasto jak na dobro wspólne. W praktyce w polskich realiach nie jest to takie oczywiste i często można odnieść wrażenie, że miasto sprowadzane jest do sumy prywatnych własności.



Sąsiedztwo pozwala spojrzeć na miasto jak na dobro wspólne. W praktyce w polskich realiach nie jest to takie oczywiste i często można odnieść wrażenie, że miasto sprowadzane jest do sumy prywatnych własności.

Wynika to z wielu czynników. Z jednej strony, jest to efekt polskiego wzoru kulturowego o bardzo silnie zakorzenionym kulcie własności prywatnej i słabych tradycjach kultury miejskiej. Konsekwencje tego widzimy między innymi w postaci licznych osiedli grodzonych czy wszechobecnych tablic z napisami: „wstęp wzbroniony – własność prywatna”. Symbolami naszych miast stają się raczej dzielące płoty, niż łączące i budujące „razem” przestrzenie publiczne. Z drugiej strony, jest to konsekwencja organizowania przestrzeni naszych miast w ostatnich dekadach, czego najbardziej destrukcyjnym przykładem jest masowa suburbanizacja prowadząca do zjawiska nazywanego rozlewaniem się miasta (*urban sprawl*).

Skutkiem tego jest „samotna gra w kręgle” – wypłukiwanie kapitału społecznego ze wspólnot sąsiedzkich. Godziny spędzane w samochodzie odbierają czas, który można poświęcić na kontakty sąsiedzkie i zaangażowanie obywatelskie. Narastający stres i frustracja na polskich drogach prowadzą coraz częściej do agresji, a nie do współpracy i zaufania. Budowa „razem” wymaga powrotu do miast, którym przywraca się miejskość opartą na idei dobrego sąsiedztwa. Nie jest to jednak zadanie łatwe, zwłaszcza w kontekście *signum temporis* naszych czasów: niespotykanej wcześniej mobilności społecznej i masowych migracji.

W tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę na jeden, z pozoru mało istotny problem, który jest właściwie nieobecny we współczesnych debatach o polskich miastach. Chodzi tu o kwestię wspólnot mieszkaniowych, których ramy prawne zupełnie nie pasują do dzisiejszych czasów. Podstawową zasadą funkcjonowania wspólnoty mieszkaniowej – kluczowej instytucji dla budowania i wzmacniania więzi sąsiedzkich, jest zasada, że prawo głosu we wspólnocie mają jedynie właściciele, a najemcy są go pozbawieni. Kiedy w początkach lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku tworzone prawo o wspólnotach mieszkaniowych było to zupełnie zrozumiałe. Po okresie PRL, kiedy to, co wspólne, publiczne postrzegane było jako niczyje i przez to było zaniedbywane, czy wręcz niszczone, powszechnie wierzone, że świadomość bycia właścicielem odmieni tę sytuację. I w dużej mierze tak się stało. Dziś jednak żyjemy w zupełnie innym świecie, gdzie – zwłaszcza w dużych miastach – to już nie własność, ale wynajem, współdzielenie stają się coraz częstszymi doświadczeniami.

Dzieje się tak z kilku powodów. Pierwszym jest mobilność, której nie są w stanie „wyłapać” oficjalne statystyki. Osoby, które nie są zameldowane w danym mieście, nie są wliczane do liczby jego mieszkańców. W polskich miastach mieszkają (w wynajmowanych mieszkaniach) setki tysięcy mieszkańców, których oficjalnie nie ma. O skali tego zjawiska może przekonywać utrzymujący się od lat rynkowy trend lokowania kapitału w mieszkaniach na wynajem, gdzie popyt na takie lokale, mimo utrzymującego się od lat boomu na rynku nieruchomości, wciąż rośnie. Podanie jednak dokładnych danych liczbowych, z uwagi na wspomniane niedoskonałości oficjalnych statystyk, jest niemożliwe. Tytułem przykładu można się odnieść do Krakowa, gdzie liczbę niezameldowanych mieszkańców szacuje się już na ponad 400 tys., przy oficjalnej liczbie mieszkańców wynoszącej 770 tys. Oznacza to, że niemal co drugi dorosły mieszkaniec tego miasta nie ma prawa decydowania o swoim najbliższym sąsiedztwie – wspólnocie mieszkaniowej.

“ **Prawo głosu we wspólnotach mieszkaniowych mają tylko właściciele mieszkań. Oznacza to, że setki tysięcy Polaków mieszkających w wynajmowanych mieszkaniach, jest pozbawionych prawa decydowania o swoim najbliższym sąsiedztwie.**

Trend wynajmu, a nie kupna mieszkań będzie tylko wzrastał, na co wpływ, oprócz kwestii ekonomicznych, mają też nowe wzory kulturowe obserwowane wśród młodszych pokoleń wchodzących na rynek pracy, zwłaszcza tzw. millenialsów. Jedną z cech charakteryzujących tę generację jest to, że jej przedstawiciele nie chcą już posiadać dóbr na własność, ale wolą je współdzielić, wypożyczać, co dotyczy przede wszystkim mieszkań. W takiej sytuacji konieczne jest, aby do lokalnej wspólnoty sąsiedzkiej włączać nie tylko tych, którzy posiadają (są właścicielami), ale też tych, którzy wynajmują. Bez tego nie da się zbudować „razem” we współczesnych miastach.

Wspólnota pamięci

Miejskie „razem” to także wspólnota pamięci. Skutki drugiej wojny światowej były katastrofalne dla wspólnoty pamięci polskich miast. Z jednej strony, w miastach na ziemiach zachodnich i północnych, które znalazły się w nowych granicach Państwa Polskiego, nowi mieszkańcy długo zmagali się z poczuciem obcości tych miejsc,

a wspólnota pamięci miejskiej przekazywana przez kolejne pokolenia została zupełnie zerwana. Z drugiej strony niemal wszystkie polskie miasta straciły swój tradycyjny wielokulturowy charakter, stając się na długie dekady zupełnie monokulturowymi.

W ostatnich latach wiele zrobiono dla przywracania wielokulturowej pamięci polskich miast. Można wręcz mówić o intensywnym procesie wynajdywania miejskości. Problem jednak w tym, że tendencja do odkrywania, (re)konstruowania mieszczańskich tradycji polskich miast miała też swoją drugą stronę medalu. Przywracaniu „sepiowej” tradycji mieszczańskiej, traktowanej jako swoisty raj utracony, towarzyszył intensywny proces zapominania bardziej aktualnego, robotniczego dziedzictwa polskich miast. W tym czasie większość naszych miast przechodziło bardzo bolesny i traumatyczny proces transformacji, utraty swojej dotychczasowej (przemysłowej, robotniczej) tożsamości. Musimy pamiętać, że to właśnie z robotniczych tradycji wyrasta znakomita większość obecnych polskich mieszczan. „Razem” naszych miast nie może się więc opierać jedynie na wielokulturowej, mieszczańskiej pamięci – musi też uwzględniać tradycje robotnicze.

“ **Znakomita większość obecnych mieszkańców polskich miast wyrosła z tradycji robotniczych. Współczesne miejskie „razem” nie może o nich zapominać, skupiając się jedynie na wielokulturowym, mieszczańskim dziedzictwie.**

Wspólnota wyzwań

„Razem” to także wspólnota międzygeneracyjna. Musimy pamiętać, że miasta, w których żyjemy otrzymaliśmy w spadku od poprzednich pokoleń i że po nas przyjdą też kolejne pokolenia. Konieczne jest zatem przywrócenie pierwotnego sensu kategorii zrównoważonego rozwoju. W ostatnich latach termin ten był tak często używany w różnych kontekstach, że zatarta się jego znaczenie, które pierwotnie odnosiło się do takiego rozwoju, który dokonuje się z poszanowaniem trudno odnawialnych zasobów lokalnych. W kontekście gwałtownych zmian klimatycznych, problem ten nabiera na znaczeniu.

Coraz częściej zwraca się uwagę, że miastem przyszłości będzie miasto odporne, „sprężyste” (*resilient city*), zdolne do „sprężystego” reagowania na zagrożenia związane ze zmianami klimatycznymi i zawirowaniami geopolitycznymi. Dzięki temu miasta mogą zapewniać swoim mieszkańcom poczucie bezpieczeństwa, wzmacniać poczucie więzi mieszkańców z miastem. To nie przypadek, że pierwszy udany panel obywatelski w Polsce, który odbył się w Gdańsku dotyczył tego, jak radzić sobie z gwałtownymi zjawiskami meteorologicznymi zagrażającymi miastu, takimi jak np. powodzie. Panele obywatelskie są dziś wskazywane jako jedno z ciekawszych innowacji społecznych, służących wzmacnianiu tożsamości lokalnej, więzi społecznych i zaufania. To zbiorowa mądrość zwykłych obywateli miasta, mających poczucie tego, że mogą wspólnie stawać wobec wyzwań i zagrożeń, z jakimi mierzyć się musi ich miasto oraz tego, że kolejne pokolenia będą miały co po nich dziedziczyć.

“ **Coraz częściej zwraca się uwagę, że miastem przyszłości będzie miasto odporne, „sprężyste” (*resilient city*), zdolne do „sprężystego” reagowania na zagrożenia związane ze zmianami klimatycznymi i zawirowaniami geopolitycznymi.**

Niniejszy tekst powstał w 2019 r.

O autorze

Prof. **Paweł Kubicki** – socjolog i antropolog kultury. Naukowo związany z Instytutem Europeistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się w badaniu tożsamości miast i społeczności lokalnych. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Polska piramida tożsamości i co z niej wynika



EWA KIPTA

architektka, urbanistka

Sąsiedztwo, podwórko, dzielnica są obszarami oferującymi największe możliwości sprawczego wpływania na kondycję wspólnoty. Ta skala jednak często nas nie bardzo interesuje, bo zbyt ostro widzimy występujące w niej różnice opinii, boimy się błędów i wiemy, że trudno w niej o autorytarne narzucanie swoich rozwiązań. „Niestety” – tu da się i trzeba rozmawiać z innymi zainteresowanymi i brać ich opinie pod uwagę. Ma to znacznie większą wartość niż „manie racji”.

Mówiąc o temacie lokalności warto mieć na uwadze zagadnienie porządkujące, które można by nazwać „piramidą tożsamości”. Jest to w istocie układ przynależności grupowych, nie tyle hierarchiczny, co dotyczący środowisk czy wspólnot o różnej skali – od samotniczego „ja”, przez rodzinę, kręgi przyjaciół i znajomych, bliskie i dalsze sąsiedztwa, wspólnoty „geograficzne” wsi, dzielnic czy miasta, subregionów, regionów (m.in. poprzez tradycje), kraju a wreszcie kontynentu czy świata. Do tego wspólnoty wyznaniowe, światopoglądowe, polityczne, wspólnoty „biologiczne”, np. kobiet, mężczyzn, a także wspólnoty ekonomiczne z zasady rozpisywane na grupy interesów. Każdy z nas jest, chcąc nie chcąc, zdefiniowany unikalną kompozycją tych przynależności, nadając im swoją własną hierarchię ważności.

My, Polacy mamy przykry nawyk skupiania się na dwóch poziomach przynależności: rodzinnej i krajowej, pozostałe spychając w podświadomość. Tymczasem jest to bardzo niezdrowa kombinacja – celem rodziny jest (powinno być) bowiem zapewnienie wsparcia swoim członkom, natomiast skala kraju jest zbyt duża, by mieć nadzieję na skuteczne oddziaływanie na jego stan. W efekcie powstaje zjawisko aspirowania do struktur krajowych tylko po to, by poprawić kondycję rodziny („krewnych i znajomych”), czyli wzmożona podatność na nepotyzm. Jest ona niestety pochodną okrojonego pojmowania tożsamości grupowych.

“ **My, Polacy mamy przykry nawyk skupiania się na dwóch poziomach przynależności: rodzinnej i krajowej, pozostałe spychając w podświadomość. To bardzo niezdrowa kombinacja.**

Z kolei drobne skale geograficzne: sąsiedztwo, podwórko, dzielnica są obszarami oferującymi największe możliwości sprawczego wpływania na ich kondycję. Ta skala jednak często nas nie bardzo interesuje, bo zbyt ostro widzimy występujące w niej różnice opinii, boimy się błędów i wiemy, że trudno w niej o autorytarne narzucanie swoich rozwiązań. „Niestety” – tu da się i trzeba rozmawiać z innymi zainteresowanymi i brać ich opinie pod uwagę. Nikt nas raczej nie uczy, że ma to większą wartość niż „manie racji”.

O autorce

Ewa Kipta – architektka i urbanistka. Współzałożycielka i wiceprezes Forum Rewitalizacji. W latach 2011-2015 pełniła funkcję prezesa. Zawodowo związana z Lublinem, zajmowała się m.in. rewitalizacją jego kilku dzielnic przy udziale mieszkańców. W latach 80. w „Solidarności”, internowana w stanie wojennym. Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Autorka wielu publikacji dotyczących zintegrowanych metod rozwoju jakościowego miast. Współautorka tłumaczenia książki Gordona Cullena „The Concise Townscape”.

**LEPSZA KOMUNIKACJA
KLUCZEM DO BUDOWY
WSPÓLNOT LOKALNYCH**

Przez konflikt i negocjacje do lepszej wspólnoty



PRZEMYSŁAW KLUZ

socjolog, Gdańska Fundacja Innowacji Społecznej

Mamy dziś pod dostatkiem paliwa społecznego, jakim jest konflikt. Czy możemy wykorzystać je do budowania lepszych małych wspólnot? To możliwe, o ile będziemy w stanie zdjąć zbroję naszych uprzedzeń i lęków i przygotować nie na bitwę, a na spotkanie z drugim mieszkańcem. Każde spotkanie, nawet to niełatwe, wzmacnia bowiem nasz potencjał mądrej wspólnoty. Dlaczego warto rozmawiać o naszych marzeniach i obawach? Jak zidentyfikować nasze realne potrzeby? W jaki sposób budować w naszych małych ojczyznach kulturę negocjacji?

Pozwolę sobie zacząć od końca. Ostatnie słowa tytułu to „lepsza wspólnota”. Wydaje się, że już w tych dwóch wyrazach zawiera się odpowiedź na pytanie o to, jak ją budować. Z jednej strony – lepsza, czyli wyższej jakości, taka której daliśmy więcej uwagi, czasu i wysiłku. Z drugiej strony – wspólnota, ludzie z którymi coś nas łączy. Wspólna w kulturze, języku, historii, wartości, a może i rzeczach codziennych, wydawałoby się trywialnych, jak współdzielone podwórko, plac zabaw, lokalny park, skwer, osiedlowy klub.

Konflikt paliwem wspólnotowości?

Choć większość z nas zgodzi się, że warto żyć w lepszej wspólnocie lokalnej, to wciąż dochodzą do nas informacje, które zdają się mówić, że idziemy w stronę coraz większych podziałów. Konflikty z poziomu makro są tak przemożne, że odnajdujemy się w nich z łatwością w mediach społecznościowych, w pracy czy podczas rodzinnego obiadu. Powstające „plemiona”, przynajmniej z pozoru, nie mogą zgodzić się co do podstawowych wartości, a jeden kryzys goni kolejny. Nasze poglądy polityczne i światopogląd zagościły na szybach naszych domów i balkonach naszych mieszkań. Łatwo ocenić, który sąsiad to przyjaciel, a który to wróg. Wydaje się, że może być tylko gorzej. Skoro mamy tak dużo paliwa społecznego, którym jest konflikt – czy paradoksalnie możemy wykorzystać je do budowania lepszych małych wspólnot?



Skoro mamy tak dużo paliwa społecznego, którym jest konflikt – czy paradoksalnie możemy wykorzystać je do budowania lepszych małych wspólnot?

W niniejszym tekście nie chcę zajmować się naszymi sporami o wartości i idee. Chciałbym abyśmy przyjrzieli się z bliska mniejszym i większym lokalnym konfliktom. Zwadom, nieporozumieniom, czasami kryzysom, które odpowiednio zarządzane mogą stać się zaczynem silnej i rozumiejącej wspólnoty. Postaram się ukazać perspektywę, w której nie musimy bać się i unikać konfliktu, ale możemy potraktować go jako naturalny element codziennych negocjacji, które zbliżają odmienne perspektywy i sprzeczne interesy. W takim procesie niezgody możemy odnaleźć swoje wzajemne potrzeby i na nich budować wspólnotę. A siła lokalnych społeczności może stać się elementem kluczowym w radzeniu sobie z pandemicznym i postpandemicznym kryzysem.

Porozmawiajmy o marzeniach i obawach

Wiele spotkań i warsztatów z mieszkańcami, które mam przyjemność moderować, mediować czy facylitować, dotyczy małej skali i lokalnych wspólnot. Poruszane są podczas nich kwestie zagospodarowania podwojek, procedowane są miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego, planowane są inwestycje, tworzone są miejskie polityki. Pomimo różnorodnych tematów, w niemal wszystkich przypadkach spotkania te są elementem bardzo podobnych i ważnych procesów.

Mieszkańcy i inni interesariusze wiążą ze zmianą swoje marzenia i obawy dotyczące jakości życia, bezpieczeństwa, przyszłości swojej i swojej rodziny, ale także rozwoju swojego biznesu i wizji miasta. Im dłużej zwlekamy więc z dyskusją i rzetelną informacją, tym większe prawdopodobieństwo, że marzenia i obawy zaczną żyć własnym życiem i stawać się przyczynkiem do budowania stronnictw wokół konkretnych interesów odpornych na dialog. Dotyczy to szczególnie mieszkańców, którzy często mają najmniejsze zasoby, aby dotrzeć do wiarygodnych źródeł informacji. Może się zdarzyć, że oprócz realnych argumentów, grupy interesów zaczną budować swoją narrację na interpretacji, niesprawdzonej informacji i plotce, utwierdzając się w swoich racjach w powoli tworzących się bańkach społecznych.

Brak informacji i przejrzystości procesu sprzyja budowaniu takiej wizji stron konfliktu, w której „my” mamy rację i jesteśmy racjonalni oraz dalekowzroczni, a nasi „przeciwnicy” to adwersarze, wręcz wrogowie, którzy mylą się, błędzą i są nieracjonalni. Choć zwykle jeszcze z nimi nie rozmawialiśmy, nie mieliśmy okazji opowiedzieć im o swojej wizji i wysłuchać ich argumentów, stanąć z nimi twarzą w twarz. W takiej sytuacji strony wybierają się na spotkanie jak na bitwę: z jednej strony uzbrojone po zęby w prezentacje i ekspertyzy, aby odeprzeć atak, a z drugiej strony – w petycje, argumenty i tłumne okrzyki, które mają ostatecznie rozbić nieudolnego i niekompetentnego przeciwnika. W praktyce często zdarza się, że odwołujemy konsultacje do momentu, gdy konflikt jest już wyraźnie zaogniony, licząc że może się „rozejdzie po kościach”.

“ **Brak informacji i przejrzystości dialogu sprzyja budowaniu takiej wizji stron konfliktu, w której „my” mamy rację i jesteśmy racjonalni oraz dalekowzroczni, a nasi „przeciwnicy” to adwersarze, wręcz wrogowie, którzy mylą się, błędzą i są nieracjonalni.**

Mam wrażenie, że ciągle niedowierzamy, że dobre komunikowanie, przejrzysty i partycypacyjny proces konsultacji niejednokrotnie może być prawdziwym remedium na spory. Być może byłoby to łatwiejsze, gdybyśmy potrafili traktować konflikt – ten mniejszy i większy – po prostu jako niezgodę na dzisiejszy stan rzeczy. Jako okazję do spotkania, nawet ostrego i chwilami niemiłego. Spotkania, którego nam brakuje, aby uwspólniać wizję, marzenia i plany, poprzez które realizujemy swoje potrzeby.

Pozwólmy odsłonić nasze potrzeby

Kluczowym momentem dla budowania dobrych relacji jest dobrze przygotowane i przeprowadzone spotkanie lub ich seria, czasami warsztat czy panel. Mam na myśli spotkania, do których – dzięki odpowiedniej promocji oraz w miejscu i czasie dostępnym dla mieszkańców – została zaproszona cała społeczność. Często poprzedzone roboczymi spotkaniami urzędników z liderami mieszkańców, podczas których ustalono formę i agendę. Czasami prowadzonymi przez niezależny podmiot, dla uzyskania bezstronnej moderacji.

Dobre spotkanie to takie, na którym spotykają się nie tylko wizje i perspektywy, oczekiwania i plany, ale przede wszystkim takie, podczas których można dotrzeć do potrzeb zarówno mieszkańców, jak i urzędników czy przedsiębiorców. To właśnie nazwanie potrzeb bywa skutecznym sposobem na wyjście z impasu zrodzonego z odmiennych oczekiwań i staje się bazą dialogu opartego na rzeczywistym wzajemnym zrozumieniu. Interpretując rzeczywistość społeczną przez pryzmat metody „Porozumienie bez Przemocy” Marshalla B. Rosenberga wiemy, że za każdą ludzką emocją stoją nasze zaspokojone lub niezaspokojone potrzeby. Jeśli dochodzi do konfliktu, to z pewnością mamy do czynienia z tymi drugimi. Może to być potrzeba bycia wysłuchanym czy potrzeba wpływu – obydwie zaspokoimy otwarty dialog z mieszkańcami. Może być też mowa o bezpieczeństwie, wypoczynku, przestrzeni do kontaktu z innymi, który zrealizować można poprzez właściwie zaprojektowaną przestrzeń albo inicjatywę społeczną.

“ **Nazwanie potrzeb bywa skutecznym sposobem na wyjście z impasu zrodzonego z odmiennych oczekiwań i staje się bazą dialogu opartego na rzeczywistym wzajemnym zrozumieniu.**

Nierzadką sytuacją, z którą spotykałem się podczas spotkań dotyczących kwestii zagospodarowania podwórek, był konflikt o płot pomiędzy zwaśnionymi wspólnotami mieszkaniowymi. Część wspólnot chciała rozdzielić podwórko wysokim ogrodzeniem i zamontować monitoring, a druga część mieszkańców była temu przeciwna. Zza zasłony wielu argumentów wyłaniały się często stare i nierozwiązane konflikty. Dając czas na jasne powiedzenie o swoich emocjach, które zrodziły się po obu stronach, udawało się powoli dotrzeć do potrzeb mieszkańców. W tym miejscu zawsze pojawiała się najwięcej zrozumienia dla sąsiadów, ponieważ sami odnajdujemy w nich swoje pragnienia. Okazywało się, że to nie płot był potrzebą, ale bezpieczeństwo, estetyka i chęć wypoczynku, a czasami prywatności. To dopiero stawało się właściwym punktem startu do poszukiwania rozwiązań, które mogły zaspokoić potrzeby w inny sposób, niż na początku to sobie wyobrażano.

I tak też ogrodzenie mogło być zastąpione dodatkowym oświetleniem, poprawiającym poczucie bezpieczeństwa, a podział funkcjonalny podwórka mógł dawać jasny sygnał, która jego część w jaki sposób powinna być użytkowana oraz jakie zachowania na jego przestrzeni nie są akceptowane. Mieszkańcy spisali postanowienia we wspólnym regulaminie, który sankcjonował wspólny wysiłek spotkań i debat. Przykłady te obrazują również jeszcze jedną prawidłowość społeczną – nawet najlepiej zaprojektowana przestrzeń sąsiedzka czy publiczna, wprowadzająca rozwiązania infrastrukturalne i architektoniczne, nie jest warunkiem wystarczającym do dobrego funkcjonowania wspólnoty. Formę przestrzenną musi wypełnić element społeczny, w którym jest miejsce na ustalenie dopuszczalnego sposobu zachowania w przestrzeni współdzielonej czy na kontrolę społeczną. Ostatecznie dzięki rozwiązaniom w obu tych obszarach osiągamy trwałość naszych rozwiązań.

“ **Nawet najlepiej zaprojektowana przestrzeń sąsiedzka czy publiczna nie jest warunkiem wystarczającym do dobrego funkcjonowania wspólnoty. Formę przestrzenną musi wypełnić element społeczny.**

Co najważniejsze, proces tworzenia ram i zasad koegzystencji społecznej jest bardziej czasochłonny, niż projektowanie rozwiązań przestrzennych. Natomiast w przeciwieństwie do tych drugich, liczne spotkania i konsultacje tworzą relacje nie do przecenienia oraz prawdziwie trwałą wspólnotę. Ta swoista inwestycja społeczna często owocuje wieloletnią współpracą i sprawnym komunikowaniem swoich potrzeb oraz ustalaniem rozwiązań.

Zarządzajmy zmianą i konfliktem

Gdy mówimy o budowaniu lepszej wspólnoty, mówimy o jakości. Ale czym charakteryzuje się lepsza wspólnota? Czyż nie tym, że lepiej rozpoznaje swoje potrzeby? Swoje, czyli różnych grup i jednostek, które wchodzi w jej skład. To społeczność, która potrafi nie tylko je usłyszeć, ale też budować rozwiązania uwzględniające różne interesy. Społeczność, której wybrane władze zarządzają wciąż procesem kształtowania wizji rozwoju dzielnicy, miasta czy regionu i nie zostawiają nikogo z boku. A nieusatysfakcjonowanym poświęcają czas i wyjaśnienia.

W procesie negocjowania ogromną odpowiedzialność nosi na barkach władza samorządowa. Okazuje się, że czasami komunikacja społeczna mylona jest ze sprawnie działającym biurem prasowym i atrakcyjnymi narracjami w mediach społecznościowych. Mamy czas na promocję, gdy przebiega według scenariusza i nie niesie ryzyka, że pojawi się lokalny bohater drugiego planu niepasujący do idealnego zdjęcia. A w końcu często najważniejsze rozmowy w naszym życiu to te, które były trudne, emocjonalne i do których przygotowywaliśmy się z lękiem. Nie inaczej jest w lokalnej wspólnocie, która buduje się na społecznych relacjach, niejednokrotnie ucieranych podczas wielu spotkań.

Czy możemy więc planowanie i inwestowanie zostawić ekspertom, a mieszkańców pytać o zdanie, gdy starczy nam czasu? Możliwe, że to ten obszar dzisiejszych procesów w samorządach jest najniższej jakości. Mamy czas i finanse na procedowanie i na to, by dokumenty „odleżały swoje” na biurkach kolejnych wydziałów. Natomiast spotkanie z mieszkańcami we wtorek o godz. 18:00 w lokalnej szkole okazuje się zbyt trudnym zadaniem logistycznym, komunikacyjnym i emocjonalnym. Choć znowu, dla równowagi, podkreślę że wielu urzędników poświęca niemało wysiłku, aby takie spotkania się odbywały.

Gdy dochodzi już do konsultacji i wspólnych spotkań, wyzwaniem staje się również ustalenie, kto z kim i o czym rozmawia. Niejednokrotnie uczestniczę w spotkaniach urzędników z mieszkańcami jako moderator, a czasami jako mieszkaniec. W wielu z nich pracownicy magistratu przychodzą z konkretnym zapytaniem, np. planistycznym, a mieszkańcy pojawiają się z kwestiami dotyczącymi nie tylko planowania, ale również przyszłych inwestycji i problemów społecznych. Wrażenie po spotkaniach przypomina przysłuchiwanie się rozmowie prowadzonej w dwóch językach.

Z perspektywy mieszkańców na spotkanie przychodzą bowiem przedstawiciele „miasta”, a oni chcą rozmawiać o swoich problemach, które mają wiele wymiarów – zarówno planistyczny, społeczny, jak i inwestycyjny. Czasami jednak rozbijają się o ściany ogromnej instytucji, podzielonej na tematyczne silosy, znane jako wydziały. Każdy z nich ma inne priorytety, budżety i wytyczne, czasami nie wiedzą o swoich wzajemnych działaniach.

Ogromnym wyzwaniem jest więc takie przygotowanie procesu komunikacji z mieszkańcami, w którym potrafimy utrzymać temat przewodni, a jednocześnie informować o innych działaniach i konsekwencjach z nimi powiązanych. W praktyce czasami wystarczy zaprosić na spotkanie planistyczne osoby z wydziału inwestycyjnego albo zajmującego się komunikacją miejską. Nie po to, żeby zmienić temat spotkania, ale żeby pokazywać spójną wizję rozwoju miasta mieszkańcom, którzy nie muszą znać nawet nazw owych wydziałów, ale którzy z pewnością wiedzą, jak wygląda rzeczywistość na miejscu i czego oczekują. Budowanie i wyrażanie komunikowanie wizji jest kluczowym elementem uwspólniania naszych potrzeb. Wizja ta naturalnie nie jest ustalona raz na zawsze, ale musi podlegać ciągłym przeformułowaniom – najpierw planów, a później korekt celów, który obraliśmy.

Budujmy kulturę negocjacji

Opisywana idea konsultacji i spotkań jest szeroko znana i popierana. Można więc powiedzieć, że powyższe przykłady są oczywiste i trywialne. Gdy jednak przyjrzymy się bliżej procesom, które dotyczą naszych lokalnych wspólnot, zauważymy że czasami tak niewiele trzeba, żeby było naprawdę lepiej. Nieraz brakuje jedynie pewnego małego elementu, który stanowi o dobrej jakości. Jest również wiele przykładów, gdzie dbałość konkretnych osób o proces komunikacji w naszych miastach, dzielnicach, gminach powoduje, że miejsca te rozwijają się w przyspieszonym tempie. Warto szukać tam inspiracji i przykładów. W takich miejscach możemy zobaczyć, że konflikt został ujarzmiony nie po to, żeby komuś zamknąć usta, ale żeby bez lęku usłyszeć siebie nawzajem i ruszyć dalej.

Potrzebna jest nam kultura ciągłej, wrażliwej i dobrze zaplanowanej negocjacji. Z szacunkiem dla każdej ze stron. Negocjacji, która ma odzwierciedlenie w procesach planistycznych, inwestycyjnych, edukacyjnych i społecznych na każdym etapie. Na początku, aby usłyszeć o marzeniach, obawach i potrzebach, w środku, gdy planuje się szczegóły i na końcu, aby proces nadzorować i poddawać ewaluacji. Dobry plan i harmonogram łatwo sprawdzić. Ważnym jest więc wracanie do mieszkańców po zakończeniu danego procesu. Z jednej strony, aby razem świętować i docenić siebie nawzajem – za wysiłek i wkład. Z drugiej, aby zobaczyć, co następnym razem możemy zrobić lepiej, szybciej, efektywniej, lub kogo być może pominęliśmy. Wyrzucenie mieszkańców czy aktywistów z któregośkolwiek etapu czyni proces nieprzejrzystym i jest zarzewiem potencjalnego konfliktu. Konfliktu, który często zużywa dużo więcej środków i czasu niż wcześniejsze konsultacje.



Potrzebna jest nam kultura ciągłej, wrażliwej i dobrze zaplanowanej negocjacji. Z szacunkiem dla każdej ze stron. Negocjacji, która ma odzwierciedlenie w procesach planistycznych, inwestycyjnych, edukacyjnych i społecznych na każdym etapie.

Zdejmując zbroję naszych uprzedzeń i lęków przed konfliktem, jesteśmy przygotowani nie na bitwę, a na spotkanie z drugim mieszkańcem. Każde spotkanie, nawet niełatwe wzmacnia nasz potencjał mądrej wspólnoty.

O autorze

Przemysław Kluz – socjolog, organizator społeczności lokalnej, mediator grupowy, facylitator. Od 2009 roku związany z Gdańską Fundacją Innowacji Społecznej, menedżer Domu Sąsiedzkiego „Gościnną Przystań” na Oruni i redaktor naczelny lokalnego portalu MojaOrunia.pl. Zaangażowany w projekty rewitalizacyjne włączające mieszkańców, a w szczególności młodzież, w rozwiązywanie lokalnych problemów oraz zmienianie przestrzeni społecznej i architektonicznej dzielnicy. Od kilku lat przeprowadza również konsultacje społeczne i mediacje dla samorządów i biznesu.

Potrzebujemy nowego języka rozmowy o mieście



dr inż. arch.

GABRIELA REMBARZ

architektka, urbanistka, Politechnika Gdańska



IDA BOCIAN

aktorka, reżyserka, Dyrektor Teatru Gdynia Główna

W rozmowach na temat przyszłości miast blokuje nas w dużej mierze nasz język. Tu wizje podwórek i kamienic rodem z pozytywistycznych nowel, a tu spolszczone anglosaskie zapożyczenia, importowane z amerykańskich miast. To kiepska platforma budowania dialogu, a tym bardziej wzajemnego zaufania. Ogranicza nas to i nie pozwala na wzajemną empatię. Bez niej nie ma szans na autentyczną relację, w której rodzi się konstruktywny dialog.

Rozmawiają: Ida Bocian i Gabriela Rembarz.

IB: Co ciebie, jako doświadczonego planistę bardziej interesuje: właściwe pytania czy właściwe odpowiedzi?

GR: Najbardziej interesuje mnie dialog i to, jakie powinny być te pytania, by w ogóle otrzymać na nie odpowiedzi.

IB: Dialog wymaga czasu. Czy osoby odpowiedzialne za planowanie w polskich miastach zdają sobie z tego sprawę?

GR: Planowanie miast jest pytaniem o przyszłość. Gdy schodzi się do skali teoretycznego podwórka, czy tej najmniejszej choćby wspólnoty w obrębie klatki schodowej, sprawa staje się bardzo osobista. Każda rozmowa o wizji przyszłości oznacza obietnice zmiany, której większość się obawia lub co najmniej nie jest na nią przygotowana. Odpowiedź na takie pytanie leży więc najczęściej gdzieś pomiędzy projekcją marzeń a totalnym sceptycyzmem. Planiści w procesie, który ogólnie nazywa się „konsultacjami społecznymi” skupiają się często na zadawaniu pytań w nadziei na uzyskanie konstruktywnych i przemyślanych odpowiedzi. A o to trudno, bo z perspektywy mieszkańca samo nazwanie problemu lub potrzeby jest złożone i wymaga czasu.

IB: Mam taką refleksję, że niezależnie od tego, czy podejmujemy dialog z wybraną społecznością jako artyści, animatorzy czy planiści, to najważniejszym chyba wyzwaniem jest znalezienie wspólnego języka. Wzajemne nauczenie się rozmawiania, ustalenie znaczenia słów, których używają obie strony, zagłębienie się w konteksty, w ramach których dane wyrazy są wypowiedzane. Gdyby ktoś w tej chwili zadał mi pytanie o wizję przyszłości miejsca, w którym mieszkam, sama musiałabym najpierw upewnić się, w jakim sensie ktoś używa słowa „wizja” i jaką „przyszłość” ma na myśli – tydzień, dwa lata czy pięćdziesiąt lat? Zresztą po roku funkcjonowania w warunkach pandemii koronawirusa oduczyłam się planować na dłużej niż dwa tygodnie wprzód.



Chcąc budować dialog, najważniejszym wyzwaniem jest znalezienie wspólnego języka. Wzajemne nauczanie się rozmawiania, ustalenie znaczenia słów, których używają obie strony, zagłębienie się w konteksty, w ramach których dane wyrazy są wypowiedane.

GR: Pandemia jest w ogóle interesującym kontekstem. To nie tylko skrócenie perspektywy czasowej, w której próbujemy zapanować nad naszymi planami, ale także lęk przed spotykaniem się, a co za tym idzie – utrudniony dialog, wręcz uniemożliwiający budowanie i umacnianie jakichkolwiek wspólnot. A przecież atomizacja nawet najmniejszych społeczności staje się już faktem. Powiedz mi, czy to brak słów powoduje, że ludzie żyją dekadami obok siebie i nie budują wspólnoty? Dlaczego obecnie „dzień dobry” na schodach jest takie trudne? Bo nie można wyświetlić na czole emotki? A milcząc nie rozwiązujemy problemów, nie uczymy się osiągać i utrzymywać kompromisu. Nie dochodzimy do tego, że może on być w takim mikro-środowisku najwyższą wartością – a nie przegraną. Zauważyłaś, że po polsku istnieje tylko zwrot „zgniły kompromis”, a nie używamy frazy „złoty kompromis”?



Milcząc nie rozwiązujemy problemów, nie uczymy się osiągać i utrzymywać kompromisu. Nie dochodzimy do tego, że może on być w mikro-środowisku najwyższą wartością – a nie przegraną. Zauważmy zresztą, że po polsku istnieje tylko zwrot „zgniły kompromis”, a nie używamy frazy „złoty kompromis”...

IB: Jako artysta i animator kultury również odczuwam negatywny wpływ przymusowej izolacji społecznej na efektywność komunikacji z naszymi odbiorcami. Jeden z naszych kulturalnych projektów pt. *Ballady osiedlowe*, który z dużym wysiłkiem realizowaliśmy w 2020 r., opierał się na bezpośrednim kontakcie i intymnych rozmowach z mieszkańcami niektórych gdyńskich dzielnic i osiedli. Większość głosów gdyńian, jakie udało nam się pozyskać, pochodziło z naszych bezpośrednich relacji nawiązanych jeszcze przed marcowo-kwietniowym lockdownem. Przez następne miesiące zbieranie tych historii okazało się praktycznie niemożliwe. Szczególnie trudnym terenem było osiedle przy ulicach Zamenhoffa i Opata Hackiego na gdyńskiej Chyloni, gdzie oprócz lęku przed obcymi zadającymi pytania, okazało się, że działa niepisana reguła, że o sprawach tej społeczności w ogóle się nie rozmawia z osobami z zewnątrz, a to co „zdarzyło się na Zamena zostaje na Zamena”. Samo dotarcie do tej zasady zajęło nam kilka dobrych miesięcy. I tu ponownie wraca nasza początkowa teza „jak zadać pytanie, by członkowie danej społeczności chcieli odpowiedzieć”.

GR: W moim pojęciu język dialogu wymaga empatyzacji. Zakłada dojście do kompromisu, a nie dominację jednej strony nad drugą. Może dlatego dialog o przyszłości i zmianie w naszych miastach idzie dość opornie? Obserwuję praktykę niemiecką i tam dość szybko nowości słowotwórcze stają się elementami oficjalnego języka. My natomiast albo próbujemy się posługiwać anglosaskimi zapożyczeniami, takimi jak *walkability* czy *place-making*, nie mówiąc już o *smart* czy *slow city*, albo posługujemy się nazewnictwem modernistycznym z lat 60., kiedy urbanistyka jako dziedzina budowała swoje podstawy. Nie szukając polskich odpowiedników lub jedynie spolszczając zwroty angielskie próbujemy tłumaczyć mieszkańcom ideę np. *pedestrianizacji*, co tylko udziwnia dialog, buduje zapory i w rezultacie jeszcze bardziej hermetyzuje planistykę i oddala ją od potrzeb danych społeczności.



Język dialogu wymaga empatyzacji. Zakłada dojście do kompromisu, a nie dominację jednej strony nad drugą.

IB: To mi przypomina nasze kolejne doświadczenie w pracy z mieszkańcami dzielnic rewitalizowanych w Gdyni, tym razem w 2017 r. Wymyśliliśmy wtedy, że część naszych codziennych metod, jakimi posługujemy się w pracy teatralnej i twórczej kreując nasze dzieła, może stać się także efektywnym narzędziem do przygotowania niektórych wspólnot do procesu zmian w ramach rewitalizacji. Pełni zapału rozpoczęliśmy nasze spacerowanie po tych osiedlach, próbując rozpoznać najważniejsze bolączki lokalnych społeczności. Nawiązaliśmy pierwsze kontakty, rozmawialiśmy z miejscowymi liderami, urzędnikami, a także przechodniakami, dziećmi, a nawet z grupkami mężczyzn konsumującymi alkohol pod sklepami osiedlowymi. Dodatkowo przeczytaliśmy setki stron analiz demograficznych, społecznych i ekonomicznych dotyczących tych terenów. Czuliśmy się naprawdę solidnie przygotowani. Powiesiliśmy pierwsze plakaty i rozdaliśmy ulotki o warsztatach teatralnych.

Jaki był tego efekt? Okazało się, że przychodziły tylko pojedyncze zgłoszenia. Postanowiliśmy sprawdzić, dlaczego tak się dzieje. Okazało się, że dla naszych potencjalnych odbiorców teatr – czyli coś, co dla nas jest niemal syntezą wszystkich sztuk i niepodważalną wartością samą w sobie – kojarzy się źle: z nudą, z elitaryzmem, z niezrozumiałym językiem, a w najlepszym razie z „jakimiś durnymi wygłupami”. Momentalnie zmieniliśmy więc narrację – we wszelkich rozmowach i materiałach informacyjnych unikaliśmy słów „teatr” i „teatralny”, w zamian za to zapraszając mieszkańców na „spotkania”, „warsztaty rodzinne”, „rozmowy o historii osiedla”, „treningi kuglarskie” itd. I wtedy coś się ruszyło, uczestnicy wreszcie zaczęli się pojawiać i realizować z nami różne formy performatywne, nie zawsze mając świadomość, że to jest właśnie ten „nudny teatr”.

GR: To świetny przykład na to, jak czasem trudno jest nawiązać dialog między wspólnotami, a tymi, którzy chcą z nimi współpracować. Mam wrażenie, że język planowania w Polsce nie jest wystarczająco giętki, aby wyrazić złożoność zachodzących zmian, a co dopiero próbować nazywać to, co nadejdzie. Wspomniałam wcześniej, że urbanistyka używa języka z lat 60. Co więcej – próbuje się też odwoływać do sentymentalnych wizji podwórka i kamienicy czynszowej rodem z pozytywistycznych nowel. A ich już prawie nie ma. Nie ma nawet takich sytuacji, jakie znamy z serialu „Alternatywy 4”. Dzisiaj istnieje już inne miasto – wspólnota nie spotyka się na zebraniach w pralni, a komunikuje się na grupach w mediach społecznościowych. Dlatego musimy zrozumieć, że potrzebny jest inny język i inny rodzaj dialogu.



Język planowania w Polsce nie jest wystarczająco giętki, aby wyrazić złożoność zachodzących zmian, a co dopiero próbować nazywać to, co nadejdzie.

Przecież Sienkiewicz inaczej rozumiał pojęcie osiedla i dzielnicy, a nawet miasta, niż my dzisiaj. Dlatego też muszą powstawać nowe słowa dla opisu obecnie otaczającej nas rzeczywistości. Powinny one być swoje, zrozumiałe. Mamy sporo gombrowiczowskich czy leśmianowskich określeń, które nadal są „nie nasze” i pisane są w cudzysłowie. Literacki język polski, ukształtowany w tej formie na przełomie XIX i XX wieku, nie jest językiem zurbanizowanym. Jako społeczeństwo „umiastowiliśmy się” w dużej mierze dopiero po II wojnie światowej, a proces ten szczególnie przyspieszył po 1989 r., kiedy zrodziła się grupa „nowych mieszczan”. Tłumacząc czasem swoje artykuły na język niemiecki dostrzegam, jak mało jest w polskim słów o budowaniu i funkcjonowaniu w mieście, w dzielnicy, w sąsiedztwie. Z drugiej natomiast strony jest też Stanisław Lem z jego cudownym kosmiczno-technicznym słowotwórstwem – a gdybyśmy tak po tak lemonsku stworzyli język urbanistyki i miasta XXI wieku?

IB: Mam wrażenie, że dotykamy w tej rozmowie również trudności w komunikowaniu swoich potrzeb. To bierze się stąd, że przez wiele dekad nie pytano nas, jako społeczeństwa, czego nam trzeba, a wiele problemów zbywano brakiem środków oraz priorytetyzowaniem tzw. pilniejszych ekonomicznych wyzwań. Z drugiej strony, żyjąc w pewnej zastanej przestrzeni, na co dzień borykając się z krzywym chodnikiem, wystającą studzienką, przejściem dla pieszych w niefunkcjonalnym miejscu, adaptujemy się do tej rzeczywistości i przestajemy dostrzegać, że jest to coś, co nas irytuje.

Pamiętam, że kiedyś w pewnej podsiedzkiej wsi, jeszcze jako początkujący animator pytałam młodzież, czego w ich miejscowości brakuje. Oni zrozumieli to w ten sposób, że mają wymienić te rzeczy, których we wsi po prostu nie ma, więc podali np. centrum handlowe, basen i lotnisko. Oczywiście, było w tych odpowiedziach też sporo młodzieńczej przekory, ale ta sytuacja uświadomiła mi, że by zacząć rozmawiać o potrzebach nie wystarczy poprosić o wyliczenie braków, a pogłębić tę relację, poznać tryb życia danej społeczności, ich codzienną rutynę, ścieżki, a także historię, pochodzenie, strukturę demograficzną, miejsca, w których pracują lub się uczą. Wtedy można ewentualnie spróbować pytać o to, co ich irytuje, co im przeszkadza. A to przecież dopiero wstęp do formułowania potrzeb.

GR: To, o czym mówimy i jak o tym mówimy jest dziś jeszcze trudniejsze, gdy weźmiemy pod uwagę kwestie mnożących się baniek informacyjnych, w których funkcjonujemy. Zapominamy częstokroć, że ten sam fakt w innej grupie może być interpretowany skrajnie odmiennie. Stąd też uważam, że nowoczesny planista musi mieć kompetencje empatyzacji, ale też umiejętność mówienia różnymi językami do różnych grup. Że potrzebny jest nam nowy polski – integracyjny i prokompromisowy. Pytanie tylko, czy to w ogóle jest możliwe w naszym silnie spolaryzowanym społeczeństwie, w sytuacji gdy życie społeczne się brutalizuje, a większość wymian poglądów nastawiona jest na wygraną w konflikcie.

“ **Potrzebny nam jest nowy język polski – integracyjny i prokompromisowy.**

W 2015 r. realizowałam w zespole projekt *Quo vadis, Gdańsku? Mieszkańcy planują swoje miasto*. Była to kolejna próba dotarcia z wiedzą fachową do dzielnicowych aktywistów – z ominięciem filtrów urzędowej polityki. Pracowaliśmy nad wizją poprawy lokalnych przestrzeni publicznych i budowaniem wizerunku dzielnicy, czyli bajaliśmy o niekonkretnej, dalekiej przyszłości, zaczynając od pytania jak wyobraża sobie Pan/Pani życie za 20 lat. Trwało trochę zanim ludzie uwierzyli nam – i to nie wszędzie – że jesteśmy ich planistami, niezależnymi od „władzy”, trenującymi umiejętność współpracy. Doświadczenie to nazwaliśmy „mentoringiem urbanistycznym”. Po roku takich warsztatów, dotyczących m.in. budowania sprawczej i klarownej wspólnej wizji strategicznej, byliśmy świadomi, że jesteśmy dopiero na progu rozumienia swoich światów.

To jest to, o czym przed chwilą wspominałaś – trzeba rozmawiać, i to nieprzerwanie, aby do tego treningowego dialogu dołączyć zdołali i ci zapracowani, i ci nieprzekonani. To musi być dialog na wiele głosów – media, kościół, szkoła, urząd, kumple – budujący zaufanie publiczne do władzy, do wiedzy, do skuteczności kompromisu. Myślę, że jakiś rodzaj nieustannego trwania stanu doraźności czy „konieczności wyższej” jest sztucznym usprawiedliwieniem dla pomijania pracy nad dialogiem o jakości sąsiedztwa. Mści się to na nas niemiłosiernie. Bo to właśnie w takich momentach, których u nas nie ma, rodzi się szansa nie tylko na ogień zaangażowania, ale też na zbudowanie wzajemnego zaufania, i to pomimo odmiennych perspektyw widzenia świata. To istotne, gdy trzeba ustalić kryteria priorytetyzacji celów rozwojowych, a co dopiero wybrać rozwiązania, o których „tu nie słyszano” i na „chłopski rozum to jest inaczej lub się nie da”.

IB: Podkreślasz to, co jest bardzo bliskie mojemu sercu – odpowiedzialność za słowa. Mówiłaś na początku o obietnicy zmiany. Myślę, że tu też tkwi trudność w nawiązywaniu relacji ze wspólnotami. One nie czują, że te rozmowy doprowadzą do realnej poprawy ich sytuacji. Gdzieś po drodze albo straciły nadzieję, albo czuły się już wcześniej

niezrozumiane lub nawet wykorzystane. Często też w ogóle nie mają poczucia sprawstwa – wpływu na przestrzeń, w której żyją. Przyznam, że w trakcie naszych „dzielnicowych” projektów bardzo często mieszkańcy mylili nas z urzędnikami. W drugim zdaniu pytali nas, jak zamierzamy rozwiązać ich bolączki, czy możemy zgłosić dany, konkretny problem. Niełatwo było zmienić ich nastawienie i przełknąć roszczeniowe lub czasem sarkastyczne przytyki, że „tymi swoimi wystęпами to im kanalizacji nie wybudujemy”.

GR: Ale to jest chyba atut, że właśnie „gadasz jak swój” inaczej niż urzędnik, prawda? Może gdy ta relacja już się nawiąże, to będziesz w stanie usłyszeć coś innego niż to, co mieszkańcy odważą się powiedzieć decydentom? Zdarzyło się przecież, że zdiagnozowaliście problem nieco inaczej niż spodziewali się planiści, a tym bardziej politycy.

IB: Tak, masz rację. Bo przecież to nam mieszkańcy zwierali się z tego, jak bardzo są przywiązani do swojego skrawka ziemi – osiedla, podwórka, do swoich dziecięcych i młodzieńczych wspomnień, do pracy, wysiłku i pieniędzy, które włożyli w tę swoją mikro-ojczyznę. Czasem przekuwając te emocje w spektakle teatralne, na których obecni byli włodarze czy radni, udawało nam się również doprowadzić do małych zmian – choćby za sprawą tego, że czyjś indywidualny głos został usłyszany, wybił się ponad uśrednione statystyki i wyniki diagnoz.

GR: Podsumowując nasze rozważania, mam wrażenie, że to brak uwzględnienia czasu na proces – na dialog, który prowadzi do nawiązania istotnych więzi, a co za tym idzie odpowiedzialności za wyniki tej współpracy, powoduje „rozjazd”. Chodzenie na skróty z ominięciem relacji i rozmowy, kładzie cień na spójność wyników dialogu z realizacją. A co najważniejsze – podważa poczucie sprawczości, sabotując zarazem trwałość i powagę umowy społecznej.



Nie zbudujemy dialogu, chodząc na skróty – aby miał on szansę zaistnieć, trzeba najpierw nawiązać relację.

O rozmówczyńiach

Ida Bocian – aktorka, reżyserka, scenarzystka, animatorka kultury. Realizowała projekty artystyczne, teatralne, a także edukacyjne i socjokulturalne w Społecznym Stowarzyszeniu Edukacyjno-Teatralnym „Stacja Szamocin”, w Sopotkiej Scenie Off de BICZ, a obecnie także w założonej przez siebie Fundacji „Klinika Kultury”. W roku 2013, wraz z Ewą Ignaczak założyła w Gdyni Teatr Gdynia Główna, którego jest dyrektorem. Nominowana do Sztormów Roku 2014 w dziedzinie kultury oraz do Pomorskiej Nagrody Artystycznej 2014. Laureatka Nagrody Artystycznej Prezydenta Gdynia „Galion Gdyński 2015” w dziedzinie animacji kultury.

Dr inż. arch. **Gabriela Rembarz** – architektka, urbanistka, aktywna projektantka. Adiunkt w Katedrze Urbanistyki i Planowania Regionalnego Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej. Jej dorobek naukowy w studiach nad procesem reurbanizacji monostruktur mieszkaniowych i rewitalizacji miast poparty jest znaczącym doświadczeniem wdrożeniowym w planowaniu miejskim. W 2015 r. współtworzyła zespół prowadzący Społeczną Akademię Planowania w ramach projektu „Quo Vadis, Gdańsku? Mieszkańcy planują swoje miasto”. Absolwentka Politechniki Gdańskiej, Universität Stuttgart, Politechniki Warszawskiej oraz Massachusetts Institute of Technology SPURS Program Fellow. Członkini DASL Deutsche Akademie für Städtebau und Landesplanung, The International Society of City and Regional Planners oraz Towarzystwa Urbanistów Polskich.

Zieleń sama się nie wypowie



dr inż. arch.

HANNA OBRACHT-PRONDZYŃSKA

Politechnika Gdańska

Wiele polskich miast doświadczyło w ostatnich latach tzw. betonozy – działań rewitalizacyjnych, których efektem było zastąpienie dotychczasowych drzew, roślinności czy innego typu zieleni miejskiej posadzkami. Taki los miała podzielić również ulica Miła w Bytowie, wzdłuż której rozciąga się szpaler wieloletnich lip. Miały one zostać wycięte, a w ich miejscu powstać nowe miejsca parkingowe. Dzięki zaangażowaniu mieszkańców plan ten się jednak nie powiódł. W jaki sposób udało się zablokować tę inwestycję? Co było w tym kontekście kluczowe? Jakie jeszcze lekcje powinniśmy wynieść z tej historii?

Betonowe pustynnienie

Betonoza to tytuł książki opisującej to, co wydarzyło się w wielu polskich miastach, które w ramach rewitalizacji dążyły do poprawienia jakości przestrzeni publicznych. Często byliśmy świadkami znikania zieleni z placów czy ulic, którą zastępowały wyszukane posadzki różnej jakości. W wyniku takich przekształceń powstawała betonowa pustynia dla pieszych, a samochody zyskiwały liczne miejsca do parkowania, zaprzeczając współczesnemu nurtowi projektowania.

Taki los miała podzielić również ulica Miła w Bytowie – jedna z ostatnich miejskich alei, tworzonych przez wieloletnie lipy. W ramach procesu rewitalizacji pojawiły się środki na jej remont, a wraz z nimi pytania o to, jakiej ulicy chcemy. „Modernizacja i wymiana infrastruktury wiąże się z dużym ryzykiem uszkodzenia układu korzeniowego” – w taki sposób temat został przedstawiony mieszkańcom w trakcie zaplanowanych konsultacji społecznych. Pierwsza dyskusja zgromadziła mieszkańców zgłaszających potrzeby parkingowe. Ich głos został wysłuchany. Temat wrócił po trzech latach i wraz z pozyskanymi środkami na inwestycję, wywołał burzliwą dyskusję w mediach społecznościowych – od oficjalnych facebookowych profili władarzy miasta po prywatne konta mieszkańców. Dzięki niej historia zakończyła się *happy endem* – drzewa przy ulicy Miłej zostały ocalone.

Lekcja z Miłej, która ma być miła

Przykład ulicy Miłej nie jest wzorcem ani w kwestii sposobu prowadzenia partycypacji społecznej, ani też jeśli chodzi o sposób projektowania przestrzeni publicznej. Jest jednak jaskółką nadziei, że możemy w naszych lokalnych społecznościach kształtować przestrzeń zamieszkania z poszanowaniem dla zieleni, przyznając pierwszeństwo pieszym. Świadczy również o możliwości wypracowania kompromisu, w ramach którego ostateczna forma projektu przekształcenia ulicy uwzględnia głosy różnych grup społecznych. Udział w całym procesie przyniósł szereg istotnych wniosków, o których poniżej.

Rewitalizacja dla zieleni

Wśród celów rewitalizacji, oprócz tych definicyjnych czy ustawowych, powinniśmy uwzględniać troskę o zieleń. Sam proces powinien być okazją do kształtowania świadomości mieszkańców w zakresie zmian klimatycznych i tego, jak będą one wpływać na nasze miasta oraz jakość naszego życia.



Wśród celów rewitalizacji, oprócz tych definicyjnych czy ustawowych, powinniśmy uwzględnić troskę o zielen. Sam proces powinien być okazją do kształtowania świadomości mieszkańców w zakresie zmian klimatycznych i tego, jak będą one wpływać na nasze miasta oraz jakość naszego życia.

Drzewa potrzebują ambasadorów

Zieleń sama się nie wypowie, dlatego ważne jest, aby nie przechodzić obok planowanych wycinek obojętnie. Przykład ulicy Miłej pokazał, że jeden zabrany głos przyniósł kolejne, udowadniając, że gdy stworzy się przestrzeń rozmowy, ludzie się w nią zaangażują. W efekcie wybrzmiewające głosy pozwoliły na merytoryczną wymianę opinii w zakresie m.in. wypracowania możliwego kompromisu, a także uwag technicznych dotyczących sposobu ochrony drzew pomimo znacznej ingerencji w infrastrukturę. Dyskusja doprowadziła też do zmiany środka ciężkości. Samorządowcy z roli przekonujących przeciwników, stali się obserwatorami wymiany zdań między mieszkańcami. Mogli więc przyjąć pozycję mediatorów, której w całym procesie niestety zabrakło.

Słowa mają znaczenie

Przykrym doświadczeniem ulicy Miłej jest to, że potwierdziła się teza, w myśl której głos słyszalny to głos „hejterski”. W procesie partycypacji głos „największych krzykaczy” często wybrzmiewa najbardziej – tak było i tutaj. Warto się zastanowić, czy aby głos obrońców drzew był rzeczywiście wysłuchany, muszą padać ostre słowa skierowane w kierunku np. władz miasta?

Mam wrażenie, że jako społeczeństwo nie dojrzelismy jeszcze do partycypacji. Powody są dwa – pierwszy dotyczy tego, że w procesie edukacji zaniedbujemy budowanie umiejętności dyskusowania. Drugi natomiast wynika z języka, jakim się posługujemy, a który dzisiaj, w dobie wszechobecnego hejtu i nasilonych podziałów społecznych, staje się coraz ostrzejszy. Zwykliśmy posługiwać się hasłami: „walka o miasto”, „walka o ulicę”. Tymczasem psychologowie zwracają uwagę, że korzystanie z określenia „walka” stawia nas od razu w pozycji konfliktu. Dobór używanych argumentów, ale też sposób ich formułowania przez każdą z grup jest niezwykle istotny.



Zwykliśmy się posługiwać hasłami: „walka o miasto”, „walka o ulicę”. Tymczasem korzystanie z określenia „walka” stawia nas od razu w pozycji konfliktu, utrudniając dojście do kompromisu.

Dyskusja nad możliwymi rozwiązaniami

W procesie zarządzania miastem i planowania realizacji kluczowych inwestycji istotny jest sposób prowadzenia partycypacji społecznej. W tym kontekście pojawia się istotne pytanie – czy w przypadku zieleni miejskiej kluczowymi aktorami zaangażowanymi w proces partycypacji powinni być tylko mieszkańcy danej ulicy? Czy zielen miejska służy raczej większemu gronu? Dodatkowo można również zapytać, czy partycypacja to proces, który powinien odbywać się jedynie na linii władze miasta-mieszkańcy, czy też powinien angażować głos ekspertów?

W dyskusji, która miała miejsce w mediach społecznościowych, padło wiele argumentów, z którymi praktycy projektowania przestrzeni publicznych spotykali się już niejednokrotnie: „korzenie wykrzywiają chodniki”, „liście gniją i jest brudno”, „korony drzew zasłaniają światło latarni”, „drzewa do lasu”, aż po najpowszechniejszy, dotyczący potrzeb parkingowych. Co ciekawe, do głosu mieszkańców chcących zachowania drzew, włączyli się eksperci z różnych dyscyplin: inżynierii środowiska, architekci, urbaniści. Tym samym udało się rozwiązać wiele obaw lokalnej społeczności.

Cała dyskusja została opatrzona szeregiem argumentów związanych właśnie z ochroną klimatu i rolą, jaką w tym procesie pełnią drzewa. W rozmowie poruszono kwestie wysp ciepła i tego, że, po remoncie, osoba starsza nie tylko nie potknie się o wystający korzeń, ale dodatkowo istniejący drzewostan zapewni jej zacienienie i komfort spaceru. Odniesiono się również do dbałości o jakość powietrza, szczególnie w obliczu ruchu samochodowego. Przede wszystkim jednak przedstawione zostały możliwości kompromisu, czyli zaprojektowania miejsc parkingowych przy jednoczesnym zachowaniu drzew. Zaś argumenty związane z obawą, że droga stanie się za wąska dla bezpiecznego ruchu aut zostały opatrzone przykładami miast zachodnich, pokazującymi w jaki sposób przyjazną przestrzeń można stworzyć zapewniając komfort wszystkich użytkowników. Ulica Miła ma przecież ogromny potencjał w zakresie kształtowania przestrzeni sąsiedzkiej, będąc jednocześnie wizytówką miasta.

Kiedy kompromis jest możliwy

Jedno jest pewne – aby wypracować rozwiązanie zadawalające jak największą grupę interesariuszy niezbędna jest dyskusja opatrzona możliwymi rozwiązaniami, określającymi warianty przeprowadzenia inwestycji. Odpowiednia wizualizacja rozwiewa obawy mieszkańców, udowadniając że ich potrzeby zostaną uwzględnione. Natomiast zaangażowanie ekspertów w proces partycypacji pozwala na rozwianie wielu wątpliwości.

Widzimy też dziś, że partycypacja społeczna nie musi się ograniczać do spotkań organizowanych przez samorząd. Z powodzeniem możemy również korzystać z szeregu różnych narzędzi (np. komunikacja w sieci), docierając tym samym do różnych grup odbiorców, którzy nie zawsze mają czas i możliwości wzięcia udziału w spotkaniach.

Strategia dla zmian klimatu

Przykład ulicy Miłej wskazał dodatkowo jeszcze jedną ważną kwestię. W czasie, gdy miasta zachodnie podejmują decyzje o planowaniu z uwzględnieniem usług ekosystemowych, gdy kształtowane są „miasta-gąbki” oraz miasta odporne, nasza urbanistyka niestety cały czas boi się strategii zazieleniania ośrodków miejskich. Nawet jeśli dokument taki uwzględnia kwestie ochrony klimatu, to rzadko obejmują one wytyczne dla kształtowania przestrzeni publicznych w sposób umożliwiający ograniczenie negatywnych skutków zmian klimatu.

“ **Nasza urbanistyka niestety cały czas boi się strategii zazieleniania miast. Nawet jeśli nasze strategie obejmują kwestie ochrony klimatu, to rzadko obejmują one wytyczne dla kształtowania przestrzeni publicznych w sposób umożliwiający ograniczenie negatywnych skutków zmian klimatu.**

O autorce

Dr inż. arch. **Hanna Obracht-Prondzyńska** – architektka i urbanistka, absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej, gdzie obecnie jest adiunktem w Katedrze Urbanistyki i Planowania Regionalnego. Pracowała w Pomorskim Biurze Planowania Regionalnego, m.in. przy planie zagospodarowania przestrzennego województwa pomorskiego oraz planie dla obszaru metropolitalnego Gdańsk-Gdynia-Sopot. Doświadczenie zawodowe zbierała pracując przy projektach m.in. w USA, RPA, Chinach, Rumunii, Niemczech. Jest członkiem zarządu Towarzystwa Urbanistów Polskich, o. Gdańsk, oraz aktywnym członkiem międzynarodowego stowarzyszenia planistów miejskich i regionalnych (ISOCARP).

Uwolnić lokalną energię – *casus* Dąbrowy Górniczej



dr inż. arch.

MONIKA ARCZYŃSKA

Politechnika Gdańska, A2P2



dr inż. arch.

ŁUKASZ PANCEWICZ

Politechnika Gdańska, A2P2

Rozmowa o konkretnych projektach infrastrukturalnych, mających poprawić jakość życia całej lokalnej społeczności, łączy mieszkańców niezależnie od partykularnych opinii i poglądów. W jaki sposób do inicjatyw sąsiedzkich podejść systemowo? Jak dobrze zorganizować proces dialogu i uwolnić energię obywatelską mieszkańców? Oto, jak udało się to zrobić w Dąbrowie Górniczej.

Dąbrowa Górnicza stworzyła sprawnie działający system realizacji projektów sąsiedzkich. Mechanizm ten opiera się na dialogu z mieszkańcami i konsekwentnym wdrażaniu rezultatów uzgodnionych ustaleń przez lokalne władze. Jego atutem jest także systemowość – obowiązuje on dla całej gminy, a kolejne udane wdrożenia projektów cementują lokalną wspólnotę. Zamiast bowiem – jak w większości polskich miast – realizować rozproszone, drobniejsze inicjatywy sąsiedzkie, które z uwagi na niewielką skalę rzadko wprowadzają zauważalną zmianę, Dąbrowa Górnicza postawiła na inną formułę. Tzw. Dąbrowski Budżet Partycypacyjny 2.0 (DBP 2.0) opiera się na wspólnej dyskusji i wyborze takich projektów, które posłużą wielu użytkownikom, faktycznie zmieniając ich jakość życia.

Proces rozpoczyna diagnoza, prowadzona wspólnie z animatorami. W jej ramach rozpoznawane są mocne i słabe strony osiedli oraz mapowane najważniejsze potrzeby, które mogą zostać zaspokojone nie tylko przy użyciu funduszy DBP 2.0, ale także z gminnych środków budżetowych. Na tym etapie każdy może zgłosić własny wniosek, który jest następnie weryfikowany przez urząd pod kątem zgodności z dokumentami planistycznymi. Następnie, podczas moderowanych przez animatorów Forów Mieszkańców, prowadzone są dyskusje na temat zgłoszonych projektów. Na ich podstawie ustala się trzy projekty priorytetowe, zgłoszone ostatecznie do głosowania.

W 2019 r. odbyła się pierwsza edycja budżetu w nowej formule, z pulą środków równą 4,1 mln zł. Złożono 32 projekty, spośród których najwięcej głosów uzyskała inicjatywa „Podlesie Pełne Życia”, zakładająca modernizację zaniedbanego parku. Park powstał w latach 70. za sprawą zarządów głównych miejskich fabryk i przez lata był miejscem uprawiania sportu i rekreacji czy organizowania wydarzeń integracyjnych, w tym koncertów. Wybrany w ramach DBP 2.0 projekt zakładał odtworzenie roli i charakteru tego miejsca. Natomiast rok później mieszkańcy zdecydowali o wyborze projektu „Rodzinne Planty”, polegającego na modernizacji okalającego centrum miasta pasa zieleni, którą ma przebiegać m.in. jedna z głównych miejskich tras rowerowych.

Realizację obydwu przedsięwzięć poprzedziły konsultacje, opierające się na wnikliwej analizie potrzeb oraz dyskusji z wszystkimi sąsiedzkimi partnerami, osobami i instytucjami korzystającymi z przestrzeni, lokalnymi ekspertami oraz społecznikami. Wielogłos doprowadził do zidentyfikowania różnych pomysłów, potrzeb i interesów. Różnice w poglądach czy opiniach poszczególnych uczestników, choć wyrażane w trakcie spotkań, ostatecznie nie dominowały jednak rozmowy o konkretnych rozwiązaniach projektowych, mających poprawić jakość wspólnego sąsiedztwa.

“ **Przy rozmowie o konkretnych projektach, mających poprawić jakość wspólnego sąsiedztwa, różnice schodzą na drugi plan.**

Ważnym krokiem było także wskazanie interesariuszy publicznych, mogących mieć nieraz decydujący głos na temat tego, co może wydarzyć się w przestrzeni. W przypadku Parku Podlesie, który powstał na terenach leśnych, takim partnerem były Lasy Państwowe. Równolegle z dialogiem z mieszkańcami w proces zaangażowane były także złożone z ekspertów i urzędników tzw. rady techniczne, na bieżąco oceniające wykonalność zgłaszanych propozycji. Zwiększało to wiarygodność przyjętych rozwiązań – ostatecznie nie dość, że są one wynikiem uzyskanego konsensusu, to jeszcze są realnie wdrażalne.

Początkowym elementem konsultacji jest zawsze diagnoza, a zatem – określenie problemów i potencjału miejsca, ale przede wszystkim oczekiwań i potrzeb obecnych i przyszłych użytkowników. Mogą dotyczyć one konkretnego programu (np. wyposażenia rekreacyjnego czy infrastruktury dla psów), lecz także np. poprawy bezpieczeństwa poprzez wprowadzenie lepszego oświetlenia. W obu projektach szczególna uwaga poświęcona była zieleni – ochrona drzew, wymagana w Dąbrowie rozporządzeniem prezydenta miasta, jest także priorytetem wyrażanym przez mieszkańców podczas praktycznie każdego spotkania. Drugi cykl konsultacji to natomiast omawianie propozycji projektowych (zwykle wariantowych), natomiast ostatni etap polega na ostatecznej weryfikacji zawartych w koncepcji pomysłów.

Dyskusja wpisana była także w realizację samych projektów. W przypadku Parku Podlesie w procesie konsultacyjnym ustalono chociażby strategię zagospodarowania dla całego obszaru przylegającego do parku. Z kolei przy okazji wykonania koncepcji dla Plant, konsultacjom poddano także sposób organizacji przestrzeni sąsiednich ulic oraz targowiska, stanowiącego popularny cel odwiedzin mieszkańców miasta i okolic.

W obydwu przypadkach kluczowe było również „szycie projektu na miarę”, czyli z jednej strony trafne rozpoznanie najważniejszych potrzeb, a z drugiej – optymalne rozdysponowanie dostępnych środków. Choć z perspektywy dzielnic są one wysokie, nie wystarczyłyby one jednak na realizację wszystkich zgłoszonych w procesie partycypacyjnym pomysłów.

Doświadczenie Dąbrowy pokazuje, że rozmowa o sąsiedzkiej infrastrukturze łączy mieszkańców, niezależnie od ich pochodzenia i poglądów. Dobrze zorganizowany proces dialogu, który dotyczy konkretnych działań wdrożeniowych, pomaga wykorzystać energię społeczną do działania na rzecz lokalnej wspólnoty. Kluczem jest umiejętność dyskusji, wsparcie techniczne oraz partnerskie traktowanie.

“ **Dobrze zorganizowany proces dialogu, który dotyczy konkretnych działań wdrożeniowych, pomaga wykorzystać energię mieszkańców do działania na rzecz lokalnej wspólnoty.**

O autorach

Dr inż. arch. **Monika Arczyńska** – współzałożycielka A2P2 architecture & planning, firmy konsultingowo-projektowej zajmującej się m.in. masterplanami, przestrzeniami publicznymi i działaniami partycypacyjnymi w całym kraju. Studiowała na Politechnice Gdańskiej i TU Delft, adiunktka na Politechnice Gdańskiej. W latach 2006-2017 była związana z Heneghan Peng Architects, gdzie projektowała budynki użyteczności publicznej, m.in. nagrodzone Aga Khan Award Muzeum Palestyny na Zachodnim Brzegu, Wielkie Muzeum Egipskie w Kairze, Narodowe Centrum Sztuki Współczesnej w Moskwie i centrum obsługi turystów Giant's Causeway w Irlandii Północnej. Współpracuje z „A&B”, „Architekturą-Murator” i czeskim „INTRO”, jest członkinią MKUA w Gdańsku.

Dr inż. arch. **Łukasz Pancewicz** – urbanista, nauczyciel akademicki, razem z Moniką Arczyńską i zespołem współtworzy biuro A2P2, które zajmuje się rozwiązywaniem złożonych miejskich problemów. W ramach A2P2 stosuje narzędzia współprojektowania i partycypacji dla tworzenia nowych fragmentów miasta, projektowania usług i analizy danych. W swojej praktyce zajmuje się projektami urbanistycznymi (m.in. Stocznia Cesarska w Gdańsku, Stare Świdry, Port Praski w Warszawie, Estakady w Krakowie), przestrzeni publicznych (Abrahama w Gdyni, Plac Wolności w Łodzi), usług (system roweru publicznego w GZM). Wcześniej pracował jako konsultant i urzędnik, m.in. planując dla Łodzi. Stażował w Massachusetts Institute of Technology.

**JAKA PRZESTRZEŃ
DLA ROZWOJU LOKALNOŚCI
I JAKOŚCI ŻYCIA?**

W kierunku miasta różnych lokalności



ADAM LEŚNIEWICZ

Dyrektor Kongresu Obywatelskiego

Pandemia koronawirusa tylko wzmocniła w nas przekonanie, że potrzebujemy zmiany sposobu myślenia o miastach. W czasie ograniczonych zasobów i wielu pilnych potrzeb, szczególnie cenne są stosunkowo tanie projekty, które pozwalają adaptować przestrzeń do nowych funkcji i wyzwań. Prawdziwe cuda można zdziałać odchodząc od dzielnicowej monofunkcyjności, w kierunku tworzenia przestrzeni wielofunkcyjnych. Równoważąc komfort pieszych i potrzeby kierowców. Dbając o to, by przestrzenie publiczne sprzyjały budowaniu relacji sąsiedzkich, a nie anonimowości. Wspólnym mianownikiem, który łączy te podejścia, jest patrzenie z perspektywy lokalności.

Czy lokalność może być kluczem do zrównoważonego rozwoju miasta i podnoszenia jakości życia jego mieszkańców? Być może nadal nie jest to nasza intuicyjna odpowiedź, ale przegląd nowych „pomysłów na miasto” skłania do poważnego potraktowania tego właśnie czynnika.

Będę za 15 minut

Głównym założeniem koncepcji miasta 15-minutowego jest takie planowanie rozwoju (ulic, chodników, ścieżek rowerowych, ale też funkcji poszczególnych budynków), aby każdy mieszkaniec mógł załatwić podstawowe codzienne sprawy (praca, szkoła, zakupy, rozrywka, rekreacja itp.) w najbliższej okolicy. Pokonanie potrzebnego dystansu pieszo, rowerem lub komunikacją miejską nie powinno zająć więcej niż 15 minut.

Nie jest to idea nowa, jej geneza sięga co najmniej czasów pionierki aktywizmu miejskiego, Jan Jacobs. Dotychczas model miasta 15-minutowego wdrażano w stosunkowo niewielkich ośrodkach jak Helsinki czy Ottawa. W ostatnim czasie ta koncepcja zyskała jednak niezwykle szeroką popularność dzięki Anne Hidalgo, mer Paryża. Jej deklaracja przekształcenia francuskiej metropolii w miasto 15-minutowe złożona podczas kampanii wyborczej zrobiła wielkie wrażenie. W tak dużym organizmie miejskim, w którym ponad połowa osób pracujących odbywa codziennie podróż trwającą 45 minut, osiągnięcie tego celu wymagać będzie nie tylko konsekwentnych decyzji władz miasta, ale również zmiany stylu życia i pracy mieszkańców regionu paryskiego oraz szerokiego włączenia się środowiska biznesu w tę zmianę.

Anne Hidalgo w 2020 r. zdecydowanie wygrała reelekcję i wydaje się być zdeterminowana, aby poprowadzić Paryż we wskazanym w kampanii kierunku. Pokazuje, że codzienne życie w mieście nie wymaga użytkowania samochodu. Fundamentem zmian jest bowiem modyfikacja modelu transportu – oprócz rozwijania komunikacji publicznej, mer Paryża stawia na sieć tras rowerowych wyznaczanych na jezdniach kosztem liczby pasów dla aut. Wiele tego typu modyfikacji, wprowadzonych także w odpowiedzi na sytuację pandemiczną, zostało przychylnie przyjętych przez mieszkańców i jest teraz wprowadzanych na stałe. Władze miasta planują również usunąć 70 tys. miejsc parkingowych – czyli połowę z obecnie wyznaczonych wzdłuż ulic – dzięki czemu zwolnione zostanie blisko 60 ha przestrzeni dla pieszych i rowerzystów.

Kolejnym elementem jest rozproszenie powierzchni biurowych w aglomeracji paryskiej w taki sposób, aby paryżanie nie musieli codziennie dojeżdżać do położonych na przedmieściach centrów biurowych, takich jak

La Défense. Sprzyja temu upowszechnienie pracy zdalnej oraz rosnąca popularność przestrzeni coworkingowych. Promowany ma być model rozproszenia biur poszczególnych korporacji na przestrzeni kilku dzielnic – tak, aby pracownicy mogli docierać do tych, położonych najbliżej ich miejsc zamieszkania. Miasto zamierza również wprowadzić system zachęt dla przedsiębiorstw, aby w obrębie poszczególnych dzielnic różnicować obecnie dostępną ofertę handlową i usługową. Przewiduje nawet tworzenie lokalnych centrów wymiany usług pomiędzy mieszkańcami.

Do przyspieszenia przemiany miasta konieczne jest wprowadzanie wielofunkcyjności – i to nie tylko do urbanistyki i zabudowy planowanej (terenów pod nowe inwestycje jest w Paryżu bardzo niewiele). Paryskie merostwo zwraca dużą uwagę na przestrzenie, które dotychczas były wykorzystywane tylko przez ograniczony czas. Anne Hidalgo realizuje program inwestycji w zazielenianie przyszłych terenów rekreacyjno-sportowych, które po godzinach pracy szkół mają być otwarte dla wszystkich mieszkańców. W podobnym modelu myśli się również o funkcjonowaniu nocnych klubów i sal koncertowych, które w ciągu dnia mogłyby działać jako kluby sportowe z zajęciami fitness. Otwieranie przestrzeni na nowe funkcje jest niezbędne, aby odpowiedzieć na różnorodne oczekiwania mieszkańców i zaspokoić ich najważniejsze codzienne potrzeby w najbliższym sąsiedztwie.

“ **Kluczem do realizacji idei miasta 15-minutowego jest otwieranie już istniejących przestrzeni na nowe funkcje. To niezbędne, aby odpowiedzieć na różnorodne oczekiwania mieszkańców i zaspokoić ich najważniejsze codzienne potrzeby w najbliższym sąsiedztwie.**

Lokalniej = wolniej

Działania Anne Hidalgo inspirują kolejne miasta do podjęcia próby twórczego przetworzenia tej idei na swoje potrzeby – przede wszystkim w celu ograniczania ruchu samochodowego. W Barcelonie realizowany jest pilotażowo tzw. *Urban Mobility Plan*, który ma przywrócić miasto pieszym. Docelowo, niemal połowa ulic w centrum miasta ma być wyłączona z ruchu aut. Plan wdrażany jest etapami na zasadzie tworzenia tzw. *superilles*, czyli „superkwartałów”.

Każdy z nich składa się z układu ośmiu krzyżujących się ze sobą dróg, gdzie cztery zewnętrzne są zachowywane dla ruchu samochodowego, zaś na czterech wewnętrznych ulicach (na jezdniach) wyznaczane są deptaki czy trasy rowerowe¹. Na drogach wyłączonych z ruchu aut rozstawiane są meble miejskie, dosadzana jest zieleń, aranżuje się minipłace służące spotkaniom towarzyskim, organizuje się wystawy.

W podobnym kierunku zmierza również Londyn, który coraz szerzej wprowadza tzw. *Low Traffic Neighbourhoods* (LTN – strefy o małym natężeniu ruchu). LTN to kwartały ulic, na których ruch samochodowy jest mocno ograniczany – poprzez wyznaczenie *woonerfów* lub ulic z restrykcyjnymi ograniczeniami prędkości oraz wjazdem tylko dla mieszkańców.

Innowacja wdrażana na próbę w kilku dzielnicach stała się tak popularna, że obecnie postrzegana jest jako jedno z podstawowych rozwiązań, które ma sprzyjać rozwiązaniu problemu mobilności w stolicy Wielkiej Brytanii

¹ Taki model wynika ze specyficznej struktury zabudowy historycznego centrum miasta, gdzie zdecydowana większość ulic poprowadzona jest równolegle do siebie i przecina się pod kątem prostym.

po wygaśnięciu pandemii. Pomysł na tyle spodobał się mieszkańcom Londynu, że złożono aż 114 wniosków o utworzenie tego typu stref w różnych częściach miasta².

W obu przypadkach zauważono, że programy, których głównym celem była zmiana modelu transportu, ograniczenie zanieczyszczenia powietrza i zwiększenie powierzchni terenów zielonych, doprowadziły do szerokich zmian w życiu społecznym. Miejsca uwolnione z funkcji tranzytowej zaczynają tętnić życiem i są częściej odwiedzane przez okolicznych mieszkańców w każdym wieku. Wraz z wyeliminowaniem pędzących pojazdów, spowalniają także ludzie poruszający się na rowerach i pieszo. Postawienie na lokalność może z powodzeniem być elementem nowego stylu życia – *slow life*.

“ **Doświadczenia Londynu wskazują, że wdrażanie programów mających na celu zmianę modelu transportu, ograniczenie zanieczyszczenia powietrza i zwiększenie powierzchni terenów zielonych, może doprowadzić do szerokich zmian w życiu społecznym. Miejsca uwolnione z funkcji tranzytowej zaczynają tętnić życiem i są częściej odwiedzane przez okolicznych mieszkańców.**

Którędy do centrum?

Jednym z kluczowych wyzwań współczesnego urbanizmu jest przeciwstawienie się tendencji wytwarzania się miejskich monokultur – występowania dzielnic o charakterze wyłącznie mieszkaniowym lub niemal wyłącznie biurowo-handlowym. Wytworzenie się takiej struktury miasta wymusza ciągłe przemieszczanie się, czego efektem są korki i wzrost zanieczyszczeń. Ten model rozwoju jest również nieefektywny – poszczególne regiony miasta żyją tylko cyklicznie, w określonych godzinach.

W odpowiedzi na ten problem pojawiła się idea miast policentrycznych, lansowana m.in. przez Arthura Genslera, wskazująca, że drogą do zrównoważonego urbanizmu jest bardziej zróżnicowany rozwój dzielnic położonych peryferyjnie wobec centrów. Jest to szczególnie ważne w miastach dużych, o rozproszonej, niejednolitej strukturze przestrzennej, gdzie długie podróże są dla mieszkańców niejako codziennością.

“ **Drogą do zrównoważonego urbanizmu jest bardziej zróżnicowany rozwój dzielnic położonych peryferyjnie wobec centrów. Jest to szczególnie ważne w miastach dużych, o rozproszonej,**

² Warto zauważyć, że nieprzypadkowo pojawiają się tutaj koncepcje realizowane w miastach europejskich. Wprowadzenie tego typu zmian będzie daleko trudniejsze w przypadku metropolii Ameryki Północnej, Ameryki Południowej czy Australii. Miasta projektowane „pod samochód”, które infrastrukturę dla pieszych czy rowerzystów muszą tworzyć od zera, gdzie życie codzienne zawsze wymagało podróżowania na duże odległości (np. nie ma mniejszych sklepów umożliwiających codzienne zakupy blisko domu), mają do przełamania o wiele więcej wyzwań.

niejednolitej strukturze przestrzennej, gdzie długie podróże są dla mieszkańców niejako codziennością.

W takich przypadkach pewnym rozwiązaniem staje się tworzenie centrów lokalnych. Największy potencjał do tego rodzaju działań mają te przestrzenie, które i tak przyciągają stosunkowo dużą liczbę okolicznych mieszkańców. Zadbanie o wzbogacenie oferty dostępnych tam usług oraz poszerzenie funkcji tych miejsc przynosi bardzo korzystne rezultaty dla całych osiedli lub dzielnic. Pozwala to przynajmniej częściowo ograniczyć częstotliwość dalszych podróży, a także tworzy przestrzeń spotkań, mającą ważny wymiar symboliczny i tożsamościowy.

Ciekawe podejście charakteryzuje Helsinki, które w swojej strategii rozwoju założyły nie tylko sam proces tworzenia tego typu lokalnych centrów, ale również zbudowanie sieci połączeń między nimi na bazie sprawnego transportu publicznego. Centra lokalne są także z powodzeniem tworzone również w polskich miastach – pilotażowy program realizuje m.in. Warszawa, która uznała tego rodzaju działania za ważny element podnoszenia jakości życia mieszkańców w dzielnicach o nie zrównoważonych funkcjach³.

Zachować lokalność, zachowując dystans

W europejskich miastach funkcję lokalnych centrów pełnią często targowiska lub place miejskie z bogatą ofertą usługową i gastronomiczną. W sytuacji pandemii, w czasie której unikamy dalekich podróży i przebywania w przestrzeniach zamkniętych, tego rodzaju miejsca mają szansę zyskać dodatkowe atuty w porównaniu do nowoczesnych galerii handlowych. Żeby było to możliwe, konieczna jest jednak ich adaptacja odpowiadająca nowym normom bezpieczeństwa. W różnych regionach świata prowadzone są niezależnie badania nad sposobami dostosowania miejskich placów i targowisk do nowych warunków.

Pracownia projektowa Shift z Rotterdamu stworzyła schemat bezpiecznego, lokalnego targowiska, przystosowanego do epidemicznych standardów. Teren podzielono na 16 równych kwadratów, lokując na obrzeżach stragany ze świeżymi produktami: owocami, warzywami, produktami mlecznymi i mięsem. Każdy kwadrat można łatwo wyznaczyć na powierzchni kredą, naklejanymi taśmami czy zmywalnym sprejem. Zgodnie z propozycją projektantów, w obrębie danego kwadratu powinna jednocześnie przebywać maksymalnie jedna osoba – dla zachowania odpowiedniego dystansu społecznego. Choć wprowadzenie nowych zasad może być początkowo niezrozumiałe dla stałych bywalców targowisk i rynków, zasady te wydają się być wystarczająco proste, aby ich egzekwowanie nie było fikcją. W tak zaaranżowanej przestrzeni z pewnością łatwiej zrobić bezpieczne i przyjemne zakupy – nawet w czasach pandemii – a to cel zarówno sprzedających, jak i klientów.

Co ważne (i charakterystyczne dla nowych koncepcji miejskich), ten pomysł zakłada dużą elastyczność i zastosowanie tymczasowych, tanich rozwiązań. W myśleniu o mieście odchodzi się bowiem od kosztownych narzędzi, wymagających dużej ingerencji w infrastrukturę i trudnych do „odkręcenia”. Ośrodki miejskie odporne na różnorodne wyzwania współczesności (jak np. zmiany klimatu, pandemie, migracje, zmiany demograficzne itp.), powinny mieć przede wszystkim zdolność do łatwej adaptacji do zmieniających się warunków. Naszą odpowiedzią na pandemię czy wyzwania klimatyczne nie powinno być totalne przebudowanie miast (związane z ogromnymi kosztami finansowymi i środowiskowymi, a nierzadko z wytworzeniem nowych problemów), ale twórcza adaptacja istniejącej tkanki miejskiej – zgodnie z nową wrażliwością.

³ Więcej informacji o metodologii pracy w ramach projektu „Warszawskie Centra Lokalne”, przeprowadzonych badaniach i konsultacjach, zob. <https://sarp.warszawa.pl/warsztaty-stare/warszawskie-centra-lokalne/>



W myśleniu o mieście odchodzi się od kosztownych narzędzi, wymagających dużej ingerencji w infrastrukturę i trudnych do „odkręcenia”. Ośrodki miejskie odporne na różnorodne wyzwania współczesności powinny mieć przede wszystkim zdolność do łatwej adaptacji do zmieniających się warunków.

Lokalność w formacie XXL

Zgoła inaczej do tematu lokalności można podejść, projektując przestrzeń miejską zupełnie od zera i dysponując niewyobrażalnymi dla przeciętnego europejskiego samorządu środkami. Zupełnie nowe, zrównoważone miasto The Line powstaje właśnie w Arabii Saudyjskiej. Zostanie zbudowane na jednej osi, ciągnącej się wzdłuż Morza Czerwonego na przestrzeni 170 kilometrów. Będzie to *de facto* linearna metropolia złożona z kilku mniejszych miast. Wszystkie z nich mają być pozbawione samochodów. Transport na większe odległości będzie zapewniała ultraszybka kolej (osiągająca prędkość ponad 500 km/h), która pozwoli dostać się z jednego krańca miasta na drugi w około 20 minut. W obrębie poszczególnych dzielnic bieżącą komunikację zapewnią zaś będzie transport publiczny sterowany przez sztuczną inteligencję. Wszystkie potrzebne budynki i instytucje zostaną jednak rozlokowane blisko siebie, tak aby każdy mieszkaniec przemieszczał się jak najmniej, mając zapewniony dostęp do potrzebnych do życia funkcji i usług w odległości 5 minut spacerem od domu.

W projektowaniu miasta dużą uwagę położono na kwestie ochrony środowiska. Każdy budynek ma być zasilany energią odnawialną, przewidziano również zaawansowane systemy odzyskiwania wody i energii. Miasto ma odzwierciedlać nowy kierunek gospodarki saudyjskiej – zdecydowanego odejścia od wydobywania ropy naftowej i troski o przyrodę.

Czy miasto stosunkowo „wąskie”, ale rozproszone na dużej szerokości, miasto bez samochodów, ale z systemem wydajnego publicznego transportu – może być nowym pomysłem na lokalność? Czy życie w takim mieście będzie przyjemnością czy udręką? O tym przekonamy się już stosunkowo niedługo, bo prace nad realizacją The Line startują w tym roku, a ich zakończenie jest przewidziane na rok 2030. Wydaje się jednak, że przy całej deklarowanej trosce o klimat, w tej koncepcji zupełnie pominięto koszty klimatyczne i środowiskowe samej realizacji inwestycji (zupełnie nowego miasta na terenach półpustynnych). Nie jest to jednak wyjątek na tle innych pomysłów urbanistycznych arabskich szejków, jak chociażby osiedli na sztucznie usypanych wyspach w kształcie palm (Palm Islands). Jeszcze ważniejsze pytanie dotyczy tego, jak tego rodzaju założenie urbanistyczne przetrwa próbę czasu? Czy za 100-200 lat miasto linearne, rozciągnięte na długości 170 km⁴, będzie nadal przestrzenią sąsiedzką i lokalną? Co jeśli zacznie rozrastać się o przedmieścia? Czy będzie potrafiło elastycznie adaptować się do nowych wyzwań i zmian, czy też szybko (i brzydko) się zestarzeje?

4 Kanadyjscy naukowcy ze Smart Prosperity Institute prowadzili badania nad kosztem rozlewania się miast. Okazało się, że miasta z ogromnymi przedmieściami są średnio o ponad 144 proc. droższe w utrzymaniu niż miasta gęste. Najbardziej kosztownymi elementami okazała się infrastruktura, chodniki i wodociągi. Jakie będą koszty utrzymania miasta rozciągniętego na długości 170 km?

Ku lokalności – adaptacja, partycypacja, współpraca

W Europie czasy realizacji wielkich założeń urbanistycznych, kiedy zgodnie z myślą projektantów zmieniano kompleksowo układy miast poprzez wyburzenia i wznoszenie nowych kwartałów budynków, mamy już za sobą. I choć to właśnie one zadecydowały o kształcie miast tak pięknych, jak Paryż czy Barcelona, należy chyba dodać – „na szczęście”.

Dziś „świętym Graalem” wszystkich wysoko zurbanizowanych obszarów na Starym Kontynencie jest pytanie o to, jak w ramach funkcjonujących obecnie struktur zmieniać proporcje wykorzystywania przestrzeni, jak zgodnie z nowymi wyzwaniem i oczekiwaniami mieszkańców nadawać ograniczonym i zdefiniowanym już przestrzeniom nowe funkcje. Odchodzimy od ery stołu kreślarskiego planisty, oddając pole ołówkowi i gumce. A nawet prędzej kredzie i kubekowi z farbą – bo obecnie zmiany w mieście trzeba rysować na ulicy, a nie w pracowni, na miejskim planie.

Tęsknota za miastami bardziej sąsiedzkimi i lokalnymi, która przebija się w tak wielu współczesnych koncepcjach, pokazuje czego powszechnie nam brakuje. O czym zapomnieliśmy w inwestycjach ostatnich lat. Możemy być pewni, że skoro doświadczenie pandemii oraz zmian klimatu już teraz wpływa na zachowania mieszkańców, to już wkrótce zmienić się będą musiały również nasze miasta. To zawsze szło w parze. Niezdolność do adaptacji to utrata tego, co jest największym atutem skupisk ludzkich – wygody, jakości życia i atrakcyjności osiedleńczej.

Jeśli jednak miasta mają się stać prawdziwie lokalne i sąsiedzkie, w proces projektowania i wprowadzania zmian muszą zostać zaangażowani mieszkańcy. Narzędzia partycypacyjne realizowane obecnie w polskich miastach to jeszcze za mało. Jeśli zmiany mają się wiązać z głęboką zmianą stylu życia, konieczne będzie również zaangażowanie biznesu oraz sektora kultury. Miasto lokalności i sąsiedztw nie może być zatem stworzone z poziomu administracji (nawet tej nam najbliższej, samorządowej). Miasto sąsiedztw i lokalności to miasto nieustannie kooperujących i współdecydujących mieszkańców.



Miasto lokalności i sąsiedztw nie może być stworzone z poziomu administracji. To miasto nieustannie kooperujących i współdecydujących mieszkańców.

O autorze

Adam Leśniewicz – Dyrektor Kongresu Obywatelskiego. Z Instytutem Badań nad Gospodarką Rynkową związany od 2014 r. Absolwent Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Współzałożyciel i Prezes Stowarzyszenia Kooperacja Miejska. Popularyzator idei parków kieszonkowych, hamaków miejskich i ławek obywatelskich.

Mądrość roju – dlaczego wracamy do lokalności w mieście?



MARCIN SKRZYPEK

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Demontaż lokalności zaczyna się tam, gdzie przestaje opłacać się chodzenie pieszo. Kluczowym zasobem staje się wówczas samochód, który staramy się mieć jak najbliżej siebie. W naszych miastach coraz więcej jest dróg i parkingów, a coraz mniej parków i ścieżek pieszych. Życie z ulic, skwerów i lokalnych punktów usługowych przenosi się do wielkich centrów handlowych. Bliskość międzyludzka zanika – w przestrzeni komercyjnej nie ma bowiem zbyt wielu punktów zaczepienia do tworzenia więzi, wspólnego myślenia, empatii. Dlaczego warto dbać o zdrowe proporcje między lokalnością a mobilnością? Jak tego dokonać? Czego w tym kontekście możemy się nauczyć od pszczół?

Czego oczekiwać od dojrzałej społeczności lokalnej? Dojrzałość to bardzo mądre słowo. Mój nauczyciel etyki na KUL, ks. prof. Andrzej Szostek, zaskakiwał nas, studentów, ciekawymi skojarzeniami związanymi z etymologią mądrych słów. Jednym z nich była właśnie dojrzałość – człowiek dojrzały po prostu może więcej dojrzeć. To całkiem dobry punkt wyjścia do dalszych rozważań. Zatem, co dojrzała społeczność lokalna powinna umieć dojrzeć?

Przede wszystkim to, że lokalność oznacza bliskość, którą warto pielęgnować. Bliskość jest źródłem lokalności. Bez niej lokalność staje się abstrakcją, wartością subiektywną i symboliczną dla wybranych, przestaje być powszednim doświadczeniem dostępnym dla każdego. Lekceważenie bliskości jest doskonałym przyczynkiem do dyskusji o zagrożeniach modernizmu rozumianego jako bezkrytyczny entuzjazm dla wszystkiego, co ma być lepsze tylko dlatego, że jest nowe i zastąpi stare. Okazuje się, że czasem bycie „nowoczesnym” staje w sprzeczności z byciem mądrym, co nazywamy innym słowem kluczem – „smart”. Czasem prawdziwa nowoczesność, innowacyjność i bycie „smart” sprowadza się do umiejętności docenienia i zastosowania tradycyjnych wartości. Jedną z nich jest bliskość. Paradoksalnie, soczewką skupiającą problemy bliskości są miasta, gdzie co prawda najwięcej ludzi mieszka blisko siebie, ale też występuje największa presja na zabór i zaniedbywanie przestrzeni publicznej, w której mogą tę bliskość społecznie kultywować.



Lokalność oznacza bliskość, którą warto pielęgnować. Bliskość jest źródłem lokalności. Bez niej lokalność staje się abstrakcją, wartością subiektywną i symboliczną dla wybranych.

Idealną ilustracją zasady bliskości jest pszczeli rój, który zbiera nektar i pyłek z określonej okolicy ula, w czym pomaga pszczela komunikacja i przysłowiowa pszczela współpraca, a więc te cechy, na których brak narzekamy u Polaków. Dzięki dobrze zorganizowanej lokalnej pracy pszczół okoliczne rośliny są zapylone, a my

mamy miód, co z kolei skłania nas do dbania o pszczoły i miejsca dla uli, czyli środowisko naturalne. Wszystko tu działa jak w zegarku, ale tylko dzięki temu, że wiele pszczół kursuje parę razy dziennie do nieodległych kwiatków.

Zasada bliskości

W przypadku ludzi, te same zależności można pokazać na przykładzie używanej w archeologii metody *site catchment*, która polega na określaniu obszaru wokół osady, w którym poruszali się jej mieszkańcy w ramach swoich codziennych zajęć. Mówimy tu o czymś w rodzaju chmury tras pieszych. W modelowej sytuacji zakłada się, że promień takiego obszaru eksploatacji dla gospodarki łowiecko-zbierackiej wynosił 10 km od osiedla (2h piechotą), a dla gospodarki rolniczo-hodowlanej 5 km (1 h marszu).

Badając to zagadnienie, naukowcy odnaleźli ciekawą prawidłowość. Ludzie generalnie dążą do takiej optymalizacji aktywności, aby około $\frac{3}{4}$ swoich działań realizować, zużywając $\frac{1}{4}$ zasobów. Zależy im więc, by większość spraw mogli załatwić, nadmiernie nie eksploatując swoich zasobów – czasu, energii, ale także pieniędzy czy cierpliwości w pokonywaniu różnych trudności. Te proporcje mogą się wahać. Istotna jest zasada ogólna, że dążymy do minimalizacji wysiłku i dlatego staramy się, aby rzeczy były tak blisko nas, jak często ich używamy.

Lokalność jako pakiet korzyści

Współcześnie również mamy takie swoje obszary eksploatacji wokół domu. Obejmują one: sklepy, kościół, fryzjera, skwer, bank, bibliotekę, szkołę, pocztę, kiosk, przedszkole, przychodnię, budkę z piwem, plac zabaw. Dziś co prawda żywność zdobywamy szybciej niż kiedyś, ale nasze zasoby są zużywane przez inne działania, takie jak: edukacja, opieka, komunikacja, administracja, rozrywka, rekreacja. Dlatego optymalizacja tych aktywności w przestrzeni i czasie staje się krytycznym wskaźnikiem jakości współczesnego życia.

Korzyści z pieszej bliskości „obszaru eksploatacji” wykraczają daleko poza ergonomię samego przemieszczania się. Jeśli przyrzeć się dalszym jej konsekwencjom, okaże się, że przynosi ona dobroczynne skutki w wielu innych obszarach, takich jak ekonomia, społeczna spójność i równość, samopoczucie, tożsamość, odpowiedzialność obywatelska itd. Skutki te są wzajemnie zależne i tworzą coś w rodzaju pakietu. Oto przykłady.

“ **Korzyści z pieszej bliskości „obszaru eksploatacji” wykraczają daleko poza ergonomię samego przemieszczania się. Przynosi ona skutki w obszarach takich jak m.in. ekonomia, społeczna spójność i równość, odpowiedzialność obywatelska.**

Na eksplorację otoczenia, w którym wszędzie można bezpiecznie dojść pieszo, stać każdego materialnie, kondycyjnie i pod każdym innym względem. Dotyczy to w szczególności grup, takich jak dzieci, rodzice z dziećmi czy osoby starsze, które mogą samodzielnie załatwiać sprawy w sąsiedztwie na równych prawach z osobami bardziej sprawnymi i niezależnymi. Brak takiej samodzielności łatwo wyklucza ich z życia społecznego. Spotykanie się przedstawicieli wszystkich pokoleń w przestrzeni publicznej podczas codziennych zajęć, sprawia, że obserwujemy ludzkie życie w całej jego rozciągłości. Samo wspólne doświadczanie tej samej przestrzeni powoduje, że czujemy się bardziej związani z danym miejscem i jego mieszkańcami. Poznajemy nawzajem swoje potrzeby i problemy, dzięki czemu jesteśmy bardziej skłonni do społecznej empatii i solidarności, zarówno w osiąganiu celów sąsiedzkich, jak i ogólnospołecznych. W takich warunkach łatwiej się też czegoś dowiedzieć i nawiązywać nowe kontakty.

Stała obecność ludzi w przestrzeni publicznej znakomicie poprawia jej bezpieczeństwo, a ruch na świeżym powietrzu ma zbawienny wpływ na kondycję nie tylko aktualnie tyjących dorosłych, ale także przyszłych dorosłych, którzy są teraz dziećmi. Piesza dostępność wielu celów ma też znacznie ekonomiczne. Powoduje ona, że klienci skupiają się na małej powierzchni, co sprzyja tworzeniu miejsc pracy poprzez rozwój niewielkich biznesów zależnych od dużej liczby małych wpływów.

Demontaż lokalności

Demontaż lokalności zaczyna się tam, gdzie chodzenie staje się nierentowne, czyli np. gdzie planiści nie zaplanowali lokalnego centrum dostępnego pieszo. Gospodarka przestrzenna ignorująca lokalność wywodzi się jeszcze z przedwojennego modernizmu i jego utopijnej wizji podziału miasta na strefy funkcjonalne, czyli na osobne miejsca do mieszkania, pracy i wypoczynku, między którymi ludność powinna przemieszczać się jakimś transportem. Ten sposób organizacji miast do dziś żyje w symbiozie z sektorem sprzedaży pojazdów, paliw i budową dróg, ponieważ czyni tysiące mieszkańców komunikacyjnie bezradnymi, zmuszając ich do kupna samochodu.

Samo strefowanie funkcji nie jest złe. Wszystko zależy od skali. Jeśli między strefami można przemieszczać się pieszo, funkcjonalizacja przestrzeni jest korzystna. Istnieje jednak pewna krytyczna długość „szlaków zaopatrzeniowych”, powyżej której sytuacja zmienia się diametralnie – chodzenie pieszo zwyczajnie przestaje się opłacać.

Uruchamia to całą kaskadę skutków niesprzyjających bliskości. Kluczowym zasobem staje się własny samochód; to on zaczyna być strategiczną i uniwersalną rzeczą, którą staramy się mieć jak najbliżej siebie. W rezultacie rozrastają się przydomowe parkingi, a tempo tego procesu rośnie wraz z relatywnym spadkiem cen samochodów. Parkingi zabierają przestrzeń publiczną. Spada ranga zieleni, staje się ona czynnikiem utrudniającym przechowywanie auta; miejsce parkingowe urasta do pierwszej, nierzadko rozpaczliwej potrzeby.



Demontaż lokalności zaczyna się tam, gdzie chodzenie staje się nierentowne. Uruchamia to całą kaskadę skutków niesprzyjających bliskości. Kluczowym zasobem staje się własny samochód i to on zaczyna być strategiczną i uniwersalną rzeczą, którą staramy się mieć jak najbliżej siebie.

Siłą rzeczy lokalne przestrzenie publiczne pozbawione części swojej funkcji i użytkowników tracą na wartości, więc zaczyna się im poświęcać mniej uwagi i środków. Zanika troska o przyjemne miejsca publiczne, a nawet sztuka ich tworzenia. Zmusza to mieszkańców do poszukiwania spokoju, kontaktu z naturą i spędzania czasu wolnego w innych dzielnicach, w formie płatnych usług lub za miastem. Zyskują za to na znaczeniu „przestrzenie publiczne” dla samochodów, czyli drogi, skrzyżowania, parkingi. Inwestycje drogowe stają się priorytetem i pochłaniają gros budżetów. Rozwój zbiorowej komunikacji publicznej pozostaje jednak w tyle, bo „przeszkadza” ona innym samochodom, nie jest spontanicznie ekspansywna jak one i wydaje się od nich mniej nowoczesna.

Z chwilą kiedy musimy gdzieś pojechać, przestaje mieć znaczenie, czy cel jest w odległości 1, 2 czy 4 km. Stąd już prosta droga do budowy galerii handlowych, które są dalej, ale w zamian oferują kompleksowe możliwości. Warto jednak zauważyć, że pod tym względem pozostają one tradycyjnymi lokalnymi centrami dla pieszych. Nie wnoszą żadnej nowej wartości do relacji ludzie-przestrzeń, a jedynie „kradną” lokalność z wielu miejsc publicznych, koncentrując ją na swoim prywatnym terenie. Tym, co odróżnia ów teren od lokalnego centrum jest fakt, że najczęściej funkcjonuje on poza przestrzenią zamieszkałą, eksterytorialnie. Jeśli supermarket

powstaje na terenie osiedla, często nawet nie buduje się prowadzących do niego chodników, bo wydaje się oczywiste, że nikt tam nie będzie chodził. Temu założeniu oczywiście zaprzeczają ścieżki wydeptywane od przejść dla pieszych i przystanków. Galerie tworzą własne osobne, zamknięte światy – cudowne w środku, byle jakie z zewnątrz.

Rozwarstwienie kosztów i korzyści

Jakie są konsekwencje zmiany domyślnego sposobu funkcjonowania mieszkańca? Priorytetowymi stają się potrzeby osoby będącej w ruchu, „turysty”, odwiedzającego wiele często odległych od siebie miejsc. Oczekuje się, że będzie miał on zapewnione najkrótsze drogi tranzytowe we wszystkich relacjach, miejsca postoju na noc, na dzień i na chwilę, a wynikające z tego korki czy prywatne koszty są traktowane jako społeczna niesprawiedliwość. Przy okazji jednak zachodzą też bardziej subtelne zmiany w mentalności mieszkańców jako współobywateli.

Kiedy dawniej liczyło się udostępnienie mieszkańcom sąsiedztwa wyposażonego w handel i usługi – jak pszczołom okolicy obfitującej w kwiaty – istniała jedność miejsca, czasu i akcji dbania o jakość życia. Łatwo było powiązać koszty z korzyściami i grupą beneficjentów, która nie była anonimowa ani antagonistyczna. Wszystko „zostawało w rodzinie”. Dziś, kiedy mieszkaniowiec nie musi mieć w zasadzie żadnego sąsiedztwa, jeśli tylko ma zapewniony szybki transfer w dowolne miejsce, za nasze korzyści płacą inni, a skutki zmian są rozłożone w czasie i dotyczą osób, których nie widzimy, a wręcz z nimi konkurujemy.

Pod tym względem współczesne miasto przypomina nieco internet, w którym bliskość ma sens wirtualny. Często słyszy się, że ktoś ze swojego domu pod miastem dojeżdża do centrum szybciej niż osoba jadąca z jednej dzielnicy do drugiej. Sęk w tym, że w odróżnieniu od komunikacji cyfrowej, fizyczne pokonywanie odległości zużywa nieodnawialne zasoby cudzej lokalnej przestrzeni. Przykładowo, mieszkaniowiec przedmieścia, który musi dojechać do centrum, bo na „swojej wsi” oczywiście nie ma żadnych usług, robi to kosztem mieszkańców dzielnicy rozciętej na pół przeskalowaną dwupasmówką.

Rozkład bliskości

Spektrum wspólnych doświadczeń mieszkańców miejsc o zrujnowanej lokalności bardzo różni się od spektrum doświadczeń użytkowników sąsiedzkich centrów. Są to doświadczenia wewnątrz galerii handlowych, w których mieszkańcy są klientami, a nie współgospodarzami. Są to doświadczenia szoferki prywatnego samochodu będącego komercyjnym produktem i symbolem statusu. Są to doświadczenia multimedialnych i serwisów społecznościowych. Są to wreszcie doświadczenia drogi, na której im mniej innych użytkowników, tym lepiej. Dla osoby, która większość czasu spędza poza przestrzenią publiczną, publiczne wspólne dobro staje się abstrakcją, ponieważ nie zabiegamy o to, czego nie czujemy, co nie jest częścią naszych zmysłowych doświadczeń. W przestrzeni wartości komercyjno-prywatnych nie ma zaś zbyt wielu punktów zaczepienia do tworzenia więzi, wspólnego myślenia, empatii.



Dla osoby, która większość czasu spędza poza przestrzenią publiczną, publiczne wspólne dobro staje się abstrakcją. W przestrzeni wartości komercyjno-prywatnych nie ma bowiem zbyt wielu punktów zaczepienia do tworzenia więzi, wspólnego myślenia, empatii.

Wywołuje to głębokie mentalne zmiany w postrzeganiu przestrzennych relacji z innymi ludźmi. Brak bliskości fizycznej przekłada się na zanik poczucia bliskości psychicznej, aksjologicznej i symbolicznej. Synonimem lokalności staje się obrona własnego terytorium przed „obcymi”. Służą temu szlabany u wjazdów na parkingi i tabliczki informujące, że z danego placu zabaw mogą korzystać tylko mieszkańcy określonych budynków. Zasada eksterytorialności zaczyna być stosowana wobec nawet sąsiadujących ze sobą budynków, które odgradzają się od innych płotami, co byłoby nie do pomyślenia na starszych osiedlach projektowanych jako przestrzenie wspólne. Grodzenie staje się modnym, choć absurdalnym synonimem bezpieczeństwa. Pojawia się nawet coś w rodzaju ogrodzeniowej „inencji”, kiedy czymś oczywistym staje się ogrodzenie placu zabaw na ogrodzonym już terenie. Przestrzeń publiczna przekształca się w potencjalnie niebezpieczne „zewnątrze”, w przestrzeń kosmiczną.

Zdrowe proporcje

Lokalność nie jest oczywiście bożkiem i celem samym w sobie, ani też jej erozja nie bywa całkowita na dużych obszarach. Dlatego też zawsze można wskazać przykłady, że lokalność ma się dobrze, a z drugiej strony, że jeśli nawet jest w zaniku, to mamy w zamian wiele innych korzyści – tworzą się znajomości ponadlokalne, łatwo dojechać do lasu i multipleksu, aktywizują się ruchy miejskie na rzecz rozwoju infrastruktury rowerowej i pieszej. Ktoś mógłby powiedzieć, że w rezultacie miasta nie są gorsze, tylko inne.

Z drugiej jednak strony wyludniają się centra, bo tam nawet „nie ma gdzie zaparkować”, a cen mieszkań nie rekompensują walory otoczenia. Dzieci tracą znajomych z podwórka i większość czasu przesiadują przed ekranami, bez których nie potrafią się już skupić ani bawić. Spirala rozwoju samochodowego po prostu zatyka miasta, które przecież nie są z gumy. Zaniecza się wydatki na inne cele poza drogowymi. Rośnie skażenie hałasem, wszechobecnym ruchem i zanieczyszczenie powietrza. Coś się jednak trwale zmienia na gorsze i to na całe pokolenia. Nie chodzi o stosowanie zasady albo-albo – albo lokalność, albo mobilność. Chodzi o zdrowe proporcje; o to, aby oparta na bliskości lokalność była podstawową „komórką” relacji ludzie – przestrzeń wszędzie, gdzie to możliwe.



Nie chodzi o stosowanie zasady albo-albo – albo lokalność, albo mobilność. Chodzi o zdrowe proporcje; o to, aby oparta na bliskości lokalność była podstawową „komórką” relacji ludzie – przestrzeń wszędzie, gdzie to możliwe.

To się nawet da obliczyć, tak jak oblicza się ekonomiczną wydolność okolicy do utrzymania kolejnej galerii handlowej. Można stworzyć model współczesnego osiedla połączonego przestrzeniami pieszymi, spełniającymi warunki wygodnego dostępu do miejsc wypoczynku oraz kompleksowego zestawu handlu i usług, które się utrzymają dzięki stałemu „zapyłaniu” przez rój klientów otrzymujących w zamian takie korzyści, jak oszczędności czasu czy pieniędzy i normalne życie społeczne.

Rój wirtualny substytutem naturalnego?

Do osiągnięcia takiej zmiany potrzebny jest społeczny lobbing społeczności lokalnych dojrzałych w tym sensie, żeby umiały świadomie docenić, a nawet celebrować swoją lokalność. Ta dojrzałość musi przenikać lokalne władze i urzędowych decydentów, aby umiały zachować posiadaną już lokalność, przywrócić ją tam, gdzie to możliwe i mądrze otwierać się na mobilność, inwestycje, ponadlokalny świat. Niewątpliwie jest

to trudne w kraju, gdzie własny samochód to swoboda i życiowe osiągnięcie, mieszkanie za drutami i szlabanem to prestiż, komunikacja publiczna to „socjał”, a człowiek na rowerze jest przez niektórych nazywany „lewakiem”.

Jesteśmy obecnie mieszaniną starych, mądrych pszczoł i post-modernistycznych czcicieli dróg, których charakteryzuje bardzo nieuporządkowany i niedojrzały stosunek do tradycyjnych wartości. Mamy jednak wciąż rozpoznawalny etos „małych ojczyzn” i patriotyzmu lokalnego. Istnieje też poczucie więzi niezwiązane z fizycznym dystansem, które napędza wielu mieszkańców lokalnych ośrodków potrafiących komunikować się za pomocą nowych mediów i świadomie pomagających sobie w celu restauracji poczucia dobra wspólnego, niezależnie od dosłownej bliskości. W takich społecznościach ludzie potrafią uzgadniać cele i metody działania w wirtualnej przestrzeni maili, postów, telefonów, spotkań i smsów, która buduje niewidzialne połączenia neuronowe, jednocząc potencjał dobrej woli rozproszony po osiedlach i dzielnicach. To jest prawdziwie dojrzała mądrość roju, ponieważ potrafi dojrzeć korzyści z bycia rojem nawet tam, gdzie nie ma ula, łąki i królowej.

O autorze

Marcin Skrzypek – działacz społeczno-kulturalny w Lublinie, pracownik lubelskiego Ośrodka „Brama Grodzka - Teatr NN” i muzyk folkowej Orkiestry św. Mikołaja. Z wykształcenia anglista. Z zamiłowania analityk kultury i publicysta. Ostatnio współautor aplikacji Lublina do tytułu ESK 2016 oraz Strategii Rozwoju Lublina 2020. Popularyzator kultury przestrzeni, partycypacji społecznej i tzw. kultury szerokiej (d.i.y, kultury niszowe itp.). Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Jaka przestrzeń dla rozwoju lokalności?



dr inż. arch.

GABRIELA REMBARZ

architektka, urbanistka, Politechnika Gdańska

Podwórko-osiedle-dzielnica: wokół tej osi koncentruje się dziś dyskusja publiczna nad lokalnością i rozwojem miejskiej wspólnotowości. Te trzy elementy są zarazem najważniejszymi skalami budowania przestrzeni zamieszkania, od której zależy, czy mieszkamy „razem”, czy jedynie obok siebie. Czy wysoka jakość miejskiej przestrzeni powinna być przez nas traktowana bardziej jako luksus, czy przeciwnie – jako dobro pierwszej potrzeby? Dlaczego budowa lokalnej wspólnotowości wymaga kameralności i mozaikowości? Jak projektować dzielnice, w których dobrze będzie się żyło zarówno ośmio-, jak i osiemdziesięciolatkom?

Dwa modele naprawy miast

Od lat 80. ubiegłego stulecia trwa nieprzerwanie fachowa debata urbanistyczna nad naprawą miasta, które utraciło z horyzontu ludzką skalę. Kryzys paliwowy lat 70. uwidocznił wówczas w Europie Zachodniej ograniczenia prosamochodowego modelu rozwoju ośrodków miejskich. Uwypukliły się także błędy w modelach budownictwa socjalnego, promującego wyizolowane od miasta, wielkoskalarne, jednorodne społecznie i przestrzennie, socjalne dzielnice mieszkaniowe – tzw. blokowiska. Dostrzeżono również zagrożenia niekontrolowanej suburbanizacji. Od tego czasu dokonano fundamentalnej zmiany paradygmatu urbanistycznego, który został określony mianem „powrotu do miasta” (w Niemczech) czy „renesansu miast” (w Wielkiej Brytanii). Nowe założenia planowania, bazujące na docenieniu tradycyjnych cech miejskiej struktury, sprawnie wprowadzono do praktyki w państwach o silnej pozycji planistycznej sektora publicznego.

W krajach wiernych neoliberalnej doktrynie planowania (określanej w dekadach 80-90. jako tzw. *English relations*), podobnie jak w Polsce, zmiany dokonują się wolniej. Katalizują je umacniające się ruchy oddolne. Najbardziej znanym jest amerykański, ale działający międzynarodowo Kongres Nowego Urbanizmu, z którego wywodzi się kanadyjski ruch 8 80 Cities. Jego nazwa ilustruje fundamentalne przekonanie, że tam, gdzie wspólnie dobrze żyje się tak ośmio-, jak i osiemdziesięciolatkom, dobrze żyć będzie się wszystkim. W myśl tej koncepcji nadrzędną wartością staje się skala pieszego, pozwalająca na funkcjonalną niezależność od auta, co umożliwia bezpieczne dorastanie i spokojne starzenie się w tej samej, zrównoważonej społecznie i funkcjonalnie, dzielnicy. Liczy się poczucie niezależności i rozumienia miejsca życia, a co za tym idzie – również świadomość wpływu na kierunek nieuniknionych zmian. Czyli równie ważne w sposobie kształtowania miejsca jest zarówno to, co zmieniamy, ale i to, w jaki sposób to robimy – czy narzucając odgórnie, czy też wypracowując wspólnie.

“

Tam, gdzie wspólnie dobrze żyje się tak ośmio-, jak i osiemdziesięciolatkom, dobrze żyć będzie się wszystkim.

Papierek lakmusowy jakości przestrzeni

W okresie pandemicznym rozumienie tak postawionej tezy dotyczącej kierunku planowania miast staje się oczywiste. Kolejne lockdown'y, a szczególnie stan przymusowej kwarantanny, uznać można za rodzaj testu, w którym sprawdzane są wszystkie cechy struktury miejskiej. Boleśnie wytykane są też jej wady, jak np. za małe i nieelastyczne układy mieszkań, uciążliwa akustyka, puste lokale na krótki wynajem, klatki schodowe i windy, z których korzysta zbyt wiele mieszkańców naraz, osiedla bez podwórek i placów zabaw, dzielnice bez parków, ośrodków zdrowia i drobnych sklepów, wyludnione kwartały turystyczne i biurowe... W ostatnich miesiącach zabudowa wielorodzinna okazywała się niebezpiecznie gęsta, ale jednak w wielu przypadkach system sąsiedzki sprawdzał się tam świetnie. W tym samym czasie własny ogród na suburbiach nie rekompensował wcale wszystkich utraconych zalet życia w mieście.

“ **Czas pandemii uznać można za rodzaj testu, w którym sprawdzane są wszystkie cechy struktury miejskiej. Boleśnie wytykane są jej wady, jak np. za małe i nieelastyczne układy mieszkań, uciążliwa akustyka, osiedla bez podwórek i placów zabaw, dzielnice bez parków, ośrodków zdrowia i drobnych sklepów.**

W warunkach narzuconego społecznego dystansu, zaczęto z nagłym zrozumieniem mówić o promowanym przez ruch 8 80 Cities „mieście 15-minutowym”. Model ten, inaczej nazywany „miastem krótkich dróg”, zakłada budowanie programu funkcjonalnego dzielnic, mając na uwadze szybkie i nieuciążliwe dojście pieszego do podstawowych usług, a w szczególności do szkoły. Jest to znana w Polsce zasada urbanistyczna, sięgająca lat 20. XX wieku, która w krajach silnego statusu planowania miejskiego stosowana jest jako niepodważalny fundament zrównoważonego rozwoju.

Przyjęcie takiej optyki wprowadza kwestię wyważenia wielkości i liczebności zespołów zabudowy. „Miasto 15-minut” nie oznacza bowiem preferowania układu „wieżowce wokół hipermarketu”, lecz jest równoznaczne z dbałością o wykształcenie niezbędnej kameralności i dogodnych funkcjonalnych powiązań pieszych w granicach osiedla i dzielnicy. Przestrzenią półpubliczną ani integrującym mieszkańców podwórkiem nie będzie nigdy strefa między budynkami wypełniona pustym trawnikiem lub parkingiem. Tym bardziej, gdy z otaczających okien kontrolują ją tysiące par oczu. Takie sytuacje znamy z wielkich osiedli mieszkaniowych z lat 70., a co gorsza doświadczamy ich również – choć w innej formie – w nowych zespołach mieszkaniowych. Przyjaznym sąsiedztwem nie będzie zatem ani falowiec, ani zbiór stłoczonych wieżowców, oferujących punktowo kilkaset, jeśli nie tysiąc i więcej mieszkań. Szczególnie, jeśli są one wynajmowane krótkookresowo, powodując nieustanną rotację ich mieszkańców.

“ **Przestrzenią półpubliczną ani integrującym mieszkańców podwórkiem, nie będzie nigdy strefa między budynkami wypełniona pustym trawnikiem lub parkingiem. Tym bardziej, gdy z otaczających okien kontrolują ją tysiące par oczu.**

W skali Gdańska koncepcja miasta 15-minutowego jest wręcz naturalna dla historycznych przedmieść, takich jak: Oliwa, Wrzeszcz czy Orunia, natomiast sporo przeskalowana w osiedlach z wielkiej płyty, jak na Przymorzu, Zaspie czy Morenie. Zupełnie jednak porzucono jej stosowanie z początkiem lat 90., w realiach „blokowisk nowej generacji” Gdańska-Południe, a tym bardziej w amorficznych obrzeżach rozwijających za Obwodnicą.

Brak wspólnotowości nie służy

W większości nowych zespołów mieszkaniowych z przyczyn komercyjnych minimalizowane są przestrzenie wspólne w budynkach i ich bezpośrednim otoczeniu, powodując wypchnięcie większości aktywności poza strefę bezpośredniego zamieszkania lub na wirtualne fora społecznościowe. To problem utrudniający nie tylko rozwój kompetencji racjonalnego dialogu o przestrzeni dzielnicy, ale też czynnik generujący szereg niekorzystnych zjawisk prowadzących do podniesienia podatności struktur mieszkaniowych na degradację.

Brak wspólnotowości nie służy integracji przybyszów wśród lokalnej społeczności, ułatwia decyzje przeprowadzkowe i utrwala niską odpowiedzialność za szeroko rozumiane sąsiedztwo. Poczucie niestabilności i braku wpływu podkopuje trwałość umów społecznych, wymagających kompromisu i samoograniczenia. Obniżeniu ulega zatem coraz ważniejszy w rankingowaniu pozycji gospodarczej miast czynnik oceny jakości życia. Poza szkołą i kościołem w większości dzielnic mieszkaniowych nie ma gdzie się spotkać ani dzieciom, ani dorosłym, ani tym bardziej powiększającej się grupie seniorów.

“ **Poczucie niestabilności i braku wpływu podkopuje trwałość umów społecznych, wymagających kompromisu i samoograniczenia.**

Ważne jest, aby do podstawowej infrastruktury w dzielnicach zaliczono ponownie obiekty o funkcji „miejsz trzecich”. Są to instytucje oferujące zagospodarowanie czasu między pracą czy szkołą, a domem. Można o nich myśleć w kategorii zaktualizowanych do dzisiejszych potrzeb dawniejszych osiedlowych domów kultury. Obecnie mogą to być domy sąsiedzkie lub nowoczesne centra lokalnej aktywności, przejmujące rolę dzielnicowych animatorów życia społecznego, którzy do tej pory zwyczajowo organizowali się najsilniej wokół lokalnej parafii. I znowu kluczem staje się tu skala, która gwarantować musi osobistą relację, różniącą takie miejsca od oferty komercyjnej.

Problem skali

Temat skali to również kwestia realizacji postulatu uspołeczniania planowania przestrzennego. Poszerzanie partycypacji w budowaniu wizji poprawy jakości życia w dzielnicy znacznie łatwiej wdrożyć we fragmentach miasta o tradycyjnej urbanistyce i skali zabudowy oraz mozaikowej strukturze społecznej, niż w rejonach zdominowanych przez blokowiska czy zespoły wieżowców mieszkaniowych.

“ **Poszerzanie partycypacji w budowaniu wizji poprawy jakości życia w dzielnicy znacznie łatwiej wdrożyć we fragmentach miasta o tradycyjnej urbanistyce i skali zabudowy oraz mozaikowej strukturze społecznej, niż w rejonach zdominowanych przez blokowiska czy zespoły wieżowców mieszkaniowych.**

Posłużę się tu doświadczeniem wyniesionym z praktyki – próbą współpracy z radnymi dzielnicy Przymorze Wielkie. Podobnego typu osiedla w Niemczech posiadają opracowania planistyczne, tzw. plany ramowe (masterplany), pozwalające elastycznie zarówno koordynować inwestowanie, jak i moderować dialog społeczny. W przypadku Przymorza zaporowym problemem startowym dla opracowania podobnego dokumentu w formie partycypacyjnej stała się świadomość wielkiej skali środków i łączącej się z nią inercji do podejmowania zmian. Stworzenie wizji przekształceń w tej skali skoncentrowało się zatem na działaniach estetyzacyjnych – poprawy jakości w mikroskali.

A przecież wiemy – nie tylko w kręgach fachowych – że tego rodzaju dzielnice wymagają wizji rozwojowej, zakładającej unowocześnienie rozumiane jako „umieszczenie”. Nie chodzi tu tylko o akcje naprawcze, a o nowe, całościowe spojrzenie w skali osiedla-dzielnicy, ale też całego miasta i regionu, aby zabezpieczyć je przed niekorzystnymi skutkami przemian rozwojowych. W Gdańsku jest to m.in. wymiana mieszkańców i parcie inwestycyjnie deweloperów mieszkaniowych na dzielnice nadmorskie, którym – odmiennie od powściągliwości mieszkańców falowców – wyobraźnia podpowiada głównie wielkoskalarne inwestycje i megabiznesplany.

Jak osiągnąć mozaikowość?

Praktyka polska istotnie różni się od doświadczeń wiodących krajów europejskich, w których temat jakości kształtowania miast jest ważnym elementem polityki społeczno-gospodarczej. Jego wizualizacją są nie tylko nowe, wielkie dzielnice jak wiedeńskie Seestadt Aspen, Messestadt Riem w Monachium czy sztokholmskie Hammerby i Royal Seaport, ale i mniejsze osiedla, które u progu XXI wieku były projektami pilotażowymi dla określania dzisiejszych założeń miejskiej polityki Unii Europejskiej (np. BO01 Västra Hamnen w Malmö, Tübingen Südstadt czy Vaboun we Freiburgu).

Udowodniły one wielokrotnie, że odejście od tworzenia jednorodnych, licznych (powyżej 2500 mieszkań) zespołów mieszkaniowych i uzyskanie uwarunkowań i jakości niezbędnych dla powstania i funkcjonowania aktywnej i współpracującej mozaikowej wspólnoty możliwe jest jedynie dzięki podejściu z zakresu urbanistyki operacyjnej. Co to konkretniej oznacza? Po pierwsze, stworzenie układu kompatybilnych segmentów programowych (mieszkanie-praca-rekreacja), po drugie połączenie formy przestrzennej z formatem biznesowym realizacji zabudowy, a po trzecie – zaangażowanie nowoczesnych form z zakresu facylitacji społeczności lokalnej (niem. *Quartier Management*).

Jest to w istocie przeniesienie rozwiązań wypracowanych w procesach rewitalizacji na grunt tworzenia nowego środowiska zamieszkania. Pozwala to na uzyskanie zróżnicowanej oferty mieszkaniowej, umożliwiającej poszerzanie modeli finansowania oferty kupna i wynajmu. Budujące jest, że w końcu również w Polsce wzrasta świadomość konieczności zmian w tym kierunku – zarówno na samym rynku, jak i w zakresie polityki mieszkaniowej. Wrocławskie Nowe Żerniki czy Warszawska Dzielnica Społeczna to w skali Polski w pewnym sensie prekursorzy nowych standardów zarówno w kształtowaniu formy przestrzennej, jak i polityki mieszkaniowej uwzględniającej wymiar partycypacji.

Luksus czy dobro pierwszej potrzeby?

Zintegrowane planowanie miast realizowane na wszystkich poziomach i skalach wpisuje temat formy przestrzennej w główne bloki problemowe. I tak też – energia i społeczeństwo postrzegane są jako główne endogeniczne zasoby rozwojowe miast. Dialog, integracja, aktywizacja, zaczynające się w podstawowych zespołach mieszkaniowych i przestrzeniach miejskich, stanowiąc mają natomiast siłę miejskich gospodarek.

Dlatego też, dla przykładu, Kopenhaga podnosi jakość przestrzeni miejskiej nie ze względu na turystów, ale na mieszkańców. Jej strategia rozwoju zaczyna się od hasła: ludzie przed przestrzeniami, przestrzenie przed budynkami. Kładzie to na planowaniu miejskim wysoką odpowiedzialność za kształtowanie przestrzeni publicznej – tak, by ułatwiała ona ludziom naturalne nawiązywanie relacji, choćby wzrokowych. Chodzi o katalizowanie

integracji a przynajmniej niewprowadzanie dodatkowych utrudnień w postaci barier przestrzennych. Jest to pełne rozumienie korzyści z tzw. „dywidendy dobrego dizajnu” – owo brytyjskie pojęcie nakłania do nieżałowania środków inwestycyjnych na wysoką jakość projektowania i urządzania miasta, która zwraca się w postaci zdrowszej, aktywniejszej i kooperującej społeczności miejskiej.

Reasumując, rozważania o relacji formy miasta wobec kwestii tworzenia i aktywizacji wspólnoty lokalnej na poziomie dzielnic-osiedla-podwórka, odnoszą się ściśle do kwestii, czy wysoka jakość przestrzenna jest luksusem czy dobrem pierwszej potrzeby. Adekwatne są tu słowa niemieckiego historyka sztuki, Wolfganga Braunfelsa, cytowane w 1986 r. z okazji 15-lecia programu odnowy miast w Badenii-Wirtembergii: *Kto zawsze tylko to, co najpotrzebniejsze planował, nawet tego nie osiągnął. Ludzie potrzebują emocjonalnej łączności z miejscem swojego zamieszkania, a to wymaga podniesienia estetycznej poprzeczki, kultury projektowania, która nada codziennemu życiu więcej niż tylko blasku.*

“ **Czy wysoką jakość przestrzeni traktować chcemy jako luksus czy dobro pierwszej potrzeby?**

O autorce

Dr inż. arch. **Gabriela Rembarz** – architektka, urbanistka, aktywna projektantka. Adiunkt w Katedrze Urbanistyki i Planowania Regionalnego Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej. Jej dorobek naukowy w studiach nad procesem reurbanizacji monostruktur mieszkaniowych i rewitalizacji miast poparty jest znaczącym doświadczeniem wdrożeniowym w planowaniu miejskim. W 2015 r. współtworzyła zespół prowadzący Społeczną Akademię Planowania w ramach projektu „Quo Vadis, Gdańsku? Mieszkańcy planują swoje miasto”. Absolwentka Politechniki Gdańskiej, Universität Stuttgart, Politechniki Warszawskiej oraz Massachusetts Institute of Technology SPURS Program Fellow. Członkini DASL Deutsche Akademie für Städtebau und Landesplanung, The International Society of City and Regional Planners oraz Towarzystwa Urbanistów Polskich.

Miasto sąsiedztw



dr inż. arch.

ŁUKASZ PANCEWICZ

Politechnika Gdańska, A2P2

Miasto sąsiedztw bazuje na aktywności obywatelskiej mieszkańców oraz odpowiednio zaprojektowanej przestrzeni, ułatwiającej tworzenie autentycznych więzi międzyludzkich. W takim mieście wszelkie decyzje są owocem negocjacji pomiędzy interesami zróżnicowanych, małych, lokalnych wspólnot a szerszą społecznością miejską oraz miejscowymi władzami. Jak wspierać budowanie miejskich sąsiedztw? Jakie mogą być mechanizmy współdecydowania o lokalnych sprawach? Dlaczego potrzebujemy ogólnomiejskiej idei „bycia razem” stanowiącej coś szerszego, niż tylko sumę pojedynczych, miejscowych interesów?

Sąsiedzkość w mieście

Sąsiedzkość i lokalność są uznawane za remedium na wiele problemów związanych z życiem w dużym mieście, jak np. poczucie alienacji czy anonimowości. Ostatecznie to kontakt z sąsiadami – na ulicy, w kamienicy, w lokalnej organizacji czy radzie rodziców – daje najprostszą możliwość budowania relacji czy inicjowania realnej zmiany na własnym podwórku. Szczególnie w czasach kryzysu wspólnota jest traktowana jako najbliższa ostoja i ochrona przed zewnętrznymi zawirowaniami. Widzieliśmy to chociażby na początku obecnej pandemii, kiedy osoby mieszkające w okolicy tworzyły pierwsze ratunkowe sieci pomocy.

Perspektywa lokalna często jest kojarzona z małą skalą i krótkim dystansem – zarówno fizycznie, jak i w zakresie międzyludzkiej komunikacji, sprawczości i odpowiedzialności. W rzeczywistości jednak żyjemy w wielowymiarowym, hybrydowym świecie, gdzie płaszczyzna lokalna przenika się z miejską i globalną. Mieszkanie razem może, ale nie musi oznaczać od razu tworzenia wspólnoty. Dzięki sieci jesteśmy przecież w stanie konstruować życie społeczne szerzej, niż tylko w ramach wspólnej ulicy, szkoły czy miejsca pracy.

Idea lokalności nie jest pozbawiona wad. Wspólnota może być wykluczająca dla osób niepasujących do przyjętych w niej społecznych standardów albo chcieć „grać do własnej bramki” kosztem innych. Dlatego tak ważne jest budowanie wspólnej sprawy, łączącej interesy ponad podziałami.

Trzy czynniki budowania wspólnot

Podstawą budowania sąsiedzkości może być odpowiednio zaprojektowana przestrzeń, umożliwiająca „zgranie” fizycznego wymiaru sąsiedztwa z tworzeniem autentycznych więzi międzyludzkich. Aby było to możliwe, niezbędne jest zapewnienie trzech rzeczy: odpowiedniej gęstości zabudowy, infrastruktury sąsiedzkiej oraz przestrzeni dla odrębności i różnorodności.



Podstawą budowania sąsiedzkości może być odpowiednio zaprojektowana przestrzeń, umożliwiająca „zgranie” fizycznego wymiaru

sąsiedztwa z tworzeniem autentycznych więzi międzyludzkich.

Gęstość zabudowy wpływa na bliskie współdzielenie przestrzeni miejskiej przez mieszkańców. Kluczowa jest tu rola gminy, która za sprawą planowania przestrzennego może tworzyć ku temu sprzyjające warunki.

Drugim, ważniejszym aspektem – infrastrukturą sąsiedzką – są miejsca, w których mieszkańcy mogą się spontanicznie spotykać, bez konieczności wnoszenia opłat czy pokonywania innego typu barier wejścia. Mam tu na myśli m.in. skwery, parki, publiczne biblioteki, kluby sąsiedzkie. Nie jest to idea nowa – fenomen „trzech miejsc”, czyli przestrzeni niebędących ani miejscem pracy, ani też zamieszkania, a pełniących funkcję społecznego spoiwa, był podkreślany już niemal 30 lat temu w badaniach Raya Oldenburga. Zresztą już Frederick Law Olmstead – ojciec amerykańskiej architektury krajobrazu i jeden z inicjatorów budowy Central Parku – prawie 170 lat temu, w warunkach drapieżnej, wolnorynkowej urbanizacji miast, wskazywał na konieczność tworzenia parków jako egalitarnych miejsc uczących wspólnego życia.

Paradoksalnie ostatnim z przestrzennych czynników sąsiedzkości jest zapewnienie miejsca dla różnorodności i bezpieczeństwa dla jej ekspresji. Sąsiedzkość nie jest bowiem równoznaczna z przymusem homogenizacji – najlepszym spoiwem społecznym są relacje między bezpieczeństwem płynącym z bycia w jednorodnej wspólnocie a odrębnością. Zdaniem socjologa Richarda Sennetta mogą one zachodzić na „miejskich krawędziach” – przestrzeniach styku dla różnych grup. Mogą być nimi przestrzenie publiczne czy miejsca wielofunkcyjne (poliwalentne), np. domy sąsiedzkie.

Jak wspierać sąsiedzkość?

Mając to wszystko na uwadze, niezwykle istotną kwestią staje się utrzymanie zasobów i usług publicznych. Konieczność realizacji i ochrony zasobu sąsiedzkiego oraz dzielnicowej infrastruktury leży w Polsce w gestii gmin, które mają obowiązek je utrzymywać i opłacać. Może to być też oczywiście powierzone organizacjom społecznym (w formie najmu) dla potrzeb realizacji działań sąsiedzkich. Póki co nielicznymi przykładami takich działań są społeczne domy kultury (np. łódzkie Miejskie Spotkań na Starym Polesiu) czy kamienice wielopokoleniowe. Bazują one na komunalnym zasobie lokalowym.

Model publiczny i „uspołeczniony” muszą działać w tandemie – nie powinny być całościowo zastąpione ani działaniami trzeciego sektora, ani też sprywatyzowane. Całkowita prywatyzacja nigdy nie pozwoli bowiem na utrzymanie wszystkich usług sąsiedzkich – długofalowo logika zysku, dyktująca np. stawki czynszów czy ograniczenia wynikające z interesów właścicieli, będzie zabójcza dla działań niegenerujących dochodów i sprzyjających wszystkim mieszkańcom. A takimi są przecież działania społeczne. Dlatego też warto dbać o zapewnienie mechanizmów obrony infrastruktury sąsiedzkiej przed prywatyzacyjnymi zakusami i danie możliwości dostosowania jej do nowych potrzeb, wynikających ze zmieniającej się struktury życia dzielnic, jak np. rosnącej liczby osób żyjących samodzielnie czy też osób starszych.



Całkowita prywatyzacja nigdy nie pozwoli na utrzymanie wszystkich usług sąsiedzkich – długofalowo logika zysku będzie zabójcza dla działań niegenerujących dochodów i sprzyjających wszystkim mieszkańcom.

Ciekawy jest w tym kontekście przykład miast brytyjskich, które wypracowały pojęcie „listy zasobów o wartości sąsiedzkiej”. Nieruchomości pełniące dotychczas funkcje rekreacyjne, społeczne lub sportowe, wobec których istnieje uzasadnienie, że będą tak wykorzystywane przez kolejnych 5 lat, zostają tam objęte specjalnym statusem prawnym. Ich swobodny obrót jest ograniczony, a lokalne organizacje mogą brać udział w licytacji w celu ich wykupu. Choć w dobie prywatyzacji miasta pomysł ten jest narażony na efekt rywalizacji z prywatnym kapitałem, zwraca uwagę sam fakt wyróżnienia statusu infrastruktury komunalnej poza własnością gminną.

Nowym kierunkiem myślenia jest także zaangażowanie modeli bazujących na koncepcji lokalnych walut lub mechanizmów blockchainowych dla wsparcia kluczowych usług sąsiedzkich. Mówiąc prościej, chodzi o ukierunkowanie np. podatków lub opłat na rzecz konkretnej miejscowej nieruchomości publicznej lub usługi. Pośrednio takie zadanie pełnią w Polsce kampanie oddawania 1 proc. podatku na organizacje pożytku publicznego.

Pomocą dla myślenia „dzielnicowego” jest także projektowanie infrastruktury przestrzeni publicznych – pionierem była tu Łódź z projektami dla Starego Polesia i Ogrodów Sukienniczych, a niedawno plan działań wobec śródmieścia ogłosiła Warszawa. Są to koncepcje łączące myślenie infrastrukturalne z sąsiedzkim. Modele współdecydowania o inwestycjach w skali dzielnic, wypracowane w Gorzowie Wielkopolskim czy Dąbrowie Górniczej, to z kolei następna podpowiedź, jak przy zaangażowaniu mieszkańców wpływać na kierunki budowy wspólnej infrastruktury.

Mechanizmy współdecydowania

Wspólnotowość wiąże się z podejmowaniem przez mieszkańców działań związanych z życiem sąsiedztwa. W tym celu niektóre zadania lokalne są chociażby powierzane różnym organizacjom społecznym poprzez konkursy grantowe, nieraz też podmioty te otrzymują pole i miejsce dla kultywowania własnych potrzeb. Jest to najbardziej powszechny sposób angażowania potencjału sąsiedzkiego. Jego energia jest często nakierowana na istotne z perspektywy mieszkańców sprawy dotyczące ich najbliższych okolic oraz całego miasta. Stąd też pojawiają się liczne inicjatywy w zakresie ochrony drzew, miejskiego transportu czy różnych decyzji dotyczących poszczególnych dzielnic.

Przedsięwzięcia te budzą często obawy ze strony samorządowców, widzących w nich potencjalne zagrożenie dla ich władzy. Jest to jednak perspektywa polityki słabości – miasto stanowi bowiem pole stałych negocjacji i powinno uwzględniać oczekiwania oraz odczucia lokalnych mieszkańców.

Generalnie jednak miasta powoli odrabiają polityczną lekcję współdecydowania o sprawach miejskich w oparciu o trwały dialog z lokalnymi społecznościami. Świadczy o tym chociażby rosnąca popularność paneli obywatelskich. Panele klimatyczne prowadzi Warszawa, Poznań i Kraków, Wrocław debatował o transporcie zbiorowym, a Łódź o miejskiej zieleni. Czasem jednak narzędzie to nadal bywa traktowane przez lokalnych włodarzy dość podejrzliwie.



Generalnie miasta powoli odrabiają polityczną lekcję współdecydowania o sprawach miejskich w oparciu o trwały dialog z lokalnymi społecznościami. Świadczy o tym chociażby rosnąca popularność paneli obywatelskich.

Harmonia między lokalnym a miejskim

W idealnym mieście sąsiedztw wymiar lokalny i miejski wzajemnie się uzupełniają i wzmacniają. Miasto sąsiedztw bazuje zatem na aktywności obywatelskiej mieszkańców oraz odpowiednim wsparciu infrastruktury, w tym m.in. sąsiedzkich parków, dzielnicowych szkół, usług blisko domu. W takim mieście wszelkie decyzje są owocem negocjacji pomiędzy interesami zróżnicowanych, małych, lokalnych wspólnot a szerszą społecznością miejską oraz miejscowymi władzami. W dzisiejszych realiach rosnących podziałów wymaga to także realizacji ogólnomiejskiej idei „bycia razem”, która jest czymś szerszym niż tylko sumą lokalnych interesów.

O autorze

Dr inż. arch. **Łukasz Pancewicz** – urbanista, nauczyciel akademicki, razem z Moniką Arczyńską i zespołem współtworzy biuro A2P2, które zajmuje się rozwiązywaniem złożonych miejskich problemów. W ramach A2P2 stosuje narzędzia współprojektowania i partycypacji dla tworzenia nowych fragmentów miasta, projektowania usług i analizy danych. W swojej praktyce zajmuje się projektami urbanistycznymi (m.in. Stocznia Cesarska w Gdańsku, Stare Świdry, Port Praski w Warszawie, Estakady w Krakowie), przestrzeni publicznych (Abrahama w Gdyni, Plac Wolności w Łodzi), usług (system roweru publicznego w GZM). Wcześniej pracował jako konsultant i urzędnik, m.in. planując dla Łodzi. Stażował w Massachusetts Institute of Technology.

Jakie planowanie przestrzenne, jaki urbanista?



dr inż. arch.

HANNA OBRACHT-PRONDZYŃSKA

Politechnika Gdańska

Jaka przestrzeń sprzyja dobremu sąsiedztwu i lokalności? Dlaczego, obok regulacji, tak ważna jest edukacja przestrzenna oraz kształtowanie świadomości – tak mieszkańców, jak i samorządowców? Jakie kompetencje powinny cechować dobrego urbanistę?

Dobry czas małych miast?

Trwająca epidemia obnażyła wiele niedoskonałości przestrzeni współczesnych miast, prowokując dyskusję o tym, czego dziś w nich potrzebujemy. W tym kontekście na radarze pojawiły małe miasta jako ośrodki będące w stanie zapewnić nam dostęp do najpotrzebniejszych usług oraz do natury. W dodatku ich skala sprawia, że budzący dziś obawy wielu użytkowników transport publiczny z łatwością może być tam zastępowany ruchem pieszym czy rowerowym.

Czy małe miasta czeka zatem złoty okres w okresie postpandemicznym? W dobie galopujących cen nieruchomości w metropoliach oraz coraz szerszej możliwości pracy zdalnej, atrakcyjność osiedleńcza takich ośrodków powinna wzrastać. Można zatem założyć, że planowanie regionalne powinno uwzględnić spodziewany trend, a władze małych miast powinni wykorzystać go do budowania strategii przyciągania nowych mieszkańców.

“ **Czy małe miasta czeka złoty okres w okresie postpandemicznym? W dobie galopujących cen nieruchomości w metropoliach oraz coraz szerszej możliwości pracy zdalnej, atrakcyjność osiedleńcza takich ośrodków powinna wzrastać.**

Aktualnym pozostaje jednak pytanie, czy urbanistyka rzeczywiście zwróci się w kierunku projektowania miast o takiej skali. Przecież nawet metropolie, by zapewnić wielofunkcyjność oraz wysoką jakość życia, powinny – w dużej mierze – być właśnie multiplikacją małych ośrodków. Wiele będzie zależało od samorządów – tak na szczeblu lokalnym, jak i regionalnym. Nie zmienia to faktu, że pozostają jeszcze inne kwestie, które choć dyskutowane od lat, obecnie przybierają znacząco na sile.

Projektowanie regulacyjne

Ostatnio wrócił temat reformy planowania przestrzennego. Pojawiają się głosy, jakich narzędzi planistycznych potrzebujemy oraz czy te, jakimi obecnie dysponujemy, są wystarczające? Czy wprowadzenie np. planu ogólnego rozwiąże bolączki współczesnych miast? Być może problem tak naprawdę leży gdzie indziej. Czyż nie jest

wyzwaniem samo prawo zamówień publicznych, które za sprawą kryterium cenowego wielokrotnie powoduje, że oferenci obniżają wartość usług, a to z kolei przekłada się na jakość tworzonych dokumentów? W tym kontekście pojawia się też często kwestia etyki zawodowej – czy więcej zleceń może przełożyć się na dobry poziom opracowania?

Osobne zagadnienie stanowi traktowanie planowania przestrzennego w Polsce. Ogranicza się ono zazwyczaj do planów określających funkcje zabudowy i wskaźników urbanistycznych związanych jedynie z kubaturą. Niemal nie istnieje natomiast projektowanie urbanistyczne (*urban design*), w ramach którego możliwe byłoby określenie rzeczywistej kompozycji urbanistycznej oraz koncepcji zagospodarowania przestrzeni publicznych.

“ **Niemal nie istnieje w naszym kraju projektowanie urbanistyczne (*urban design*), w ramach którego możliwe byłoby określenie rzeczywistej kompozycji urbanistycznej oraz koncepcji zagospodarowania przestrzeni publicznych.**

Potęga edukacji przestrzennej

Niestety też, żaden dokument planistyczny nie da nam gwarancji dobrej jakości zabudowy oraz ładu przestrzennego. Traktujemy często regulacje jako jedyny sposób na ratowanie przestrzeni naszych miast, nie doceniając potęgi edukacji. Edukacja przestrzenna oraz kształtowanie świadomości mieszkańców i samorządowców może w rzeczywistości okazać się kluczem do sukcesu. Dostęp do dobrych praktyk, pokazywanie zrealizowanych z sukcesem przedsięwzięć, a także tworzenie oferty wsparcia samorządów w trudnych tematach, może w dłuższej perspektywie być skuteczniejsze niż przeregulowywanie kolejnych obszarów.

“ **Traktujemy często regulacje jako jedyny sposób na ratunek polskiej przestrzeni, nie doceniając potęgi edukacji. Edukacja przestrzenna oraz kształtowanie świadomości mieszkańców, samorządowców może w rzeczywistości okazać się kluczem do sukcesu.**

Potęga wiedzy

Potrzeba ciągłej edukacji niezwykle potrzebna jest też nam, urbanistom. Miasto jest złożonym organizmem, trendy się zmieniają, pojawiają się nowe wyzwania. Rozwój technologii dostarcza nam nowych narzędzi, po które powinniśmy sięgać, by lepiej rozumieć procesy zachodzące w przestrzeniach miejskich. Zbyt często niestety kierujemy się intuicją, a tym samym umykają nam kwestie, które dla mieszkańców mogą okazać się kluczowe.

Ciekawe przykłady przywołała autorka książki pt. *Niewidzialne kobiety. Jak dane tworzą świat skrojony pod mężczyzn*. W części poświęconej urbanistyce odwołała się do kwestii, które (muszę to przyznać – mi, kobiecie-urbanistce) otwierają oczy na zróżnicowanie potrzeb. Pokazała – począwszy od drobnej skali – różne

oczekiwania względem projektowania parków pod aktywność kobiet i mężczyzn, aż po skalę działań strategicznych: przesiedleń z faweli do nowych mieszkań, które przez oddalenie od pracy, brak zapewnienia bezpiecznego dojazdu oraz nieuwzględnienie potrzeb mieszkaniowych wielopokoleniowej rodziny okazały się z perspektywy projektujących je urbanistów porażką.

Narzędzia ewaluacji

Nie doceniamy wartości narzędzi monitoringu czy ewaluacji, przez co rzadko w parze z planowaniem przestrzennym wdrażana jest strategia uczenia się. Prowadzone badania nad miastami zbyt często oderwane są od podejmowanych decyzji projektowych. Tymczasem dynamika rozwoju miast i życia miejskiego wymagają od nas precyzyjniejszego spojrzenia na zachodzące procesy i szybszego reagowania na zjawiska obserwowane w przestrzeni zurbanizowanej. Wiele firm, wprowadzając na rynek nowe rozwiązania, zatrudnia w zespole analityków danych, dzięki czemu możliwe jest ciągłe udoskonalanie produktów oraz usług. Czy urbanista, projektując koncepcje dla miast, nie powinien robić tego w bliskiej współpracy ze specjalistami?

Moc współpracy

Umiejętność współpracy powinna być nadrzędną cechą urbanisty. Złożoność procesów kształtujących współczesne miasta wymaga od nas specjalizacji w konkretnych obszarach planowania ich rozwoju. To zaś przekłada się na potrzebę angażowania różnych specjalistów w tenże proces.

Krzepiącym przykładem z naszego województwa jest wprowadzone przez Pomorskie Biuro Planowania Regionalnego narzędzie dialogu terytorialnego. Gmina przystępująca do sporządzania studium jest zapraszana do rozmów o tym, co z perspektywy samorządu wojewódzkiego byłoby istotne do ujęcia w dokumencie gminnym. Takie rozwiązanie, choć niebędące wymogiem ustawowym, daje możliwość szukania kompromisu już na wczesnym etapie procesu planowania. W praktyce zazwyczaj dzieje się to w fazie końcowej, kiedy dokument jest już opracowany.



Złożoność procesów kształtujących współczesne miasta wymaga od nas specjalizacji w konkretnych obszarach planowania ich rozwoju. To zaś przekłada się na potrzebę angażowania różnych specjalistów w tenże proces. Dlatego umiejętność współpracy powinna być nadrzędną cechą urbanisty.

Współczesny urbanista i edukacja urbanistów

Projektant, mediator, koordynator, analityk danych, ekonomista, socjolog, prawnik – każdy z nas zna te zawody. Kim dzisiaj natomiast jest urbanista, szczególnie że specjalistów w tym zakresie – wprost tak nazwanych – obecnie nie kształcimy? Po likwidacji izby zawód ten przestał w zasadzie istnieć.

Współcześnie coraz częściej pole w projektowaniu miast oddajemy architektom – mającym dobrą wyobraźnię przestrzenną, geografom – będącym często dobrymi analitykami danych, absolwentom gospodarki przestrzennej, którzy nabywają zdolność holistycznego spojrzenia na procedury, przepisy, analizę urbanistyczną oraz procesy kształtujące miasta. Naszych uczelni nie kończą jednak urbaniści, łączący te wszystkie kompetencje. Uwidacznia to tym bardziej potrzebę budowania umiejętności współpracy oraz ciągłej, wzajemnej edukacji.

O autorce

Dr inż. arch. **Hanna Obracht-Prondzyńska** – architektka i urbanistka, absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej, gdzie obecnie jest adiunktem w Katedrze Urbanistyki i Planowania Regionalnego. Pracowała w Pomorskim Biurze Planowania Regionalnego, m.in. przy planie zagospodarowania przestrzennego województwa pomorskiego oraz planie dla obszaru metropolitalnego Gdańsk-Gdynia-Sopot. Doświadczenie zawodowe zbierała pracując przy projektach m.in. w USA, RPA, Chinach, Rumunii, Niemczech. Jest członkiem zarządu Towarzystwa Urbanistów Polskich, o. Gdańsk, oraz aktywnym członkiem międzynarodowego stowarzyszenia planistów miejskich i regionalnych (ISOCARP).

BIZNES DLA LOKALNOŚCI, LOKALNOŚĆ DLA BIZNESU

Ekonomia pączka – czyli jak być dobrym sąsiadem w globalnej wiosce



PIOTR WOŁKOWIŃSKI

ekspert ds. partycypacji, rewitalizacji oraz ekonomii społecznej

Dominujący w ubiegłym stuleciu model wzrostu gospodarczego za wszelką cenę postawił nas dziś na skraju przepaści. Nadmiernie wyeksploatowane zasoby Ziemi, niespotykany wzrost nierówności społecznych, kryzys klimatyczny – to tylko niektóre z jego konsekwencji. Potrzebna nam jest dziś zmiana nastawienia, pozwalająca na lepsze zbalansowanie ludzkich potrzeb z pułapem ekologicznym naszej planety. W jaki sposób tego dokonać? Z pomocą przychodzi nam ekonomia pączka, która uczy nas chociażby tego, w jaki sposób być dobrym sąsiadem. Takim, którego horyzont myślenia i działań nie obejmuje troski jedynie o swoją najbliższą okolicę, lecz szerzej – o cały świat.

Ludzka natura – współzawodnicząca czy współpracująca?

Bycie dobrym sąsiadem w globalnej wiosce w XXI wieku wymaga oderwania się od tradycji, zwyczajów i przekonań, na których oparty był wiek XX. Przykładowo, w ubiegłym stuleciu dużą popularność na całym świecie zyskała pewna wizja człowieka, którą zaprezentował w poczytnej noweli pt. *Władca much* William Golding. Autor opisał fikcyjną historię grupy młodych ludzi, którzy w wyniku lotniczej katastrofy zostali rzućeni przez los na bezludną wyspę. Ich relacje, ujęte w sposób realistyczny, wskazują na raczej współzawodniczący i niszczycielski charakter człowieczej natury, co zostało dość powszechnie przyjęte jako prawdziwe. Czy jednak faktycznie jesteśmy skazani na konflikt i zatracenie ludzkich odruchów?

Rutger Bregman w swojej najnowszej książce pt. *Homo Sapiens, ludzie są lepsi, niż myślisz*, opisał grupę chłopców z Australii, którzy naprawdę znaleźli się na bezludnej wyspie, spędzili na niej blisko rok i dzięki współpracy – przeżyli. Ich doświadczenia i opowieści zupełnie zaprzeczają tezom Goldinga – robili oni wszystko, aby wspierać się wzajemnie i jakoś przetrwać trudne momenty. Choć zestawiamy tutaj fikcyjną opowieść literacką niezwykle pesymistycznie opisującą naturę człowieka oraz prawdziwą historię dramatycznych zdarzeń, która pokazuje, że jesteśmy chyba lepsi niż myślimy, należy zauważyć, że współczesny świat nadal mentalnie tkwi w wersji autora *Władcy much*. Dobrze byłoby to zmienić.

Bregman, analizując we wspomnianej książce 200 tysięcy lat historii człowieka, sugeruje że jako gatunek jesteśmy raczej istotami współpracującymi. Udowadnia on, jak wiele teorii na nasz temat zostało skonstruowanych bardziej na podstawie tego, co ludzie chcieli usłyszeć, niż w oparciu o wyniki badań. To pozytywne podejście do człowieka, dostrzeganie w nas współpracowników, współpomocników, współprojektantów i współtwórców, dość dobrze wpisuje się w wiele współczesnych idei, których wspólnym mianownikiem jest dążenie do tworzenia nowych przestrzeni wspólnych, podejmowanie wspólnych działań i przede wszystkim – znajdowanie wspólnych wartości.

Moje doświadczenie pracy z ludźmi doprowadziło mnie do wielkiego uznania dla natury ludzkiej i do poczucia, iż każda sytuacja oraz każda osoba może wnieść coś pozytywnego, o ile uda się pchnąć jej energię w kierunku dla niej motywującym, a zarazem zbieżnym z celem, nad którym wspólnie pracujemy. Dotyczy to osób

ze wszystkich grup wiekowych. Każdy z nas posiada energię, którą można umiejętnie zarządzać i którą należy zrozumieć. Nawiązując do miast – aby były one w stanie w pełni wykorzystać potencjał swych mieszkańców, muszą wyjść z XX-wiecznego teorii rozwoju i uwierzyć w siłę oraz chęć międzyludzkiej współpracy.

“ **Aby miasta były w stanie w pełni wykorzystać potencjał swych mieszkańców, muszą uwierzyć w siłę oraz chęć międzyludzkiej współpracy.**

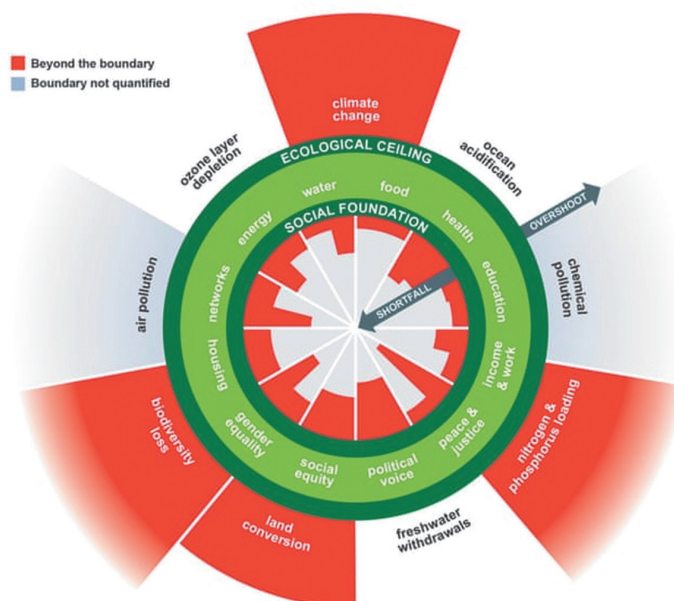
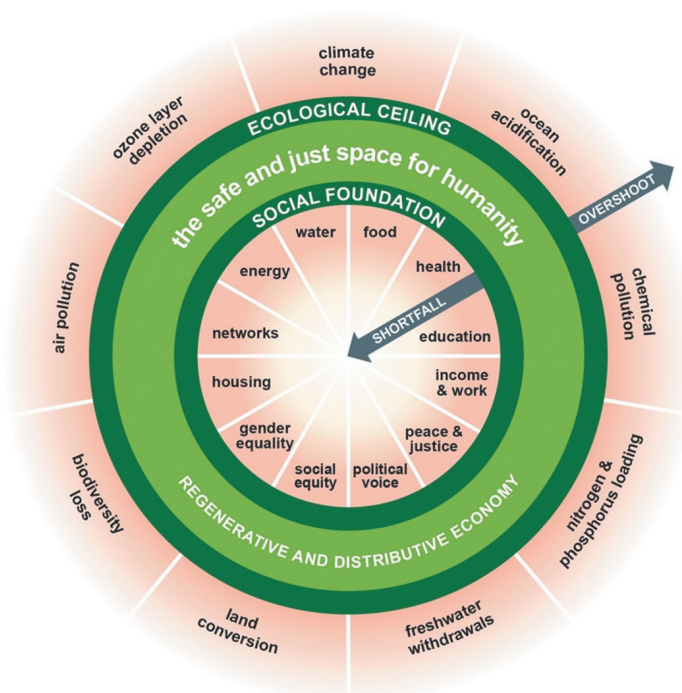
Człowiek a planeta Ziemia

Oczywiście, pozytywne aspekty charakteru ludzkiego (same w sobie) nie pozwalają na efektywne wykorzystywanie synergii i potencjału współpracy, czy to na poziomie ulicy, dzielnicy, miasta, czy to krajów, kontynentów lub całej Ziemi. Do tego potrzebne są nam narzędzia, które pozwalają na współzarządzanie różnymi obszarami w sposób spójny.

Dominująca w XX wieku teoria wzrostu gospodarczego za wszelką cenę doprowadziła do nadmiernej eksploatacji zasobów naszej planety, a równocześnie do dużego wzrostu nierówności. Jeden procent ludzi stał się nader bogaty, a rozdźwięk dochodowy pomiędzy południem i północą jeszcze się pogłębił, powodując migracje. Efektem tak szerokiego upowszechnienia teorii wzrostu stał się również kryzys klimatyczny, będący największym wyzwaniem obecnych czasów. Wyzwaniem, które wymagać będzie współpracy na niespotykaną dotychczas skalę.

Pomocny w zrozumieniu różnorodnych współzależności rozwojowych jest alternatywny model gospodarczy, oparty na obserwacji potrzeb ludzkich oraz naturalnych ograniczeń naszej planety, opracowany przez brytyjską ekonomistkę Kate Raworth, wykładowczynię Uniwersytetu w Oxford. Jej koncepcja oparta jest na zasadach regeneracji ekosystemów oraz redystrybucji, a ze względu na specyficzny kształt, została nazwana „ekonomią pączka z dziurką” (*Doughnut Economics*).

Wewnętrzna ściana pączka stanowi społeczną podstawę (*social foundation*) istnienia i funkcjonowania człowieka w oparciu o 12 elementów zasadniczych: żywność, zdrowie, edukację, dochód, pokój i sprawiedliwość, głos polityczny, sprawiedliwość społeczną, równość płci, budownictwo



mieszkaniowe, sieci, energię i wodę. Cała ludzkość powinna się znajdować pomiędzy tą społeczną podstawą, a pułapem ekologicznym planety, który wyznacza 9 zagrożeń dla jej bezpieczeństwa, związanych ze: zmianami klimatycznymi, zakwaszeniem oceanów, zanieczyszczeniem chemicznym, ładunkami azotu i fosforu, poborami wody słodkiej, zmianami użytkowania ziemi, utratą różnorodności biologicznej, zanieczyszczeniem powietrza oraz zanikaniem warstwy ozonowej.



Dominująca w XX wieku teoria wzrostu gospodarczego za wszelką cenę doprowadziła do nadmiernej eksploatacji zasobów naszej planety, a równocześnie do dużego wzrostu nierówności. Ekonomia pączka jest drogą do odbudowania zaburzonej równowagi.

W rzeczywistości wiele warunków godnego życia nie jest obecnie spełnionych, a limity zagrożenia dla planety są już od dawna znacząco przekroczone.

Być dobrym sąsiadem, dbającym o planetę

Raworth uważa, że można osiągnąć zmianę, ale potrzebujemy do tego ewolucji w sposobie myślenia oraz wprowadzenia odpowiedniego prawa. Dynamika zmian jest prawie całkowicie zależna od świadomości większości ludzi, poczynając od perspektywy dominującej na poziomie rządowym, regionalnym i miejskim, aż po poziom lokalny (dzielnic, ulic i siedlisk).

Ekonomistka proponuje, aby samorządy – znajdujące się wszakże najbliżej mieszkańca – zastanowiły się nad zmianą zasadniczego paradygmatu, odchodząc od rozwoju za wszelką cenę. Pomocne może być postawienie sobie następującego pytania: *W jaki sposób nasze miasto może stać się miejscem rozkwitających (ang. thriving) mieszkańców, równocześnie samo rozkwitając (jako przestrzeń) i szanując dobrostan wszystkich ludzi oraz zdrowie całej planety?*

To pytanie dotyczy nas wszystkich – jest wyzwaniem globalnym. Jednakże lokalne odpowiedzi – na poziomie: miasta, aglomeracji, obszaru funkcjonalnego, ale też dzielnicy, ulicy, osiedla, siedliska – mogą być bardzo różne. Aby dobrze to przepracować, powinniśmy zastanowić się nad czterema dylematami:

1. Jakie warunki sprawią, że ludzie będą rozkwitali?
2. Co sprawi, że miasto/dzielnica będą rozkwitały w swoim naturalnym otoczeniu?
3. W jakim wymiarze miasto/dzielnica mogą zadbać o większe poszanowanie dobrostanu ludzi na całym świecie?
4. Co możemy zrobić, aby miasto/dzielnica bardziej szanowały zdrowie całej planety?

Raworth przypomina, że gdy Amsterdam przyjmował „pączka” jako swoją strategię, grupa ekspertów wprowadzających ten model przeanalizowała m.in. źródła pochodzenia wszystkich produktów napływających do miasta. Radnym i decydentom uświadomiło to, że część tych towarów pochodzi z pracy dzieci lub z miejsc, gdzie warunki pracy są znacznie gorsze niż w Holandii. Skonfrontowanie się z niewygodną prawdą i przyjęcie jej pomogło w zmianie punktu widzenia i zachęciło do zmiany. To właśnie tego rodzaju przemiana, wynikająca z wewnętrznej motywacji, wydaje się najtrwalsza i najskuteczniejsza. Przekłada się ona także na lokalnych mieszkańców – stają się dumni ze swojego miasta czy dzielnicy i nie tylko sami zaczynają lepiej o nią dbać,

ale również odważniej wpływają na to, jak „tu, u nich” zachowują się osoby z zewnątrz. Takie upodmiotowienie i poczucie współwłasności stanowi często załączek realnej współpracy i tworzy podwaliny społeczności lokalnej.

“

Gdy mieszkańcy stają się dumni ze swojej dzielnicy, nie tylko sami zaczynają lepiej o nią dbać, ale również odważniej wpływają na to, jak „tu, u nich” zachowują się osoby z zewnątrz. Takie upodmiotowienie i poczucie współwłasności stanowi często załączek realnej współpracy i tworzy podwaliny społeczności lokalnej.

Jak zatem być dobrym sąsiadem w globalnej wiosce? Różne drogi prowadzą do celu, jednak ich wspólnym mianownikiem jest z pewnością to, by dbać i rozwijać to, co lokalne, nie tracąc z oczu naszej globalnej odpowiedzialności i troski o Ziemię.

O autorze

Piotr Wołkowiński – ekspert w międzynarodowych projektach dotyczących partycypacji oraz partnerstw. Od 13 lat związany z Trójmiastem, gdzie m.in. prowadził rewitalizację społeczną jednej z dzielnic Gdyni oraz współtworzył strategię „Gdańsk 2030 Plus”. Od kilku lat współpracuje z Ministerstwem Infrastruktury i Rozwoju (MIIR) jako moderator konferencji i warsztatów. Współmoderował przygotowania do nowopryjętej Karty Lipskiej 2.0 w dziedzinie polityki miejskiej. Współpracuje z Gdańskiem w projekcie URBACT: „My Generation at Work”, tworząc m.in. sieć nauczycieli „Kreatywna Pedagogika”, mającą na celu rozwijanie warsztatu gdańskich nauczycieli. Był wiodącym ekspertem sieci URBACT „Boosting Social Innovation” z 12 miastami (m.in. Paryżem, Mediolanem czy Barceloną), a obecnie prowadzi sieć transferu w dziedzinie rewitalizacji „Urban Regeneration Mix”, której przewodniczy Łódź. Absolwent Uniwersytetu Londyńskiego.

Biurowce dobrymi sąsiadami?



KATARZYNA ZAWODNA-BIJOCH

Prezeska Zarządu, spółka biurowa Skanska w regionie Europy Środkowo-Wschodniej,
Wiceprzewodnicząca Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Choć praca z domu jest dla wielu z nas wygodna, to jednak właśnie w biurach – tam, gdzie ludzie się ze sobą spotykają, rozmawiają, piją razem kawę – tworzą się silne i zgrane zespoły, rodzą się też najbardziej kreatywne pomysły. Pandemia nie spowoduje zatem, że obiekty biurowe znikną z miejskiej przestrzeni. Będą się one jednak różniły od tych dzisiejszych. Szklane wieże będą coraz częściej zastępowane budynkami wkomponowującymi się lepiej w lokalny kontekst, „szytymi na miarę” najbliższej okolicy. Skończy się też era monofunkcyjnych dzielnic biznesowych tętniących życiem w ciągu dnia, a wymarłych nocą. Czy biurowce faktycznie mają szansę stać się naszymi dobrymi sąsiadami?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Przed pandemią praca zdalna była powszechnie uznawana za rodzaj benefitu, dziś natomiast stała się dla wielu pracowników biurowych wymuszoną codziennością. Czy tak już pozostanie?

Na początku pandemii był moment, kiedy na całym świecie zastanawialiśmy się, czy biura w ogóle jeszcze kiedykolwiek będą nam potrzebne. Z jednej strony niewiele wtedy jeszcze wiedzieliśmy na temat wirusa, co wzmagało nasz lęk, z drugiej – spodobała nam się praca z domu, polubiliśmy ją. Dziś, po miesiącach pracy zdalnej, wielu z nas jest nią jednak zmęczonych. Ludzie są gatunkiem społecznym i aby się rozwijać, potrzebują bezpośredniego kontaktu z innymi – także w pracy. A to zapewnia biuro – jest miejscem, gdzie można spotkać swoich współpracowników, porozmawiać z nimi, przeprowadzić burzę mózgów, czy po prostu napić się razem kawy. Tak powstają silne i zgrane zespoły, w taki sposób rodzą się najbardziej kreatywne pomysły. Widzimy więc, że pomimo skutków pandemii, dla zdecydowanej większości firm biura nadal będą potrzebne – choć oczywiście ich rola nieco się zmieni.

“ **Pomimo skutków pandemii, dla zdecydowanej większości firm biura nadal będą potrzebne – choć oczywiście ich rola nieco się zmieni.**

Spodziewa się Pani upowszechnienia się tzw. hybrydowego modelu pracy?

Zdecydowanie. Miejsmy zresztą na uwadze, że w dużych korporacjach *home office* istnieje już od dawna. Dziś warto natomiast zastanowić się, jak najlepiej rozłożyć proporcje pomiędzy biurem i pracą zdalną, tak aby hybrydowy model pracy był optymalny. Takie dyskusje są prowadzone już od kilku miesięcy zarówno w mediach, jak również pośród samych pracodawców. Z badań, które przeprowadziła Skanska wynika, że Polacy generalnie chcą pracować w biurze – najlepiej stawiając się w nim 3-4 razy w tygodniu. Fajnie jest mieć czasem możliwość popracowania z domu, jednakże sami pracownicy widzą, że biuro to nie tylko budynek, ale miejsce, gdzie tworzą się relacje międzyludzkie i więzi w zespole. Poza tym wielu z nas – dla dobrego samopoczucia i odpowiedniej równowagi pomiędzy życiem prywatnym a zawodowym – w dłuższej perspektywie potrzebuje jednak klarownego rozdzielenia czasu pracy od czasu wolnego.

Jak, w następstwie pandemii, będą się zmieniały przestrzenie biurowe?

Najważniejszą potrzebą użytkowników biur jest dziś bezpieczeństwo. Z kolei pracodawcy znacznie bardziej niż jeszcze rok temu skupiają się na trosce o dobre samopoczucie i zdrowie – także psychiczne – zatrudnionych osób. W Skanska od lat staramy się, by nasze budynki oferowały jak najlepszą z perspektywy użytkowników jakość przestrzeni, na którą wpływają m.in. odpowiednia wentylacja, oświetlenie, temperatura czy akustyka. Szczególnie w okresie pandemii technologia powinna być skoncentrowana na człowieku. Świetnym przykładem jest tu aplikacja Connected by Skanska, dzięki której część czynności biurowych może odbywać się bezdotykowo, za pomocą smartfonowej aplikacji: od poruszania się po budynku, po personalizowanie ustawień temperatury i oświetlenia w sali konferencyjnej. Regularna dezynfekcja przestrzeni – co zrozumiałe – stała się normą. Słuszność i skuteczność takich działań potwierdzają zewnętrzne certyfikaty dla naszych inwestycji – dla pracowników to znak, że ich miejsce pracy jest przyjazne dla zdrowia i odpowiada na wymagania związane z nową, pandemiczną rzeczywistością.

W związku z rosnącą popularnością pracy hybrydowej samo zapotrzebowanie na przestrzeń biurową może się zmniejszyć o 10-15 proc. Biura wykorzystywane przez firmy w postpandemicznej rzeczywistości muszą być wysokiej jakości oraz – co szczególnie istotne – możliwe do przearanżowania w sposób adekwatny do bieżących wymagań sanitarnych. Ważne będzie elastyczne zarządzanie miejscami pracy, polegające na uzupełnieniu oferty klasycznych biur o przestrzenie elastyczne, posiadające pełną i ergonomiczną infrastrukturę biurową – takie rozwiązanie oferuje operator przestrzeni elastycznych, jakim jest związany od czterech lat ze Skanska Business Link.

Spodziewamy się także sporego popytu na tzw. elastyczne przestrzenie biurowe – a zatem takie, które firmy mogą wynająć na krótko, np. tylko dla jednego zespołu projektowego będącego częścią dużej korporacji lub dla małego czy średniego przedsiębiorstwa. Chciałabym również bardzo mocno podkreślić, że dzisiejsze biura muszą być realizowane z myślą o najbliższej okolicy – wpisywać się w lokalny kontekst, być po prostu dobrymi sąsiadami.

“ **Obiekty biurowe muszą być realizowane z myślą o najbliższej okolicy – wpisywać się w lokalny kontekst, być po prostu dobrymi sąsiadami.**

W jaki sposób biurowce mogą być dobrymi sąsiadami?

Powinniśmy jak najbardziej dbać o zróżnicowanie tkanki miejskiej, unikając tworzenia wysp biurowych z tylko jednym przeznaczeniem. Tak już się dzieje – biurowce powoli przestają być monofunkcyjnymi szklanymi wieżami. Obecne inwestycje są coraz częściej „opakowane” dodatkowymi usługami, zaspokajającymi potrzeby ich użytkowników oraz społeczności lokalnych, jak chociażby przedszkolami, miejscami do relaksu i odpoczynku, terenami zielonymi czy małą architekturą, uprzyjemniającą pobyt w sąsiedztwie biurowca. Ta lista jest jednak znacznie dłuższa – w obecnych realiach dla wielu ważna, a nawet kluczowa jest chociażby bliskość paczkomatu.

“ **Powinniśmy jak najbardziej dbać o zróżnicowanie tkanki miejskiej, unikając tworzenia wysp biurowych z tylko jednym przeznaczeniem.**

W tym kontekście warto dodać, że nawet – wydawałoby się – drobne rozwiązania w ramach inwestycji mogą pozytywnie wpływać na życie okolicznych mieszkańców. Mam tu na myśli chociażby chodniki z antysmogowego betonu, stawianie na bioróżnorodność, eliminację wysp ciepła, korzystanie z odnawialnych źródeł energii czy dbałość o wyższą efektywność energetyczną budynków.

Jakie konkretnie działania podejmuje Skanska, by być wspomnianym „dobrym sąsiadem”?

Najogólniej mówiąc: budujemy tak, aby miejsca żyły, a nie tylko były, pamiętając o lokalnej społeczności, o sąsiedztwie. Jest to tzw. *placemaking*. Na przykład w Krakowie, w wyniku rozmów z sąsiadami naszej inwestycji Axis, zaangażowaliśmy się w projekt stworzenia tzw. Superścieżki. W dużym skrócie – chodziło o rewitalizację okolicznych przestrzeni tak, by stały się one bardziej zielone i przyjazne mieszkańcom. Zajęliśmy się organizacją i moderowaniem dyskusji na ten temat. Przeprowadziliśmy warsztaty dla lokalnej społeczności, a następnie – w oparciu o nie – zaprojektowaliśmy pierwszy etap oraz wykonaliśmy naszą część tego przedsięwzięcia. W procesie uczestniczyły też władze miasta, Rada Dzielnicy Grzegórzki, organizacje pozarządowe oraz projektanci przestrzeni. Z kolei w Poznaniu, w ramach naszej inwestycji Nowy Rynek, mamy w zamiarze zbudowanie rynku w nowej części miasta. Powstaną tu zielone wyspy, fontanna, przemyślana mała architektura, roślinność.

Wspomnę także o projekcie rewitalizacji Skweru Gwary Warszawskiej, jaki wykonaliśmy wspólnie z Fundacją „Na Miejscu”. Jest to okolica szczególnie nam bliska, bo znajdująca się na stołecznej Woli, nieopodal naszego biura w budynku Spark. W trakcie realizacji przedsięwzięcia przeprowadziliśmy konsultacje, w których wzięło udział blisko 500 mieszkańców. Zorganizowaliśmy także warsztaty poświęcone aranżacji Skweru oraz odnowieniu wolskich podwórek. Dokonaliśmy także audytu dostępności ul. Wolskiej dla osób starszych, z niepełnośprawnościami oraz rodziców z dziećmi. Na ich podstawie zdiagnozowaliśmy najważniejsze potrzeby lokalnej społeczności i na nie odpowiedzieliśmy.

O rozmówczyni

Katarzyna Zawodna-Bijoch – Prezeska biurowej spółki Skanska w Europie Środkowo-Wschodniej (CEE) od 2016 r., wcześniej odpowiadała za działalność spółki w Polsce. Aktualnie jest odpowiedzialna za strategię oraz działania spółki w zakresie zrównoważonych i innowacyjnych inwestycji biurowych w Polsce, Czechach, Rumunii i na Węgrzech, na dziesięciu rynkach w: Warszawie, Pradze, Budapeszcie, Bukareszcie, Wrocławiu, Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Katowicach i Gdańsku. Obecnie zarządza portfelem ok. 460 tys. m² powierzchni biurowych. Uhonorowana wieloma prestiżowymi nagrodami w dziedzinie nieruchomości i biznesu, przyznanymi m.in. przez magazyn Eurobuild CEE, Gazetę Finansową czy Top Woman in Real Estate. Absolwentka Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Wiceprzewodnicząca Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Lokalne relacje budują lokalny biznes



TOMASZ LIMON

Prezes Zarządu, Pracodawcy Pomorza

W tych trudnych czasach pamiętajmy o lokalnych przedsiębiorcach, którzy nie są anonimowi dla miejscowych mieszkańców, z którymi się znamy, których lubimy, którzy są częścią naszej lokalnej społeczności – nieraz od zawsze.

Przyszło nam dziś żyć w dramatycznych i nieprzewidywalnych czasach, które dla wielu mają tragiczne konsekwencje. Cierpi na tym również biznes. Jeśli szukać jakichś pozytywów, to w tym, że po kryzysie następuje na ogół hossa i wzrost koniunktury gospodarczej. Należy sobie jednak zadać pytanie, na ile będą mogły na tym skorzystać polskie firmy. Ich sytuacja będzie bez porównania gorsza chociażby od globalnych koncernów, którym ze względu na swoje zasoby wypracowane od lat, łatwiej przetrwać trudne czasy. Bez naszego wsparcia – jako społeczeństwa – odbudowa polskiej gospodarki po kryzysie będzie bardzo trudna. Wierzę, że powinniśmy wykazać się pełną solidarnością z polskim biznesem, szczególnie tym lokalnym.

W ostatnich latach uruchomione zostały różnego typu inicjatywy promujące polskich przedsiębiorców. Każdy z nas niejednokrotnie spotykał się z zachętą robienia zakupów u lokalnego sprzedawcy czy producenta. Dostępne są różnego typu aplikacje umożliwiające zbadanie specyfikacji danego produktu pod kątem np. właściwości zdrowotnych czy jego pochodzenia. Narzędzia te mogą nam pomóc w podejmowaniu decyzji. Choć – po prawdzie – nadal w większości przypadków wyznacznikiem, który decyduje o naszych preferencjach zakupowych jest cena, która dominuje nad wszelkimi innymi atrybutami sprzedawanych produktów. Niestety, w większości wypadków ta bitwa na obniżanie kosztów z góry pozostawia na straconej pozycji mniejsze, lokalne sklepy.

Dużą rolę we wspieraniu miejscowych biznesów mogą mieć sami przedsiębiorcy, którzy nieraz zrzeszeni są w różnego typu organizacjach czy izbach, służących m.in. promowaniu budowania lokalnych relacji biznesowych. W wielu przypadkach takie działania są skuteczne – relacje w ten sposób powstałe utrzymują się przez długie lata.

Nie bez kozery mówi się, że biznes tworzą relacje, a relacje to biznes. Podobnie wygląda sytuacja, kiedy lokalny przedsiębiorca buduje swoje związki z lokalną społecznością. Wielokrotnie odczuwamy przyjazny, często osobisty stosunek do drobnych sprzedawców, reprezentujących nieraz wielopokoleniowe, rodzinne firmy. Wymiana uprzejmości, a nawet zwykła, krótka rozmowa, mogą mieć bardzo duże znaczenie dla naszego dobrostanu – szczególnie teraz, w okresie pandemii, kiedy dla wielu wyjście do sklepu jest jedyną codzienną możliwością odezwania się do kogoś innego niż do domowników.



Wielokrotnie odczuwamy przyjazny, często interpersonalny stosunek do drobnych sprzedawców, reprezentujących nieraz wielopokoleniowe, rodzinne firmy.

Wymiana uprzejmości, a nawet zwykła, krótka rozmowa, mogą mieć bardzo duże znaczenie dla naszego dobrostanu.

O autorze

Tomasz Limon – Dyrektor Zarządzający i Prezes Zarządu Pracodawców Pomorza. Związany z biznesem od kilkunastu lat. Popularyzator zasad etyki i społecznej odpowiedzialności biznesu, osobiście zaangażowany w realizację i rozwój ekonomii społecznej. Społecznik i uczestnik prac wielu organów przedstawicielskich, takich jak np. Pomorska Rada Przedsiębiorczości, Rada Regionów Konfederacji Lewiatan, Sztab Pomorskich Przedsiębiorców. Członek wielu szacownych gremiów, m.in.: Rady Ekspertów Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Gdańskiego, Konwentu Gospodarczego Politechniki Gdańskiej, Rady Konsultacyjnej Wydziału Zarządzania Politechniki Gdańskiej, Rady Fundacji Gdańskiej, Rady Fundacji Parkowisko.

Pandemia nauczyła nas lokalnego patriotyzmu



JOANNA ERBEL

socjolożka, działaczka miejska

Pandemia uświadomiła nam, że miejsce, w którym wydajemy pieniądze ma znaczenie. A jeśli chcemy, aby znajdujące się „za rogiem” sklepy, księgarnie, restauracje i kawiarnie przetrwały, to – jeśli tylko nas stać – powinniśmy kupować właśnie tam. Jakże jeszcze mogą być wymiary lokalnego patriotyzmu gospodarczego? Na czym polega nowa sąsiedzkość w hybrydowym życiu? Jakże są dwie najważniejsze waluty przyszłości, które pozwolą nam stworzyć odporne na kryzysy społeczności lokalne?

Nowa codzienność

Idę na zakupy do lokalnego warzywniaka. Zapomniałam pieniędzy, więc spotkana tam sąsiadka proponuje, że zapłaci za mnie. Gdy tylko wrócę do domu oddam jej pieniądze szybkim przelewem. Ufamy sobie, bo mieszkamy blisko siebie. Jest piękna pogoda, więc po drodze postanawiam pójść do lokalnej księgarni, aby odebrać zamówioną wcześniej książkę i poczytać, siedząc na pobliskim placu. Wokół jest mnóstwo ludzi, w tym wielu znajomych. Od początku pandemii widzimy się rzadziej, ale wiem, co u nich słyszeć, bo jesteśmy aktywni na lokalnej grupie online. Należą do niej również osoby, które wyjechały do pracy za granicę albo do innego miasta, ale planują wrócić „na kwadrat”. Dzięki rozmowom w sieci mamy wciąż ze sobą kontakt. To doświadczenie bycia blisko – zarazem online, jak i offline – nazywam hybrydowym sąsiedztwem.

Budowanie relacji równocześnie w przestrzeni wirtualnej i realnej jest codziennym doświadczeniem większości osób korzystających ze smartfonów. Taka jest praktyka – lecz nie teoria. Tworząc koncepcje rozwoju miast mamy tendencję do rozdzielania tych dwóch przestrzeni. Podział ten jest jednak sztuczny, świat bowiem nie dzieli się na relacje międzyludzkie zachodzące w fizycznej przestrzeni (utożsamiane z pełnią doświadczenia) oraz ich wirtualne odpowiedniki (zwykle uznawane za kontakt gorszej jakości). W życiu codziennym płynnie przemierzamy się pomiędzy tymi porządkami. I tak jak w przypadku bliskich przyjaźni i znajomości potrzebujemy zarówno bycia wspólnie w jednym miejscu, jak i kontaktu zapośredniczonego przez technologię, tak musimy uwzględniać oba te rodzaje doświadczeń, kiedy projektujemy dobrą przestrzeń miejską.



Budowanie relacji równocześnie w przestrzeni wirtualnej i realnej jest codziennym doświadczeniem większości osób korzystających ze smartfonów. Taka jest praktyka – lecz nie teoria. Tworząc koncepcje rozwoju miast mamy tendencję do rozdzielania tych dwóch przestrzeni.

Życie offline...

Hybrydowe sąsiedztwo ma dwie strony, z których każda ma swoją specyfikę. Zacznijmy od pierwszej, czyli od regularnego mijania się w przestrzeni fizycznej. Im więcej możemy załatwić w najbliższej okolicy, tym częściej spotykamy nasze sąsiadki i sąsiadów oraz mamy czas na niezobowiązujące pogawędki. Doświadczamy wtedy poczucia swojskości, wynikającego z widzenia regularnie tych samych twarzy. To zjawisko to tzw. efekt ekspozycji. W praktyce często nie znamy swoich imion, ale znamy swoje zwyczaje, które obserwujemy, mijając się w sklepach, parkach i w kawiarniach. Do tworzenia takich więzi potrzebujemy odpowiedniej przestrzeni. Urbanistyka ma tutaj kluczowe znaczenie. Aby znać z widzenia naszych sąsiadów i sąsiadki, musimy mieszkać w dobrze zaprojektowanej okolicy, gdzie wszystko, czego potrzebujemy znajduje się w odległości krótkiego spaceru. Kiedyś właśnie tak projektowano miasta, ale obecnie – po dekadach samochodocentryzmu – dobra urbanistyka potrzebuje nowych pojęć.

“ **Aby móc znać z widzenia naszych sąsiadów i sąsiadki, musimy mieszkać w dobrze zaprojektowanej okolicy, gdzie wszystko, czego potrzebujemy znajduje się w odległości krótkiego spaceru. Kiedyś właśnie tak projektowano miasta, ale obecnie – po dekadach samochodocentryzmu – dobra urbanistyka potrzebuje nowych pojęć.**

Jednym z takich haseł jest „miasto 15-minutowe”. Jego najpopularniejszym wdrożeniem jest nowa polityka przestrzenna Paryża. Opiera się ona na założeniu, że to, co na co dzień potrzebne – szkoła, praca, sklepy, przestrzenie rekreacji i rozrywki, powinno się znajdować nie dalej niż kwadrans pieszo lub rowerem. Takie podejście ma służyć integracji dzielnic. Zresztą z podobnej logiki wychodził program Warszawskie Centra Lokalne, który również zakładał, że 15 minut spacerem to maksymalna odległość od kluczowych usług. Różnica między tymi podejściami jest taka, że w Warszawie w centrum myślenia o rozwoju przestrzennym było szukanie lokalnych odpowiedników dawnych ryneków, a w Paryżu – tworzenie rozproszonej sieci usług.

Z kolei władze Barcelony uznały, że dobrze zaprojektowane miasto to takie, w którym wystarczy wyjść z domu, żeby spędzać czas z innymi. W stolicy Katalonii, wykorzystując szachownicowy układ ulic, postawiono na „superkwartały” wolne od ruchu aut, w których powstała bezpieczna dla pieszych przestrzeń sąsiedzka. Podobnie radykalne podejście stosuje obecnie Sztokholm, stosując podejście miasta jednodominutowego. Chodzi w nim o to, żeby pod samym domem była chociażby niewielka zaaranżowana przestrzeń publiczna do spotkań twarzą w twarz. To może być skupisko ławeczek, kieszonkowy park lub inna kameralna forma małej architektury.

Przyjazne pieszym rozwiązania zyskują coraz więcej popularności dzięki pandemii koronawirusa, która dała nam odczuć, jak silnie na jakość naszego życia wpływa obecność przyjaznych przestrzeni publicznych i półpublicznych blisko domu. Ta tendencja się utrzyma, między innymi dlatego, że – jak często dziś słyszymy – przyszłość pracy to praca hybrydowa, która pozwoli nam więcej czasu spędzać blisko domu oraz łączyć świat online ze światem offline. Wyzwaniem będzie połączyć te światy na poziomie polityk publicznych.

... i życie online

Druga strona hybrydowego życia to oczywiście aktywność w sieci. Wraz z pojawieniem się pandemii zyskały na sile sąsiedzkie grupy online. Uziemieni we własnych mieszkaniach oraz w ich najbliższej okolicy, byliśmy przestrzennie blisko naszych sąsiadek i sąsiadów, a jednocześnie od nich oddaleni. Jeśli mieliśmy ze sobą

kontakt, to dzięki mediom społecznościowym. To właśnie w przestrzeni online zawiązywały się grupy samopomocowe. W ten sposób działała inicjatywa „Widzialna Ręka” w swoich wielu lokalnych odsłonach. Tak funkcjonowały też inne grupy sąsiedzkie. Niezależnie od nazwy grupy, przekaz niesiony przez zamieszczane w nich posty był jednoznaczny: rzeczy nie robią się same, jesteśmy tutaj wspólnie, jesteśmy solidarni i solidarni, ten kryzys dotyka nas wszystkich, możemy na siebie liczyć. Niczym niezwykłym były prośby o zrobienie zakupów, odebranie paczki z paczkomatu albo propozycje wyprowadzania zwierząt. Pomagali sobie młodzi i starsi. Wiele z tych osób nie znało się wcześniej. To, co ich połączyło to właśnie sąsiedzkość budowana online. To właśnie ona zapewniała poczucie bezpieczeństwa.

Sąsiedzkie wsparcie nie dotyczy tylko osób, ale również całych biznesów. Było ono – i wciąż jest – szczególnie ważne dla gastronomii, która jest jedną z branż najsilniej poszkodowanych przez pandemię. Zaangażowana (i odpowiednio zamożna, żeby nie musieć oszczędzać na jedzeniu) społeczność stała się ratunkiem dla lokalnych knajp. Dodatkowo, jeśli są to sąsiadki i sąsiedzi danego miejsca, to knajpy nie muszą oddawać prawie jednej trzeciej zysków firmom dowozowym. Tak więc zamawianie potraw z odbiorem osobistym jest dla restauracji najbardziej korzystne i buduje patriotyzm lokalny. Dotyczy to zresztą wszystkich zakupów, nie tylko gastronomicznych.

Trudna obecnie sytuacja lokali uświadomiła nam to, że miejsce, w którym wydajemy pieniądze ma znaczenie. A jeśli chcemy, aby lokalne sklepy, księgarnie, restauracje i kawiarnie przetrwały, to – jeśli tylko nas stać – powinniśmy kupować właśnie tam. Ten lokalny patriotyzm gospodarczy, podobnie jak życie sąsiedzkie, ma swoją analogową i cyfrową odsłonę, z czego ta druga zyskuje obecnie na znaczeniu. Covid-19 pokazał nam, jak ważne jest tworzenie lokalnych ekosystemów gospodarczych w oparciu o technologię. Jednak to nie pandemia zapoczątkowała ten trend. Już wcześniej pojawiały się inicjatywy skupione wokół łączenia tego, co realne i tego, co wirtualne.

“ **Pandemia uświadomiła nam, że miejsce, w którym wydajemy pieniądze ma znaczenie. A jeśli chcemy, aby lokalne sklepy, księgarnie, restauracje i kawiarnie przetrwały, to – jeśli tylko nas stać – powinniśmy kupować właśnie tam.**

Przykłady takich rozwiązań, w tym również tych o charakterze biznesowym, możemy obserwować na świecie już od kilku lat. Bodaj najbardziej zaawansowanym z nich jest wywodzący się z Toronto program Digital Main Street, który zrodził się już w 2014 r. Jego operatorem są lokalne stowarzyszenia przedsiębiorców, które we współpracy z gigantami technologicznymi (takimi jak Google, Mastercard, Microsoft, Shopifi) oraz urzędem miasta stworzyły program cyfrowej transformacji dla małych i średnich firm. Początkowo mogły brać w nim udział tylko firmy posiadające witryny od ulicy, ale z czasem – również jako efekt pandemicznego zamknięcia – włączono także inne biznesy, w tym artystki i artystów z zarejestrowaną działalnością gospodarczą. Program rozprzestrzenił się obecnie na całą Kanadę. Nad podobnym rozwiązaniem, jednak w modelu spółdzielczym, pracujemy obecnie w ramach spółdzielni PLZ.

Sąsiedzkość w hybrydowej przyszłości

Pandemia pokazała nam, że bycie online nie musi oznaczać automatycznie wchodzenia do przestrzeni globalnej. Nasze doświadczenie codzienności to życie w lokalnym świecie hybrydowym. Technologia jest codziennym elementem życia większości z nas, więc nie możemy o tym zapominać projektując rozwiązania dla przyszłości. Warto w tym kontekście spróbować zastanowić się nad przynajmniej kilkoma kwestiami.

Jak w świecie hybrydowym rozłożyć proporcje pomiędzy byciem online i byciem offline? Jak tworzyć przestrzeń, która zachęci do spotkań twarzą w twarz, a nie jedynie online? W jaki sposób budować narzędzia cyfrowe, żeby korzystała z tego lokalna społeczność, a nie tylko korporacyjni giganci? Jak wspierać małe i średnie biznesy z okolicy w konkurencji z globalnymi firmami? Odpowiedzią na wiele z tych pytań jest budowanie narzędzi cyfrowych w oparciu o spółdzielcze platformy cyfrowe, gdzie kontrola nad rozwojem technologii jest sprawowana lokalnie. W końcu dane i zaufanie to dwie waluty przyszłości. I to właśnie dobrze nimi operując będziemy w stanie stworzyć żywe i odporne na kryzysy hybrydowe społeczności lokalne.

“

**Dane i zaufanie to dwie waluty przyszłości.
I to właśnie dobrze nimi operując będziemy w stanie
stworzyć żywe i odporne na kryzysy hybrydowe
społeczności lokalne.**

O autorce

Joanna Erbel – socjolożka, działaczka miejska, ekspertka do spraw mieszkaniowych. Założycielka Fundacji Blisko zajmującej się wspieraniem aktywności lokalnych i tworzeniem wiedzy na temat innowacji mieszkaniowych. Koordynowała prace nad przygotowaniem polityki mieszkaniowej i programu Mieszkania2030 dla m.st. Warszawy. W latach 2017-2020 zajmowała się tematem innowacji mieszkaniowych w PFR Nieruchomości. Członkini grupy eksperckiej Laboratorium Rynku Najmu. Liderka klubu samorządowego w CoopTech Hub, pierwszym w Polsce centrum technologii spółdzielczych, które stawia sobie za cel tworzenie wspólnoty opartej o zaufanie przez cyfrowy restart spółdzielczości i budowanie lokalnego ekosystemu współpracy.

Internet nie zabija lokalności, ale ją ożywia



prof.

PIOTR SIUDA

Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy

Często mówi się, że nowoczesne technologie sieciowe „odrywają” społeczne interakcje od lokalności. W dobie internetu zaczyna być ona postrzegana pejoratywnie – w kategoriach zaściankowości, źle rozumianego zakorzenienia, niewychodzenia naprzeciw globalnym wyzwaniom. I chociaż internet niewątpliwie łączy oddalonych od siebie ludzi, tak naprawdę opiera się właśnie na lokalności – zbliża przede wszystkim tych, którzy już są sobie bliscy. W jaki sposób technologie komunikacyjne wypełniają dziś „próżnię socjologiczną”? Jaka jest ich rola w budowaniu gospodarki prosumenckiej? Czy jesteśmy już gotowi mentalnie na ten proces?

O wielu ludziach można powiedzieć, że są wielbicielami dobrego jedzenia i że szczególnie upodobali sobie – ze względu na właściwości smakowe i zdrowotne – gęsinę. Należąc do grona takich osób, dziękuję w duchu za to, że zamieszkuję województwo kujawsko-pomorskie znane z produkcji dobrej jakości gęsięgo mięsa. Zawsze, kiedy mam ochotę skosztować owej potrawy, wchodzę na internetową stronę organizowanej przez województwo akcji „Kujawsko-pomorska gęsiną na świętego Marcina”. Projekt ten, oryginalnie mający promować festiwal odbywający się w listopadzie, ma też za zadanie zbieranie informacji na temat restauratorów oferujących swoim klientom dania z gęsiny pochodzącej z mojego regionu. Wojewódzka „kulinarna mapa” to jednak nie tylko spis miejsc, gdzie można się najeść, ale też zawiera opinie zostawiane przez amatorów drobiu, odnośniki do stron WWW czy profile w social mediach. Kilka prostych czynności umożliwia zarówno obejrzenie wnętrza danej restauracji w galerii na Facebooku czy Instagramie, jak i poznanie zdania innych gości dotyczącego oferowanych dań. Jeśli do tego dodać blogi amatorskich krytyków kulinarnych, doniesienia na temat restauracji w takich serwisach, jak yelp czy tripadvisor, możemy dojść do wniosku, że w internecie dzieje się dużo dobrego pod kątem budowania lokalnej, miejskiej tożsamości mieszkańców, a także ich kapitału społecznego, kulturowego, a nawet gospodarczego.

Nie o jedzenie i restauracje bowiem tylko chodzi. Każdy, kto orientuje się w społecznej miejskiej przestrzeni internetu, wie, że można w niej znaleźć informacje niemal na każdy temat. Dowiedzieć się można o wydarzeniach kulturalnych, politycznych czy społecznych. Jest to miejsce zdobywania informacji o tym, co się dzieje w danym mieście czy regionie, a także nierzadko komentowania owych zdarzeń lub szukania osób o poglądach podobnych do naszych. Znajduje to wyraz w takich inicjatywach jak internetowe głosowanie dotyczące sposobu wydatkowania budżetów partycypacyjnych.

Potwierdza się to, co już od dawna badacze społeczni piszą o internecie – że jest to narzędzie nawiązywania łączności ze światem bez konieczności wychodzenia z domu. Za pewnik przyjmuje się, że nowe technologie komunikacyjne pozwalają ludziom pokonywać bariery czasu i przestrzeni. Najpierw telegram, później telefon, telewizja, komputer i w końcu internet – te wszystkie wynalazki służyły (i służą) wymianie informacji oraz stymulują interakcje, pokonując przestrzenno-temporalne ograniczenia.

Nowe technologie dla lokalności

Dość często można się jednak spotkać z opinią, że nowe mobilne technologie sieciowe mają „odrywać” społeczne interakcje od lokalności. W kontekście takich rozważań zaczyna ona być postrzegana pejoratywnie, w kategoriach zaściankowości, źle rozumianego zakorzenienia, niewychodzenia naprzeciw globalnym

wyzwaniom, hołubienia zamknięciu się na świat. Tylko ci użytkownicy, wykorzystujący media elektroniczne do tego, by kontaktować się z innymi, rozproszonymi i oddalonymi o tysiące kilometrów, mają być nowoczesnymi kosmopolitami, do których należy przyszłość. Tak ma funkcjonować społeczeństwo sieciowe, gdzie to, co bliskie i lokalne, staje się synonimem czegoś niegodnego uwagi, gorszego.

I chociaż internet niewątpliwie łączy oddalonych od siebie ludzi, zbyt dużym uproszczeniem i zakrzywieniem rzeczywistości jest stwierdzenie, że nowe technologie komunikacyjne czynią nieistotnymi lokalne powiązania oraz relacje. Sprawa przedstawia się odwrotnie: omawiane narzędzia zbliżają przede wszystkim tych, którzy już są sobie bliscy – choćby ze względu na zamieszkiwanie wspólnego terytorium, danego miasta czy rejonu, chodzenie do tych samych restauracji, na te same koncerty, imprezy plenerowe czy dyskoteki. Współczesny internet opiera się na lokalności. Mnóstwo w nim miejsc, które wykorzystują społecznościowy potencjał sieci i stymulują zawiązywanie się więzi, opierając się na geograficznej bliskości. W tym sensie są wzmacniane kulturowe trendy polegające na fascynacji tym, co lokalne i miejskie – internet pobudza renesans lokalności. Można znaleźć bardzo wiele przykładów: fora poświęcone rzemieślniczemu piwu z opisem regionu, z którego ono pochodzi, i możliwością zakupu kilku butelek po przystępnej cenie; platformy promocji i sprzedaży gier (głównie planszowych) tworzonych z myślą o prezentacji oraz reklamie określonych regionów i miejsc w Polsce, serwisy spotkań fotografów (amatorów) poruszających się w przestrzeni miejskiej, uwieczniających fragmenty miejskiego życia. W internecie każdy produkt znajdzie swoje miejsce i grupę wiernych fanów, nawet ten na pierwszy rzut oka niszowy, lokalny, niemający szans na masowe upowszechnienie.

“ **Nowe technologie informacyjne zbliżają przede wszystkim tych, którzy już są sobie bliscy – choćby ze względu na zamieszkiwanie wspólnego terytorium, danego miasta czy rejonu, chodzenie do tych samych restauracji, na te same koncerty, imprezy plenerowe czy dyskoteki. Współczesny internet opiera się na lokalności.**

Wykorzystując nowe technologie, zmieniamy sposób, w jaki wchodzimy ze sobą w interakcje w przestrzeni miejskiej. Można powiedzieć, że stajemy się lokalni i wspólnotowi w swojej prywatności – komputer w zaciszu domowym jest dla nas miejscem obcowania z najbliższym miejskim otoczeniem, a nasz smartfon umożliwia nawiązywanie z nim relacji wówczas, gdy jesteśmy w ruchu. Rację mają badacze podkreślający, że sieć zmienia charakter więzi, jakie dzisiaj budujemy z innymi ludźmi. W naszym otoczeniu niewiele jest osób, z którymi posiadamy silne więzi – zwykle są to członkowie rodziny lub najbliżsi przyjaciele. Internetowe zapośredniczenie kontaktów powoduje prymat więzi słabych, często są one podtrzymywane jedynie przy użyciu narzędzi komunikacyjnych. W polskich miastach na próżno już szukać wielu społeczności sąsiedzkich opartych na mocnych związkach oraz bezpośrednich relacjach powodujących, że każdy zna każdego i wie o każdym niemal wszystko. Nie oznacza to jednak, że jest gorzej – dzisiaj posiadamy znacznie więcej niż kiedyś więzi słabych konstytuujących często rozległe sieci społeczne. Dzięki internetowi znamy po prostu więcej osób, choć niekoniecznie musimy je często widywać *face-to-face*, nawet jeśli mieszkamy w tym samym mieście.

Wypełnianie próżni socjologicznej

Słabość współczesnych więzi nie oznacza, że aktualne są założenia klasycznej koncepcji „próżni socjologicznej” sformułowanej przez Stefana Nowaka. Pomysł tego polskiego socjologa zakłada silną identyfikację z grupami

pierwotnymi, takimi jak rodzina czy grupa sąsiedzka, oraz z narodem polskim jako całością przy jednoczesnej bardzo niskiej identyfikacji z grupami pośrednimi, lokalnymi. Ta swoista dziura między tym, co najbliższe (rodzina), i tym, co dalekie (naród), oznacza słabość społeczeństwa obywatelskiego, kapitału społecznego czy kulturowego.

Wypełnianie próżni odbywa się dzisiaj m.in. wskutek wykorzystania przez ludzi technologii komunikacyjnych, jak już wspomniano. Ważny przy tym jest prosumencki pierwiastek sieciowej działalności. W socjologii czy marketingu dużo się obecnie mówi o tak zwanej prosumpcji, kiedy konsument podejmuje z producentem specyficzną grę, stając się w pewnym stopniu współtwórcą oferowanych mu dóbr czy usług. Mamy do czynienia z emancypowaniem się konsumenta wybierającego to, co w pewnym sensie i do pewnego stopnia może „współtworzyć”. Internet jest naturalną platformą zaistnienia prosumpcji, gdyż opiera się na „wytworach” użytkowników. *Social media* zależą od tego, co napiszemy na swoich profilach, jakie zdjęcia tam umieścimy czy do jakich ciekawych miejsc internetu odeślemy znajomych, ale także od tego, jaką recenzję wystawimy danej restauracji w naszym mieście czy jak ocenimy wydarzenie kulturalne, w którym mieliśmy przyjemność bądź nieprzyjemność uczestniczyć.

“ **Wypełnianie próżni socjologicznej polskiego społeczeństwa odbywa się dzisiaj m.in. wskutek technologii komunikacyjnych, które wykorzystują społecznościowy potencjał sieci i stymulują zawiązywanie się więzi, opierając się na geograficznej bliskości.**

Prosumpcja jest ważna, daje poczucie sprawstwa i jeśli dotyczy naszej lokalności, to stymuluje wspólnotowość, poczucie lokalnej tożsamości i zakorzenienia. Nowe prosumenckie sposoby komunikowania budują zatem kapitał społeczny – miło jest przecież się „zameldować” w mediach społecznościowych, aby poinformować znajomych, w której kawiarni w naszym mieście akurat pijemy kawę albo na jakim wydarzeniu sportowym kibicujemy lokalnej drużynie. Prosumenckie aktywności mają także znaczenie dla kapitału kulturowego, ponieważ stymulują szeroko rozumianą kulturę partycypacji. W końcu potrafią wzmocnić kapitał gospodarczy mieszkańców danego miasta, czego przykładem mogą być działania networkingowe organizacji trzeciego sektora, networkingowe skupianie się firm w różnorodnych lokalnych grupach. To wszystko jest ważne z perspektywy budowania społeczeństwa obywatelskiego, angażowania się ludzi w sprawy swojej lokalnej wspólnoty, zrzeszania się, manifestowania swoich poglądów, a zatem kształtowania aktywnego i świadomego obywatela.

“ **Nowe prosumenckie sposoby komunikowania budują kapitał społeczny i mają znaczenie dla kapitału kulturowego, ponieważ stymulują szeroko rozumianą kulturę partycypacji.**

W prosumenckich sieciach społecznych tkwi ogromny potencjał dostępny dla polskich miast. Nie można przy tym zapomnieć, że możliwości dotyczą także wykorzystania tzw. dużych danych pozyskiwanych chociażby z mediów społecznościowych opartych na geolokalizacji. *Big data* pozwalają tworzyć mapy miast i ich wizualizacje dające szansę odkrywania wcześniej mniej oczywistych zależności – np. dotyczących aktywności kulturalnej mieszkańców czy życia gospodarczego.

Nowe technologie komunikacyjne mogą zatem mieć bardzo pozytywny wpływ na funkcjonowanie miast czy regionów. Same, będąc mocno poddane dyktatowi globalizacji (największe firmy sieciowe to wszak globalne w swym zasięgu korporacje), stanowią remedium na wiele negatywnych zjawisk mniej lub bardziej bezpośrednio z niej wynikających, takich jak spadek zaufania, załamanie społeczeństwa obywatelskiego czy indywidualizacja.

Od konsumpcji do prosumpcji

Nie oszukujmy się jednak – wskazany potencjał często nie jest wykorzystywany, a sytuacja z pewnością mogłaby wyglądać o wiele lepiej. Wskazuje się wiele barier hamujących omawiane procesy. Najpoważniejsze dotyczą słabego stanu edukacji medialnej w Polsce – w szkołach wciąż nie uczymy, jak można pozytywnie i z korzyścią wykorzystywać technologie komunikacyjne, lecz wolimy – na wzór francuski – zabierać uczniom smartfony i tablety przed wejściem do sali lekcyjnej. Dużo jest w tej mierze do zrobienia – zarówno jeśli chodzi o wyposażenie polskich szkół w odpowiednie technologiczne narzędzia, ale przede wszystkim – na polu zmiany nastawienia decydentów, nauczycieli oraz rodziców.

Dodatkowo, jako osoby wtłoczone w tryby społeczeństwa konsumpcyjnego wciąż jeszcze przede wszystkim nabywamy, a nie prosumujemy. Na to drugie nie możemy sobie zwyczajnie pozwolić wówczas, gdy jesteśmy pochłonięci pracą i mamy kredyty konsumenckie do spłacenia – dysponujemy po prostu zbyt małą ilością czasu i energii na prosumenckie rozwijanie swoich społecznych sieci. Paradoksalnie, pędzący konsumeryzm, który sam wytworzył prosumenckie działania, jednocześnie cały czas nas w nich ogranicza. Właśnie w tej kwestii czeka nas podstawowe i trudne wyzwanie – zmiana społecznych postaw i odwrót od hiperkonsumpcjonizmu w stronę hiperprosumentyzmu.



Paradoksalnie, pędzący konsumeryzm, który sam wytworzył prosumenckie działania, jednocześnie cały czas nas w nich ogranicza. Nie możemy sobie na nie pozwolić wówczas, gdy jesteśmy pochłonięci pracą i mamy kredyty konsumenckie do spłacenia – dysponujemy zbyt małą ilością czasu i energii na prosumenckie rozwijanie swoich społecznych sieci.

O autorze

Prof. **Piotr Siuda** – medioznawca i socjolog, profesor w Instytucie Komunikacji Społecznej i Mediów na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Naukowo bada nowe media, mechanizmy uczestnictwa w kulturze, a także zajmuje się edukacją medialną i socjologią internetu. Napisał kilka książek, m.in. *Religia a Internet* (2010), *Kultury prosumpcji* (2012), *Japonizacja* (2014). Koordynował projekty badawcze z grantów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Można go znaleźć na stronie: piotrsiuda.com.

Targowisko jako społeczny hub



dr inż. arch.

PIOTR CZYŻ

Politechnika Gdańska, Prezes Stowarzyszenia Inicjatywa Miasto

Miejskie targowiska są dziś w Polsce *passé*. Stanowią one niejako przeciwieństwo modnych obecnie galerii handlowych – postrzegamy je jako miejsca tłoczne, swojskie, nieco tandetne, zdominowane przez seniorów. W dodatku, kojarzymy je wyłącznie z funkcją handlową. Tymczasem historycznie targowiska, rynki, agory były prawdziwymi – przestrzennymi, ekonomicznymi i społecznymi – centrami miast. Stanowiły one przestrzeń wymiany towarów, ale też informacji, opinii, a nawet idei. Były to niezobowiązujące i inkluzywne miejsca budowania relacji i codziennego „ścierania” się ze sobą mieszkańców. W wielu europejskich miastach odzyskują one swój dawny blask oraz funkcje. Czy powrócą do łask również w polskich miastach?

Targowisko – codzienne doświadczenie miasta

6 czerwca 2019 r. w Londynie odbyły się dwa istotne wydarzenia: 10. edycja Międzynarodowej Konferencji na temat targowisk miejskich oraz oficjalna wizyta Donalda Trumpa. Miałem okazję uczestniczyć w pierwszym z nich. Konferencję otwiera Sadiq Khan – burmistrz Londynu. Przychodzi na nią tuż po oficjalnym spotkaniu z prezydentem Stanów Zjednoczonych, wchodzi na mównicę i z uśmiechem oznajmia: „Proszę Państwa, wyłączam swój telefon i jestem tu całkowicie dla Was”. Po znaczącym aplauzie publiczności, opowiada o swojej dzielnicy Tooting – o jej niesławie z czasów młodości, o coraz większym znaczeniu jej lokalnego charakteru, o odwiedzanych targowiskach, ale przede wszystkim o tym, jak pozostają one „istotną częścią tkanki naszych społeczności – są to miejsca, w których spotykają się ludzie, gdzie mogą oni kupować rzeczy niedostępne nigdzie indziej i są częścią codziennego doświadczenia miasta”. Ta scena jest świadectwem siły lokalności, a targowisko przedstawione jest jako jej istotny element.

Potencjał tego typu miejsc, niestety często zapomniany, mieści się w tym, co Sadiq Khan określił „codziennym doświadczeniem miasta”. Targowisko, rynek, agora to strefa codzienności, pozbawiona *sacrum*. Miejsce to – zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem – jest przede wszystkim dla mieszkańców: to przestrzeń wymiany towarów, ale i informacji, opinii czy nawet idei. To otoczenie niezobowiązujące, inkluzywne, którego najważniejszą funkcją jest realizacja bieżących potrzeb lokalnej społeczności. Rynek w historycznym mieście był przestrzennym, ale i społecznym centrum. Był swoistym katalizatorem nowych idei, informacji na temat nowych produktów, sposobów konsumpcji.



Targowisko, rynek, agora to strefa codzienności dla wszystkich mieszkańców: to przestrzeń wymiany towarów, ale i informacji, opinii czy nawet idei. To otoczenie niezobowiązujące, inkluzywne, którego najważniejszą funkcją jest realizacja bieżących potrzeb lokalnej społeczności.

Targowiska po polsku

Polacy odwiedzają targowiska bardzo często. Równo połowa Polaków, wedle badań IPSOS z 2014 r., regularnie korzysta z ich oferty. Niemniej rzadko kiedy traktujemy je jako miejsce spędzania czasu. Nasze codzienne doświadczenie przestrzeni targowych nie zawsze zawiera w sobie element społeczny, co sprawia, że często bagatelizujemy ich znaczenie dla miasta i traktujemy jako substandardową strefę wymiany towaru, a nie żywą, autentyczną przestrzeń publiczną. Tę zastąpiły centra handlowe i wielkopowierzchniowe sklepy meblowe, tłumnie odwiedzane w weekendy przez rodziny.

Zachodzące obecnie zmiany społeczno-gospodarcze, związane ze zwiększającą się świadomością ekologiczną, potrzebą autentyczności czy kulturą *slow food* są dla polskich targowisk znaczącym wyzwaniem, ale i ogromną szansą. Coraz więcej Polaków wybiera produkty droższe w przekonaniu o wartości dodanej, jaką przynoszą, a którą wiążą m.in. z ich jakością, lokalnym pochodzeniem, znaczeniem dla środowiska, sprawiedliwością społeczną czy nawet minimalizacją cierpienia zwierząt. Zmiany te skutkują powstaniem znaczącego, dynamicznie powiększającego się rynku zdrowej, lokalnej żywności czy lokalnego rzemiosła. Tradycyjnie targowiska były miejscami zbytu takich właśnie produktów – zazwyczaj bezpośrednio.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat zaobserwować można coraz więcej prywatnych inicjatyw w formie m.in. targów śniadaniowych, eko-bazarków, targów tematycznych (jak np. słynne w Trójmieście Bakalie), jak również pojawianie się tzw. food-courtów, food-halli, czyli większych zamkniętych przestrzeni mieszczących w sobie kilka lub kilkadziesiąt punktów gastronomicznych. Spotykają się one z ogromnym zainteresowaniem, są pełne ludzi, przede wszystkim młodych. Wszystkie te inicjatywy tradycyjnie mogłyby się pojawić na miejskich targowiskach, uzupełniając ich obecną, zazwyczaj *stricte* handlową funkcję. Taka zmiana nie tylko zaktywizowałaby je ekonomicznie, ale przede wszystkim przywróciła im funkcję żywych centrów społecznych dzielnicy. A należy pamiętać, że historycznie tworzące się targowiska, nawet te z XX wieku, cechują się niebywale dogodną lokalizacją w skali miasta, doskonale przygotowaną do tego, by pełnić powierzone im funkcje.

Nowe rozumienie funkcji targowisk

By tego dokonać, musimy zmienić sposób odbierania targowisk – zacząć postrzegać je jako inkluzywny społeczny hub. Mimo że jesteśmy przyzwyczajeni do tego, żeby myśleć o nich głównie w kategoriach handlu, to płynące z nich korzyści są zdecydowanie szersze. W dynamicznie rozwijających się miastach, gdzie różnice społeczne coraz wyraźniej zarysowują się w sposobie, w jaki korzystamy z przestrzeni miejskiej, targowiska pozostają miejscem spotkań różnych grup społecznych i wiekowych. Jednocześnie są one jednym z niewielu punktów styczności między społecznością wiejską a miejską. Zapewnienie takiego swobodnego kontaktu zarówno między pokoleniami, jak i różnymi grupami społecznymi jest kluczowe dla kształtowania ducha lokalności, poczucia tożsamości oraz wymiany doświadczeń. Bezpośrednie relacje, np. z producentem żywności, dają możliwość lepszego poznania produktu, uwarunkowań w jakich powstaje. Pozwalają nam też nabyć umiejętność poznawania produktów wysokiej jakości, co ma bezpośredni wpływ na nasze wybory żywieniowe, a w konsekwencji – na nasze zdrowie.



W dynamicznie rozwijających się miastach, gdzie różnice społeczne coraz wyraźniej zarysowują się w sposobie, w jaki korzystamy z przestrzeni miejskiej, targowiska pozostają miejscem spotkań różnych grup społecznych i wiekowych. Jednocześnie są one jednym z niewielu punktów styczności między społecznością wiejską a miejską.

Dodatkowo, co nie pozostaje bez znaczenia w kontekście postępującej automatyzacji handlu i wpływających do nas równolegle informacji na temat stale rosnącej liczby ludzi samotnych, targowiska to jedno z miejsc, gdzie przypadkowe spotkania mogą przekształcić się w trwałe więzi społeczne. Bezpośredni kontakt ze sprzedawcami oraz regularne „wpadanie” na sąsiadów pozwala na zawiązanie relacji, często o międzypokoleniowym i wieloletnim charakterze. Dla niektórych zakupy na targu to jedna z niewielu okazji do tego, żeby po prostu z kimś porozmawiać.

Stworzenie targowiska o inkluzywnym charakterze z żywą przestrzenią publiczną wymaga od nas sprostania najistotniejszemu bodaj problemowi takich miejsc – mianowicie doprowadzenia w nich do wymiany pokoleniowej i osiągnięcia stabilności demograficznej. Zarówno kupujący, jak i sprzedający są tam w dużej mierze zaawansowani wiekowo. Młodsze generacje rzadziej korzystają z oferty przestrzeni targowych, chętniej wybierając chociażby centra handlowe.

Ryzyko, że w niedalekiej przyszłości nie będzie ani komu sprzedawać, ani komu kupować na targowiskach jest realne. Chris Savage z brytyjskiej National Market Traders Federation zwrócił na to uwagę już w 2018 r., podkreślając że zapewnienie wymiany pokoleniowej w takich miejscach jest jednym z najistotniejszych wyzwań decydujących o ich przyszłości. Z kolei Urząd Miasta Barcelony jako miarę stabilności społecznej targowiska uznaje między innymi wiek sprzedawców w widełkach 30-59 lat.

W ostatnich latach dla miejskich przestrzeni targowych pojawiła się szansa w postaci pokoleniowego zwrotu ku bardziej zrównoważonemu, a nawet ekologicznemu stylowi życia. Konsumenci są coraz bardziej świadomi, częściej sięgają po lokalne produkty, kupują odpowiedzialnie, minimalizują zużycie materiałów i energii. Wydawać by się mogło, że targowiska powinny skorzystać na tej zmianie preferencji. Jednak, by było to możliwe, muszą one przejść zmianę zarówno wizerunkową, jak i organizacyjną. Wiek kupców, przyzwyczajenia, przez lata wypracowane rutyny często stają na drodze zmianom, które mogłyby zachęcić grupę młodych, świadomych konsumentów do korzystania z usług oferowanych w tego typu miejscach. Co więcej, placówki te często zarządzane są przez osoby nieposiadające kompetencji i zasobów do tego, by odpowiednio animować przestrzeń targowisk czy dywersyfikować ich ofertę i profilować ją w kierunku bardziej zrównoważonych produktów.

“ **W ostatnich latach dla targowisk pojawiła się szansa w postaci pokoleniowego zwrotu ku bardziej zrównoważonemu, a nawet ekologicznemu stylowi życia. Konsumenci są coraz bardziej świadomi, częściej sięgają po lokalne produkty, kupują odpowiedzialnie, minimalizują zużycie materiałów i energii. Jak wykorzystać ten potencjał?**

Dzisiejszy klient ceni sobie wygodę ponad wszystko. Sąsiedzka tradycja, swojski koloryt i sentyment, którym darzymy targowiska jako społeczeństwo nie są na co dzień w stanie konkurować z usługami i ofertą dyskontów czy hipermarketów. W efekcie, zamiast zyskiwać na zmieniających się trendach żywieniowych, takie przestrzenie tracą, konkurując z dynamicznie rozwijającymi się inicjatywami nakierowanymi na zamożniejszych, młodszych klientów. Bez poprawy wizerunku, wzbogacenia oferty, jak i zmiany świadomości konsumenckiej, ten negatywny proces będzie postępował.

Miejskie targowiska borykają się również z wyzwaniami czysto praktycznymi, takimi jak przestarzała infrastruktura czy brak miejsc parkingowych. Włodarze miast podejmują wybiórcze działania mające na celu wspomożenie ich pracy. Jedną z form pomocy jest zniesienie opłaty targowej. Umożliwia to kupcom m.in. inwestycję

zaoszczędzonych pieniędzy w doraźne remonty stanowisk¹. Innymi działaniami są ich kompleksowe modernizacje, często przy wykorzystaniu funduszy europejskich, czego przykładem może być chociażby prowadzony w latach 2007-2013 program modernizacji targowisk gminnych „Mój Rynek”. Warto jednak zauważyć, że działania te skupiają się zwykle na „twardych” zagadnieniach, nie zajmując się kwestiami organizacyjnymi, wizerunkowymi i społecznymi. Nie zmieniają one zatem samego trzonu problemu, czyli potrzeby znaczącej aktywizacji tych przestrzeni i pełnego wykorzystania ich potencjału.

Nie wylać dziecka z kąpielą

Czy każde targowisko powinno więc stać się dzielnicowym centrum, organizującym wydarzenia kulturalne, koncerty i zloty food-trucków? Prawdopodobnie nie. Wylejemy wtedy dziecko z kąpielą, tworząc nieautentyczną, zgentryfikowaną przestrzeń. Bez merytorycznej dyskusji na temat funkcji targowisk w przestrzeni miejskiej, ich potencjału oraz metod aktywizacji, będziemy pozbawieni narzędzi do wprowadzenia realnej zmiany sposobu funkcjonowania tych miejsc i przywrócenia im ich pierwotnej roli bycia społecznym centrum, budującym lokalną tożsamość.



Czy każde targowisko powinno stać się dzielnicowym centrum, organizującym wydarzenia kulturalne, koncerty i zloty food-trucków? Prawdopodobnie nie. Wylejemy wtedy dziecko z kąpielą, tworząc nieautentyczną, zgentryfikowaną przestrzeń. Dlatego potrzebna jest nam merytoryczna dyskusja.

Od 2018 r. nasz zespół pracuje nad szkicem takiego modelu wraz z Politechniką Gdańską oraz Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku, w ramach projektu finansowanego przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Już teraz widzimy, że głównym celem nowego sposobu zarządzania targowiskami nie jest poprawa technologicznych aspektów związanych z ich funkcjonowaniem, lecz przede wszystkim zmiana świadomości, zarówno kupujących, jak i sprzedających, dotycząca tego, czym targowisko naprawdę jest. A zatem – miejscem kultywowania lokalności, zarówno w sensie ekonomicznym, jak i społecznym.

O autorze

Dr inż. arch. **Piotr Czyż** – architekt, filozof. Prezes Stowarzyszenia Inicjatywa Miasto, pracownik Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej, gościnnie na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Jego działalność naukowa i społeczna poświęcona jest społecznej roli architektury i nowym metodom przekształcania przestrzeni publicznych. Wykonawca kilkunastu samorządowych projektów grantowych poświęconych rewitalizacji przestrzeni i projektowaniu partycypacyjnemu. Kierownik projektu naukowo-badawczego na temat strategii rozwoju polskich targowisk realizowanego w ramach programu Gospostrateg dla Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Konsultant tzw. Uchwał Krajobrazowych w Gdańsku i Sopocie.

¹ Katowice, Kraków, Poznań, Wrocław czy Warszawa już dawno odstąpiły od pobierania opłaty targowej. Radni dla ratowania lokalnego rynku zamierzają również zwrócić się do prezydenta miasta o zmniejszenie dla kupców stawek za dzierżawę na terenie miejskich targowisk oraz poprawę towarzyszącej im infrastruktury, szczególnie przylegających do targowisk parkingów.

LOKALNOŚĆ
DLA ROZWIĄZYWANIA
PROBLEMÓW SPOŁECZNYCH
JAKIE ZASOBY, KOMPETENCJE
I MODELE WSPÓŁDZIAŁANIA?

W turbulentnych czasach łatwiej razem



WOJCIECH KŁOSOWSKI

specjalista ds. rozwoju lokalnego

Nie lada wyzwanie stoi dziś przed miejskimi włodarzami – i to nie tylko w Polsce, lecz na całym świecie. Muszą zarządzać miastami, których doświadczeni chronicznym stresem mieszkańcy mogą być bardziej niż dotąd nieufni, irracjonalni w swoich oczekiwaniach, podatni na manipulację, wątpiący w sens długotrwałych wysiłków nastawionych na odległe cele. W takich okolicznościach warto podjąć działania, mogące korzystnie wpłynąć na dobrostan psychiczny lokalnej społeczności. Jakie zatem obszary warto wzmocnić? W jaki sposób tego dokonać? Jak duża może być w tym kontekście rola dobrego sąsiedztwa i lokalności?

Koniec z naiwnością

Zanim przyjrzymy się z bliska lokalności i sąsiedztwu, poświęćmy chwilę na zauważenie świata otaczającego nasze miasta, który właśnie utracił stabilność. Nie na chwilę, nie jedynie do końca pandemii – porzućmy takie naiwne prognozy. Świat stał się trwale niestabilny.

Pandemia to tylko jedna z turbulencji tej niestabilności, która na chwilę przesłoniła nam jej resztę: kryzys klimatyczny, kryzys społeczny, kryzys ekonomiczny... W każdej z tych perspektyw załamało się dotychczasowe złudne przekonanie ekspertów, że umiemy kryzysy przewidywać, a jeśli się zdarzą – zarządzać nimi. Najróżniejsze elementy starego, stabilnego świata okazały się kruche w tym sensie, że pod naciskami narastających procesów kryzysowych zachowywały się do ostatniej chwili tak, jakby były twarde i pewne, po czym nagle z hukiem pęły.

Przekonał się zatem, że nie umiemy przewidywać kryzysów. Działamy więc pod naciskiem tego, co dzieje się tu i teraz, nie planując przyszłości, sparaliżowani poczuciem jej nieprzewidywalności. Planowanie strategiczne zostało wyparte przez reagowanie kryzysowe. Jedziemy „na krótkich światłach” z gazem wciśniętym do oporu.

Miasta przewlekłe zestresowanych

A teraz druga strona: perspektywa przeżyć pojedynczej osoby mieszkającej w mieście. Bo wspólnoty i sąsiedztwa powstają właśnie z takich pojedynczych osób. Użytecznym modelem, który rekomenduję osobom zawodowo zajmującym się refleksją nad miastem, jest... model psychologicznej reakcji na przewlekły stres. Mówiąc w wielkim skrócie – my, ludzie, jesteśmy skonstruowani tak, że potrzebujemy elementarnej zgodności pomiędzy światem na zewnątrz (który z istoty jest zmienny, nie do końca przewidywalny i sterowalny), a naszym światem wewnętrznym, w którym potrzebujemy podstawowej stabilności, przewidywalności i poczucia kontroli.

Tę równowagę między zmiennością świata a potrzebą stabilności naszej psychiki uzyskujemy poprzez najróżniejsze mechanizmy dostosowawcze, w które wyposażyła nas natura i kultura: reguluje się nasz próg reaktywności na bodźce, nasz system hormonalny chwilowo zwiększa naszą sprawność, rzeczy złożone nazywamy prostymi pojęciami, skomplikowane sploty zjawisk ujmujemy w uporządkowane teorie i – w świecie daje się przetrwać.

Nacisk zmienności świata na nasze mechanizmy dostosowawcze to właśnie stres, z którym w normalnych warunkach radzimy sobie nie najgorzej. Jednak wśród turbulencji nasze mechanizmy adaptacyjne w końcu zostają przeciążone. Jednostki lub całe grupy przestają sobie radzić: ich próg tolerancji stresu został przekroczony. W takiej sytuacji ludzie przestają zachowywać się racjonalnie, wpadają w panikę lub apatię, tracą krytycyzm, wypierają ze świadomości niewygodne fakty i zaprzeczają im, dokonują nieracjonalnych wyborów.

Wydaje się, że wszystko to obserwujemy zarówno w Polsce, jak i w wielu krajach świata. Przed nami wyzwanie zarządzania miastami, których mieszkańcy mogą być bardziej niż dotychczas nieufni, irracjonalni w swych oczekiwaniach, podatni na manipulacje, rozchwiani emocjonalnie i wątpiący w sens długotrwałych wysiłków nastawionych na odległe cele. To wszystko wina chronicznego stresu, który we współczesnym świecie trzeba uznać za nieunikniony.

“ **Przed nami wyzwanie zarządzania miastami, których mieszkańcy mogą być bardziej niż dotychczas nieufni, irracjonalni w swych oczekiwaniach, podatni na manipulacje, rozchwiani emocjonalnie i wątpiący w sens długotrwałych wysiłków nastawionych na odległe cele.**

Pięć przykazań na trudne czasy

Teraz dopiero możemy sensownie rozmawiać o lokalności i sąsiedztwie. Oto moje rady dla miast na czasy niestabilności i stresu.

Wspólnota

W rozchwianym świecie musimy łagodzić stres. A zrobimy to, budując struktury lokalnego oparcia i kooperacji. Stres najtrudniej znieść w samotności. Dla osoby samotnej stres jest najdotkliwszy, bo nie ma ona od kogo zaczerpnąć zasobów, ani z kim podzielić się obciążeniami. Walka z osamotnieniem społecznym to dziś prawdopodobnie kluczowe wyzwanie dla miejskich władz. Każde działanie zagęszczające sieć relacji społecznych w miastach jest na wagę złota. Nie musi to być od razu zaawansowana współpraca oparta o sformalizowane struktury stowarzyszeń. Krokiem w dobrym kierunku jest dbanie przez lokalnych samorządowców o przestrzenie spotkań, dające okazje do rozmów i bycia razem. Nie dołączę się więc do chóru oburzonych niedawno zrewitalizowanym rynkiem w Kutnie – zaczekam czy nie wypełni się on za chwilę spotykającymi się tam ludźmi. I jeśli się wypełni, nic nie będą znaczyły moje eksperckie fochy co do jego estetyki.

“ **Walka z osamotnieniem społecznym to dziś prawdopodobnie kluczowe wyzwanie dla miejskich władz. Każde działanie zagęszczające sieć relacji społecznych w miastach jest na wagę złota.**

Przestrzenie spotkań to początek. Stąd już tylko krok do mikroinicjatyw polegających na wspólnym spędzaniu czasu, a za chwilę – do wspólnego organizowania tego, czego potrzebujemy: zagospodarowania po swojemu kawałka miejskiej zieleni, wystawienia na podwórko dmuchanego basenu dla dzieciaków, zorganizowaniu sąsiedzkiej giełdy wymiany rzeczy używanych. To właśnie – w różnych skalach w różnych miastach – dobra sąsiedzka odpowiedź na przytłoczenie stresem: razem jest łatwiej.

Lokalna gospodarka kooperatywna

Nasza lokalna gospodarka – oprócz silnika konkurencji – niech jak najszybciej uruchamia dodatkowy silnik lokalnej kooperacji. Miejscowi sprzedawcy i usługodawcy muszą mieć tu wsparcie władz samorządowych. Gospodarka kooperatywna to coś, czego będziemy uczyli się powoli, ale jej pierwsze przejawy są już teraz obecne w naszych lokalnych obiegach gospodarczych. Tęsknota konsumenta za nieograniczonym wyborem atrakcji sprowadzonych z całego świata zostaje coraz częściej zastąpiona tęsknotą za lokalną specyfiką, za miejscowym produktem nabytym możliwie bezpośrednio od pobliskiego producenta. Wygoda kupowania w wielkich centrach handlowych i hipermarketach powoli napotyka kontrapunkt w postaci konsumenckich odruchów świadomego wspierania drobnej przedsiębiorczości lokalnej. Wsparcie to jest tym silniejsze, im bardziej jest wplecione w rozbudowaną sieć lokalnego zaufania, lojalności i solidarności. A więc *de facto* – w sieć lokalnego kapitału społecznego.

Jeśli miejscowy sklepikarz – niech przykładem będzie sklep spożywczy – chce skorzystać z tej sieci zaufania i lojalności, to sam musi kooperować według reguł sieci. Wie on dobrze, że tego akurat segmentu klientów, który odwiedza jego sklepik, nie skusi on ofertą egzotycznych przysmaków z odległych krajów, ale ofertą świeżej lokalnej żywności od okolicznych rolników. Gospodarka kooperacyjna, w odróżnieniu od konkurencyjnej, to ekonomia świata wyczulonego na sprawiedliwość, etykę i względy ekologiczne bardziej niż na promocję, zysk i wygodę.

“ **Gospodarka kooperacyjna, w odróżnieniu od konkurencyjnej, to ekonomia świata wyczulonego na sprawiedliwość, etykę i względy ekologiczne bardziej niż na promocję, zysk i wygodę.**

Zauważyć młodzież

W chwiejnym świecie dramatyczna robi się sytuacja dzieci i młodzieży. Ich mechanizmy dostosowawcze dużo szybciej wyczerpują swoje rezerwy, niż u zaprawionych w bojach ludzi dorosłych. Narzekaliśmy od lat, że młodzi ludzie spędzają życie w sieci, a teraz – to my uwięziliśmy ich w kanałach zdalnych. Ograniczenia pandemiczne kiedyś się skończą i wówczas dopiero zobaczymy rozmiar szkód. Miasta muszą wymyślać już teraz, jak wesprzeć odbudowę żywych relacji międzyludzkich w młodym pokoleniu. Naiwnym optymistom uważającym, że „to stanie się samo” zwracam uwagę: łatwo się pomylić. Ruszy fala spotkań i imprez młodzieży fetującej ponowną możliwość spotkań. Nie będzie natomiast widać tej licznej mniejszości, która relacje budowała z wysiłkiem, dla której zerwanie ich to ponowny trud budowania ich od zera. Oni pozostaną nadal w domach, jakby pandemia trwała. To właśnie o nich mówimy.

“ **Narzekaliśmy od lat, że młodzi ludzie spędzają życie w sieci, a teraz – to my uwięziliśmy ich w kanałach zdalnych. Ograniczenia pandemiczne kiedyś się skończą i wówczas dopiero zobaczymy rozmiar szkód. Miasta muszą wymyślać już teraz, jak wesprzeć odbudowę żywych relacji międzyludzkich w młodym pokoleniu.**

Musimy mieć mądrzejszą odpowiedź na czasy postpandemiczne, niż tylko samo zniesienie ograniczeń. Potrzebne jest miejskie wsparcie dla każdej inicjatywy odbudowującej sieć relacji społecznych wśród ludzi młodych. Wskażę tu jeden obszar specyficzny (a takich obszarów jest wiele): czy miasta zastanawiają się nad problemem wykluczenia i osamotnienia młodzieży szczególnie zdolnej? W tej grupie pojawia się często nie tylko problem samotności związanej z nadmiernym obciążeniem różnego rodzaju zajęciami, ale także problem podwyższonej wrażliwości, zawyżonych oczekiwań wobec siebie i innych, wreszcie społecznego ostracyzmu wobec „kujonów”. A właśnie ta grupa mogłaby wnieść szczególnie dużo w lokalną teraźniejszość i przyszłość, gdybyśmy umieli jej nie wykluczyć. Osobiście dostrzegam też wielki potencjał w inicjatywach międzypokoleniowych – wspólnych aktywnościach młodzieży i seniorów. Rozbudowujący się właśnie w Bielsku-Białej wolontariat dwóch pokoleń na rzecz bezdomnych zwierząt, to jeden z przykładów takiej aktywności.

Srebrne tsunami

Skoro mowa o seniorach, przed nami fala srebrnego tsunami – demograficznej dominacji seniorów w naszych miastach. GUS prognozuje, że pomiędzy 2045 a 2050 rokiem co trzecia osoba mieszkająca Polsce będzie mieć 65 lat lub więcej. Jeżeli wówczas nasze miasta mają nie runąć pod naporem zapotrzebowania na usługi opieki i asystentury, strategicznym wyzwaniem jest zbudowanie zupełnie innego poziomu zdrowotności i samodzielności, niż dotyczy to dzisiejszych osób starszych. Pokolenie obecnych 40-65-latków musi mieć świadomość, że w trzecim etapie życia nie będzie mogło liczyć na znaczną pomoc młodszych, bo tych młodszych będzie po prostu za mało.

W takiej sytuacji wielkiego znaczenia nabierają wszystkie inicjatywy sąsiedzkie i lokalne utrzymujące starszych dorosłych w aktywności fizycznej i życiowej. Dzisiejszy wydatek miejski na wspieranie aktywności seniorskiej to długofalowa inwestycja w przyszłe oszczędności na kosztach leczenia i opieki. Aktywność fizyczna do późnych lat nie musi wiązać się ze sportem. To po prostu utrzymanie normalnej aktywności życiowej na dobrym poziomie. Jeśli mam po co wyjść z domu, jeśli mam motywację, żeby się nieco poruszać na świeżym powietrzu, to jest duża szansa, że będę zdrowszy. A to, czy chce mi się wyjść z domu, zależy także od sposobu zorganizowania miasta i jakości sąsiedztwa.

Różnorodność społeczna

W chwili, kiedy piszę te słowa, w mediach ukazało się doniesienie, że na Śląsku powstaje deweloperskie osiedle z mieszkaniami na wynajem, w którym nie będzie wolno mieszkać z dziećmi. Osiedle dla bezdzietnych par i singli chciałbym potraktować jako przykład ostrzegawczy. Rozumiem marzenia osób nieposiadających dzieci o wolności od wysłuchiwania hałasów najmłodszych pod oknami. Ale szczęśliwe miasto to zawsze społeczna różnorodność i cierpliwe wytrzymywanie siebie nawzajem. Moja cierpliwość wobec twoich dzieci zaowocuje moim prawem do wzajemnego oczekiwania twojej cierpliwości wobec mojego hałaśliwego hobby.

Ideał miejskiego sąsiedztwa to bogactwo różnorodności zachowań, stylów życia, indywidualnych sytuacji rodzinnych i życiowych, przynależności do różnych środowisk i klas społecznych. I w takim tyglu różnorodności – wzajemne poznawanie się i dobre sąsiedowanie ze sobą. Jeżeli znam moich sąsiadów i ich dzieci nie są dla mnie anonimowe, to mniej denerwują mnie ich hałasy, bo wiem, że w tym czasie moja sąsiadka ma chwilę spokoju na dokończenie zdalnej pracy. Budowanie przyjaznej różnorodności w środowiskach zamieszkania to najlepszy kierunek ku szczęśliwemu miastu.



Szczęśliwe miasto to zawsze społeczna różnorodność i cierpliwe wytrzymywanie siebie nawzajem. Ideał miejskiego sąsiedztwa to bogactwo różnorodności zachowań, stylów życia, indywidualnych sytuacji

rodzinnych i życiowych, przynależności do różnych środowisk i klas społecznych.

Wspólnota, kooperacja, młodzież, seniorzy, różnorodność: to chyba dobry zestaw haseł, wokół których warto budować przyjazne sąsiedztwo. W takim sąsiedztwie na pewno łatwiej przetrwać stres, jaki funduje nam rozdygotany świat.

O autorze

Wojciech Kłosowski – niezależny ekspert samorządowy, specjalista w zakresie zagadnień rozwoju lokalnego oraz planowania i zarządzania strategicznego. Wykłada zarządzanie kulturą w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk oraz prowadzi warsztaty z rewitalizacji obszarów miejskich w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego.

Społeczne wykorzystanie cyfryzacji



PIOTR JAŚKIEWICZ

Prezes, Fundacja Nauka dla Środowiska

Rozwiązania cyfrowe nie tylko ułatwiają nam dziś prowadzenie biznesu, komunikację ze znajomymi czy robienie zakupów, ale mogą też przyczynić się do rozwiązywania problemów społecznych oraz budowy wspólnot lokalnych. To właśnie mają na celu projekty „Dobre Wsparcie” oraz lokalny.org, stworzone przez Fundację Nauka dla Środowiska. Na czym polegają inicjatywy? Jakim wyzwaniom stawiają czoła? Jakie są efekty ich działań?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Cyfryzacja kojarzy nam się zazwyczaj ze sferą biznesu czy administracji. Okazuje się jednak, że może ona również rozwiązywać problemy natury społecznej. W jaki sposób?

Postanowiliśmy wykorzystać nowoczesne technologie żeby odpowiedzieć na problemy społeczne, do których powstania technologie te w dużym stopniu się przyczyniły. Zachodzący wokół nas postęp technologiczny przekłada się na nasze style życia, na sposoby spędzania czasu, na nasze relacje społeczne – odwracamy się od rzeczywistych kontaktów międzyludzkich, zastępując je atrakcyjnie opakowanymi wirtualnymi substytutami. Widać tu zresztą pewnego rodzaju sprzeczność – z jednej strony z social mediów czy reklam i strategii wiodących firm słyszymy zewsząd o otwartości, a z drugiej – w rzeczywistych relacjach tracimy umiejętności społeczne, a przede wszystkim: otwartość na drugiego człowieka.

Diagnoza jest bardzo pesymistyczna – w jaki sposób starcie się przełamać te negatywne tendencje?

Zacznę od uruchomionej przez naszą fundację aplikacji o nazwie „Dobre Wsparcie”. Jej celem jest mobilizacja lokalnych społeczności i wykorzystanie relacji sąsiedzkich do opieki nad potrzebującymi – seniorami, niepełnosprawnymi, osobami wykluczonymi społecznie. A wszystko to w oparciu o nowoczesne technologie. Stworzenie takiego rozwiązania było bardzo dużym wyzwaniem – obszar usług opiekuńczych to sektor bardzo trudny, w szczególności na obszarach wiejskich, gdzie nie ma firm świadczących tego typu usług, a te, oferowane przez lokalne samorządy, nie są w stanie zaspokoić potrzeb społeczności.



Stworzyliśmy aplikację, której celem jest mobilizacja lokalnych społeczności i wykorzystanie relacji sąsiedzkich do opieki nad potrzebującymi – seniorami, niepełnosprawnymi, osobami wykluczonymi społecznie.

Jakie są funkcjonalności owej aplikacji?

Aplikacja umożliwia zlecenie usług opiekuńczych na odległość. Mieszkający w Anglii wnuk może zlecić opiekę nad swoją babcią, która mieszka na wsi, sąsiadom, którzy mieszkają blisko niej. Nie w formie wolontariatu – w formie wynagrodzeń. Osoby chcące świadczyć usługi w systemie są wcześniej weryfikowane przez pracowników socjalnych pod kątem ich wiarygodności oraz dobrych intencji. Każda z nich może być też oceniana przez zleceniodawców – podobnie jak kierowcy Ubera. Rodzina za pośrednictwem aplikacji ma wgląd w wykonywane przez opiekuna prace.

Wszyscy uczestnicy tego modelu są „wygranymi” – senior czy osoba niepełnosprawna wymagająca opieki uzyskuje ją, jego bliscy mogą być spokojni, a sąsiad-opiekun otrzymuje wynagrodzenie. Nie są to wielkie pieniądze – wykorzystujemy fakt, że zgodnie z prawem miesięczny zarobek do 1050 zł to nierejestrowana działalność gospodarcza. Taki bonus finansowy stanowi jednak motywację do świadczenia usług, do sąsiedzkiego wsparcia.

Drugą, bardzo istotną funkcjonalnością „Dobrego Wsparcia” jest system SOS, stworzony niejako na wzór tego górskiego, obsługiwanego przez TOPR. Gdy dana osoba wciśnie przycisk SOS na swoim smartfonie, bądź opasce, którą można kupić za niewielkie pieniądze, uruchamia się automatycznie połączenie do sześciu wskazanych osób. Wysyłany jest do nich również SMS z lokalizacją potrzebującego oraz mapą pokazującą, jak blisko tej osoby się aktualnie znajdujemy. System jest skonstruowany w taki sposób, by wymuszać reakcję – będzie on powtarzał alarm i dzwonił coraz głośniejsze, aż któraś z sześciu osób znajdzie osobę będącą w potrzebie i wyłączy alarm uruchomiony z jej telefonu czy opaski. Rozwiązanie to może być wykorzystywane w trosce o bezpieczeństwo nie tylko seniorów, ale też np. dzieci czy młodzieży. Testowaliśmy go na uczniach dojeżdżających do szkół.

W „Dobrym Wsparciu” wdrożyliśmy także rozwiązanie wykorzystujące technologie *smart home*. Dzięki zainstalowanym w mieszkaniu czujnikom system automatycznie wezwie pomoc, gdy ktoś przewróci się w domu. Wystarczy do tego najtańszy abonament internetowy i telefon oraz zamontowanie kilku czujników – łącznie daje to koszt około 400 zł. Idealny prezent na Dzień Babci od wnuków.

W ramach aplikacji uruchomiliśmy też wreszcie system zarządzania usługami opiekuńczymi skierowany do instytucji – samorządów, organizacji pozarządowych czy firm z branży opieki. Jest to system organizujący pracę opiekunów w terenie, wykorzystujący ich geolokalizację. Pozwala on zoptymalizować ich pracę, co sprawia, że są w stanie pomóc efektywnie większej liczbie osób potrzebujących opieki.

Innym Waszym projektem wspierającym budowanie lokalnych społeczności jest lokalny.org. Czego on dotyczy?

Wszystko zaczęło się od tego, że przeanalizowaliśmy system przekazywania 1% podatku organizacjom pożytku publicznego. Ów 1% jest w zdecydowanej większości zbierany przez OPP, które funkcjonują w miastach. Na obszarach wiejskich tego typu organizacje niemal nie występują, a jeśli już są – ich poziom aktywności jest zazwyczaj bardzo niski. Postanowiliśmy wyjść temu problemowi naprzeciw i stworzyć rozwiązanie na wzór funduszy lokalnych – dać możliwość mieszkańcom sołectw czy osiedli zbierania 1% podatku na cele dotyczące ich najbliższej okolicy. Nie województwa, powiatu czy gminy, a ich podwórka, ulicy czy znajdującego się w pobliżu skwerku.

Z naszych doświadczeń z pracy z mieszkańcami poszczególnych miejscowości wynika bowiem, że interesuje ich tak naprawdę praktycznie tylko miejsce, w którym żyją. Nie chcą angażować się w to, co dzieje się w miejscowości obok, ogólnie w gminie, czy – nie daj Boże – w miejscowości po drugiej stronie gminy. Możliwość zadbania o własne miejsce zamieszkania, zobaczenia realnych zmian, jakie w nim zachodzą, poczucia, że ma się wpływ na to, co dzieje się wokół, przekłada się w ogromnym stopniu na proces budowy lokalnych społeczności. To pozytywny impuls do działania.



Możliwość zadbania o własne miejsce zamieszkania, zobaczenia realnych zmian, jakie w nim zachodzą, poczucia, że ma się wpływ na to, co dzieje się wokół, przekłada się w ogromnym stopniu na proces budowy lokalnych społeczności. To pozytywny impuls do działania.

Jedną z głównych barier organizowania się mieszkańców bywa często konieczność stawienia czoła tzw. papierologii. W jaki sposób udało Wam się ją przełamać?

Jako Fundacja Nauka dla Środowiska bierzemy całą „papierologię”, związaną chociażby z księgowością czy prowadzeniem konta bankowego, na siebie – grupa sąsiadów chcących, by 1% podatku szedł na wskazany przez nich cel, nie musi zakładać OPP, lecz mogą zbierać pieniądze na swoją okolicę przy wykorzystaniu naszego numeru KRS. Mają też później pełną kontrolę nad zebranymi środkami finansowymi. Wystarczy, że jedna z osób wypełni prosty formularz na stronie internetowej lokalny.org.

Na co są najczęściej zbierane pieniądze?

Na zmianę otoczenia – np. na zakup ławek. Niesamowitą rzeczą jest dla mnie to, że większość ławek spotykanych w miastach jest do siebie bardzo podobnych. Kiedy jednak ławki są kupowane przez mieszkańców, wybierają oni różne ich rodzaje. Czasem wyższe, tak by seniorom łatwiej było z nich wstać, a czasem bardziej „stojące”, z myślą o młodzieży, lub malutkie, przeznaczone dla dzieci. Okazuje się, że zagospodarowanie miejsca, w którym można usiąść, jest dla wielu ludzi absolutnie kluczową sprawą.

Z ubieranych pieniędzy kupowane są także śmietniki, pozwalające lepiej dbać o czystość, nasadzenia czy też farby na odmalowanie elewacji, a nawet na stworzenie murali, zdobiących brzydkie popegeerowskie bloki. W zdecydowanej większości projektów chodzi więc o to, by mieszkańcy mogli żyć i funkcjonować w ładniejszej, przyjemniejszej okolicy.

Spektrum możliwości wydatkowania środków jest generalnie bardzo szerokie – zgodnie z prawem nie mogą one służyć jedynie na zakup broni, narkotyków oraz alkoholu. Zastrzegamy sobie też, że pieniądze z 1% nie mogą być przeznaczane na wsparcie indywidualnych osób, np. chorych, ubogich czy niepełnosprawnych. Środki te muszą zostać skierowane na projekt, z którego będzie mógł korzystać każdy mieszkaniec – nadrzędnym jego celem jest bowiem budowanie lokalnej wspólnoty.



W zdecydowanej większości projektów chodzi o to, by mieszkańcy mogli żyć i funkcjonować w ładniejszej, przyjemniejszej okolicy.

W jaki sposób ustalane są cele zbiórek i sposoby realizacji projektów?

Mieszkańcy chcący zbierać pieniądze z 1% muszą wspólnie zgodzić się na to, na co środki te zostaną przeznaczone. Powinni spotkać się w tym celu i wspólnie dojść do konsensusu. Każdy z nich winien mieć prawo do przedstawienia swojej propozycji i zdecydowania, na co pieniądze zostaną wydane. Gdy ktoś zgłosi pomysł i zostanie on wybrany, musi też wziąć odpowiedzialność za jego realizację. Taka jest różnica między funduszem lokalnym, a budżetem obywatelskim, gdzie mieszkańcy zgłaszają pomysły, a następnie samorząd odpowiada

za realizację wybranych z nich. Stwarza to często pole do kłótni i niezadowolenia, że ktoś po drodze coś zepsuł, koncepcja miała wyglądać inaczej etc.

Osoba, która jest odpowiedzialna za realizację projektu przychodzi po prostu do Waszej fundacji i otrzymuje zebrane pieniądze? Skąd pewność, że zostaną one wydane na zdefiniowany cel?

Pieniądze zebrane przez społeczność są przetrzymywane na specjalnie przygotowanych przez naszą fundację – jako organizację zbierającą środki w ich imieniu – kontach bankowych. My jednak nie możemy oczywiście wydać z nich ani złotówki. Środki mogą być wydatkowane jedynie w formie przelewów – aby można było go dokonać, opłacić jakąkolwiek fakturę, i my jako fundacja i przedstawiciel społeczności musi zatwierdzić, uwierzytelnić tę transakcję.

Czy z obydwu opisanych przez Pana inicjatyw mogą skorzystać mieszkańcy z całej Polski?

Z lokalny.org niebawem będzie można skorzystać w całym kraju. Do tej pory, przez trzy ostatnie lata, testowaliśmy tę inicjatywę w województwie zachodniopomorskim, skąd pochodzimy. Z kolei „Dobre Wsparcie” od początku projektowaliśmy z myślą o całej Europie, dlatego też funkcjonuje ono we wszystkich europejskich językach. Projekt ten został zresztą doceniony przez Komisję Europejską – dwa lata temu został laureatem prestiżowego konkursu REGIO Stars w kategorii wsparcia socjalnego i przeciwdziałania wykluczeniu. To dla nas tym bardziej powód do dumy, że rywalizowaliśmy z przedsięwzięciami o nieporównanie większej skali finansowej.

„Dobre Wsparcie” działa już w innych państwach?

Tak, mamy już partnerów w Hiszpanii, we Włoszech, w Czechach i w Niemczech. Okazuje się, że na Zachodzie również istnieje wielka potrzeba wsparcia seniorów. Na tle wysokorozwiniętych państw Europy Zachodniej, relacje sąsiedzkie w Polsce, o których mówiłem wcześniej w dość gorzkich słowach, wcale nie wyglądają aż tak źle...

O rozmówcy

Piotr Jaśkiewicz – absolwent XI edycji Szkoły Liderów Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności, koordynator Certyfikowanego Ośrodka Działaj Lokalnie oraz sympatyk programu Równać Szanse. Od 2003 r. związany z Fundacją Nauka dla Środowiska z Koszalina, gdzie w pracy zawodowej wykorzystuje wielokierunkowe wykształcenie oraz podejście *design thinking*. Inicjator i koordynator kilkudziesięciu projektów i partnerstw o zasięgu międzynarodowym, regionalnym i lokalnym. Jego przedsięwzięcia systemowo wspierają i mobilizują mieszkańców do działań na rzecz dobra wspólnego i zrównoważonego rozwoju lokalnego.

EDUKACJA I WYCHOWANIE
DLA ROZWOJU LOKALNOŚCI
– LOKALNOŚĆ DLA LEPSZEJ
EDUKACJI I WYCHOWANIA

Sąsiedztwo jako *locus educandi*



prof.
MARIA MENDEL
Uniwersytet Gdański

Nie doceniamy naszych osiedli, podwórek, klatek schodowych. To tu rozpoczynamy naukę funkcjonowania w społeczeństwie i uczymy się bycia razem. To stąd dowiadujemy się, jak korzystać z przestrzeni, która jest nasza, ale nie tylko nasza. W tych właśnie miejscach, w skali mikro, praktykujemy na co dzień demokrację za sprawą nieustannego układania się między sobą, także w formie międzysąsiedzkich zgrzytów. Nie identyczność, a różnica jest bowiem najlepszą szkołą budowania dobra publicznego. Silni ćwiczeniami z lokalnego podwórka stajemy się zdolni zmieniać prawo i konstytuować nową, nieopresyjną dla nikogo przestrzeń równych. Czy mamy szansę przełożyć te oddolne inspiracje na poziom polskiej wspólnoty narodowej?

To, co dzieje się w lokalnej przestrzeni pomiędzy sąsiadami rzadko kiedy kojarzy się nam z edukacją. Tym tekstem chciałabym jednak uruchomić właśnie te skojarzenia – pokazać, że „lokalne podwórko” jest miejscem edukacyjnym (*locus educandi*) i – jako takie – pełne jest siły, opisywanej w pedagogice jako zdolność do zmiany, warunkującej podmiotowe bycie w świecie¹.

W tym kontekście proponuję współmyślenie o tym, jak bardzo bezpośredni jest związek sąsiedztwa z edukacją, ugruntowujący tę siłę oraz o tym, jak ważne jest, by był możliwie świadomie praktykowany. Czynienie pożytku z wiedzy o edukacyjności najbliższych nam, lokalnych postaci współżycia społecznego wyraża bowiem głęboki, istotowy sens demokracji, jako ładu organizującego społeczeństwo równych. Tworzymy siebie, jako jego część, w pierwszej kolejności ucząc się z tego, co najbliższe, czyli z codziennych lekcji, jakie dają nam właśnie sąsiedzi, nasze klatki schodowe czy podwórka.

“ **Tworzymy siebie, jako część ładu demokratycznego, w pierwszej kolejności ucząc się z tego, co najbliższe, czyli z codziennych lekcji, jakie dają nam sąsiedzi, nasze klatki schodowe czy podwórka.**

W przestrzeni mojej, twojej i twojej

To oczywistość, ale w związku z tym, że łatwo umyka nam właśnie to, co oczywiste, napiszę tu z wykrzyknikiem, że życie w świecie oznacza wychodzenie do świata! To nieustanny ruch, przez który żyjąc, żyjemy z innymi, wśród nich, także i dla nich. Sami z sobą i dla siebie, a jednocześnie z innymi i dla nich. Wskutek tego ruchu zawiązujemy i nieustannie zmieniamy relacje, tworząc tak przestrzeń publiczną, bo stanowiącą domenę wspólnie wytwarzaną, której jesteśmy zawsze – mniej lub bardziej świadomie – aktywną częścią. W ten sposób przestrzeń ta stale jest, ale nie dana nam raz na zawsze, lecz stająca się ciągle pomiędzy nami.

1 Brameld T. (2014): *Edukacja jako siła*, tłum. Piotr Kostyło, Bydgoszcz: Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego

Jest wspólna, należąc do nas wszystkich – jest moja i zarazem twoja, i jeszcze twoja – nasza w sensie otwartej koniunkcji, a nie alternatywy (moja albo twoja, czy twoja lub twoja).

Taka wspólna przestrzeń publiczna to coś więcej, niż suma tworzących ją, wchodzących w relacje ludzi. Po pierwsze, relacje te gdzieś zachodzą i zarówno dla ich kształtu, jak i rezultatów znaczące jest miejsce, w którym to się dzieje. Miejsce, konkretne „tu”, ma wymiar materialny, przez który bierze udział w tworzeniu wspólnej przestrzeni. Wypełniające ją relacje bez miejsca nie mogą się obyć, a ono nie pozostaje wobec nich obojętne. To, jakie miejsce jest, ma znaczenie dla naszej kondycji bycia razem, czasem wprost umożliwia je lub blokuje. Spróbujmy bowiem budować między sobą związek, kiedy każdy do każdego siedzi tyłem, bo inaczej w danym miejscu się nie da itp.

Po drugie, przestrzeń publiczna, którą tworzymy razem, zawiera synergiczny element „pomiędzy” – coś, co powstaje między nami i w czym swój udział ma charakter miejsca, w którym zachodzi nasza relacja. Chodzi o ekstra jakość, przestrzennie wytwarzaną w naszych siedliskach, wsiach, miasteczkach i miastach. Badacze tego fenomenu od lat wiążą go z demokracją, głosząc – jak socjolog miasta, Louis Wirth w latach 30. XX wieku, czy filozof polityki, Pierre Rosanvallon w początkach wieku XXI – że chodzi o wspólność: styl i jakość życia, nierozzerwalnie związaną z jego miejscem².

“ **Przestrzeń publiczna, którą tworzymy razem, zawiera synergiczny element „pomiędzy” – coś, co powstaje między nami i w czym swój udział ma charakter miejsca, w którym zachodzi nasza relacja.**

Podwórkowa szkoła demokracji

Wspólność polega na wielozmysłowym, wzajemnym dostrzeganiu się, choćby kątem oka, nieustannym „ocie-raniu się” o siebie jako przechodnie czy sąsiedzi. Wspólność na takich nieprzerwanych lekcjach polega i z nich też wynika. Bez tak nasyczonej edukacyjnie wspólności, która jest okazją zarówno do artykulacji własnych, jak i zauważania czyichś potrzeb, nie ma demokratycznego współistnienia. To wspólność, wytwarzana tam, gdzie żyjemy razem, jest tym, co wyrasta ponad sumę nas – jej współtwórców. Jako taka jest naszym lokalnym, sąsiedzkim dobrem, a w określonych warunkach osiągniętym i podzielanym wzajemnie dobrem publicznym.

Jest ono bardzo kruche, jak kruche w swojej zmienności są nasze relacje. Sąsiedzką wspólność – na przykład – rozpoznamy doskonale, kiedy nie będziemy mieli wątpliwości, że tu, wśród tych ludzi i domów, na tej ulicy, czy podwórku albo klatce schodowej możemy swobodnie żyć, co oznacza móc działać i czuć, że możemy być wolni (tak widzi to pedagog Gert Biesta³). Wystarczy jednak „zgrzyt” – np. wyrośnie płot tam, gdzie prowadziła ścieżka naszego skrótu w drodze do sklepu, albo zamiast zwykle spokojnych tonów rozmów słyszalnych zza ściany, zaczniemy słyszeć jazgot kłótni – i akceptowana zmysłami i odczuwana jako pełna sensu przestrzeń naszej wspólności przestaje istnieć, a kruche dobro, jakim była, znika.

Demokratyczność wiązana ze wspólnością zasadza się jednak właśnie na tej kruchości. Jest nam demokratycznie (podmiotowo, równościowo) i dobrze tam, gdzie właściwie nieustannie układamy się pomiędzy sobą, a łamiące estetyczną harmonię naszego życia „zgrzyty” traktujemy jak sygnały, przez pryzmat których widać, słyszeć i czuć

2 Wirth, L. (1938): Urbanism as a Way of Life, *American Journal of Sociology*, vol. 44, nr 1 (July), ss. 1-2; Rosanvallon P. (2016): Wspólność, tłum. Borys Jastrzębski, *Res Publica Nova*, nr 2, ss. 27-33

3 Biesta, G.J.J. (2012). Becoming Public: Public Pedagogy, Citizenship and the Public Sphere. *Social and Cultural Geography* 13(7), 683-697

potrzeby innych, oraz dzięki którym identyfikujemy własne. Nie identyczność, a różnica, nie wiekuista zgoda, lecz przeżywane na co dzień starcia czynią wspólność żywym, aktywnie kultywowanym dobrem publicznym.

“ **Nie identyczność, a różnica, nie wiekuista zgoda, lecz przeżywane na co dzień starcia czynią wspólność żywym, aktywnie kultywowanym dobrem publicznym.**

W tej perspektywie zwykłe podwórko albo korytarz w kamienicy urastają do nobliwej rangi, objawiając siłę, jaka tkwi w miejscu wspólności – miejscu uwrażliwiającym na innych i na siebie wśród innych, ważnym w odpowiedziach na pytania o to, kim i jak jestem. Miejscu, które przez praktykowaną w nim codzienność, nieprzerwanie uczy podmiotowego sprawstwa i czyni z nas równych, świadomych sensu wspólnego dobra obywateli.

Niech przykładem będzie tu pedagogia miejsca zidentyfikowana na przykładzie badań Doroty Rancew-Sikory, których przedmiotem były przedpokoje starych gdańskich kamienic⁴. Badaczkę interesowało, jak zmieniały się one po wojnie w wyniku dokwaterowywania kolejnych lokatorów i co działo się z nimi później. Wyniki pokazują, że mieszkańcy najpierw drapieżnie zagarniali wspólną przestrzeń, by powiększać własne mieszkania. Z czasem jednak następowały zmiany, jakieś ruchy ścianek, przemieszczenia w obrębie kwaterunków. W rezultacie przedpokoje zaczęły wracać, jakby z mocą uwidaczniając sens wspólnego dobra, jakim były.

Mieszkańcy gdańskich kamienic byli razem, ale uczyli się, jak być razem lepiej, doświadczając wspólności zarówno przez jej brak, jak i kruchą obecność. Pracowali na rzecz zmian, myśląc i działając w warunkach wzajemnego zauważania swoich potrzeb. Tam, gdzie pojawiał się dla tych potrzeb szacunek, rósł dobrosąsiedzki etos.

Wspólny pokój zwany miastem

W tym kontekście zajrzyjmy do koncepcji miasta jako wspólnego pokoju⁵. Zakłada ona, że w mieście możemy żyć tak, jak dzielący wspólną przestrzeń współlokatorzy. Własność staje się wtedy niekonieczna i raczej umowna, a równość realna, praktykowana na co dzień. We wspólnym pokoju nie ma dzielenia „po równo” – lokatorzy nie mają każdy swojej kuchni czy łazienki. Jest natomiast stałe, równe korzystanie z przestrzeni na zasadzie „raz ty, raz ja”, stosownie do zauważanych wzajemnie i spotykających się z wzajemnym szacunkiem potrzeb.

Miasto pełne jest przykładów takiego życia. Pierwsze z brzegu odślaniają się: miejski targ w dzień, a parking nocą, placyk i schodki wokół pomnika świetne na odpoczynek dla zmęczonych słońcem przechodniów, a od zmięzchu arena wyczynowych popisów tanecznych czy sportowych. Raz ty, innym razem ja, raz my, innym razem wy – w mieście nietrudno dzielić przestrzeń, jak czynią to mieszkańcy wspólnego pokoju, robiąc sobie miejsce, kiedy potrzebne.

“ **Raz ty, innym razem ja, raz my, innym razem wy – w mieście nietrudno dzielić przestrzeń, jak czynią to mieszkańcy wspólnego pokoju, robiąc sobie miejsce, kiedy potrzebne.**

4 Rancew-Sikora D. (2015): Wspólny przedpokój? Modi co-vivendi w mieszkaniach (w:) *Miasto jak wspólny pokój. Gdańskie modi co-vivendi* pod red. Marii Mendel, Gdańsk: GTN & IKM

5 Mendel M. (2015): Wspólny Pokój Gdańsk. Miejskie modi co-vivendi w badaniu metodą krytycznej historii miasta (w:) *Miasto jak wspólny pokój. Gdańskie modi co-vivendi* pod red. Marii Mendel, Gdańsk: GTN & IKM

Zaczyna być trudno, kiedy pojawiają się płoty i mury... Własność, szczególnie ta zaborcza, niszczy wspólność. Homo munitus, człowiek zabarykadowany, „który trzyma się towarzystwa sobie podobnych za murami twierdzy”⁶, nie jest podmiotem demokratycznej wspólności, nie dokłada się do synergii, którą stoi wspólny pokój – miejsce podzielanej równości.

Miłość, toksyczna miłość i nienawiść

Wspólne, sąsiedzkie miejsca kochamy jak nasze „małe ojczyzny”, ale bywa, że ich nienawidzimy, kiedy – na przykład – czujemy się gnębieni ograniczonością szans, które stwarzają. Pierwsze uczucie wyzwala pokłady energii i owocuje entuzjastycznym nierzadko rozwijaniem własnych podwórek. Mnóstwo opisów takich pedagogii znaleźć można w biograficznych powieściach, których bohaterowie, na przykład, nigdy nie tracąc z oczu swojego rajy utraconego, wracają do rodzinnych miejsc po latach i produktywnie je zasilają.

Pedagogie te odsłaniają też mroczne strony miłości do własnych stron i okolic. Kiedy widać w nich zaślepienie, pojawia się ksenofobia i inni, ludzie „nie stąd”, stają się obcymi. Miejsce wspólne uczy wówczas wspólności wybiórczej, która rodząc niechęć do tego, co dalej, co pozalokalne, nie tylko wyklucza innych, nie dopuszczając ich do zamkniętej „naszości” *co-vivendi*, ale i dystansuje od reszty świata, prowincjonalizując taką wsobną wspólnotę, w istocie – na jej życzenie.

“ **Miłość do własnych stron i okolic może być toksyczna. Kiedy dominuje zaślepienie, pojawia się ksenofobia i inni, ludzie „nie stąd”, stają się obcymi. Miejsce wspólne uczy wówczas wspólności wybiórczej, która rodząc niechęć do tego, co pozalokalne, nie tylko wyklucza innych, ale też dystansuje od reszty świata.**

Druga opcja, kiedy miejsca wspólnego nienawidzimy, przywodzi na myśl liczne pedagogie widoczne na przykład w narracjach osób znaczących w przestrzeni publicznej, celebrytów, którzy własnym sukcesem zaświadczały pokonanie niekorzystnych lokalnych uwarunkowań, w których wzrastali. To pedagogie ucieczki, akcentujące praktyki ugruntowane w zapatrzeniu na świat dalej, nie tu, to uczenie się z kontestacji miejsca znanego i tworzenie siebie z edukacyjnych sygnałów przestrzeni obcej, ale kuszącej wolnością⁷.

Lokalny wysiłek ma sens

W świetle tych pedagogii ujawnia się życiowy dylemat niejednego sąsiada i zarazem niezwykle istotna kwestia o uniwersalnym charakterze: uciekać ze miejsc złych, czy je zmieniać? Hasła ulicznych protestów ostatniej jesieni, Strajku Kobiet i innych, były czasem wprost wyrazem tej kwestii. Wśród odzwierciedlających ją banerów, szczególnie utkwił mi w pamięci ten, głoszący: „To mój kraj. Dlaczego muszę wyjeżdżać?”.

Praca na zmianę miejsca wspólnego przybierać może niezliczone postaci aktywnego współtworzenia przestrzeni publicznej: zabierania głosu, stawiania się w niej widocznymi – ze swoją sytuacją biedy, braku szans, ignorowania praw, poczucia zbędności wśród innych etc. Osiągnięcie demokratycznej widzialności, słyszalności,

6 Rosanvallón P. (2016): Wspólność, tłum. Borys Jastrzębski, *Res Publica Nova*, nr 2, s.29

7 Zob.: Tuan Y.-F.(1987): *Przestrzeń i miejsce*, tłum.: Agnieszka Morawińska, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy

owocuje przełożeniami na dyskurs legislacyjny i instytucjonalny. Silni ćwiczzeniami z lokalnego podwórka stajemy się zdolni zmieniać prawo i konstituować nową, nieopresyjną dla nikogo przestrzeń równych.

Wszyscy nie wyjedziemy. Miejsce wspólne warte jest wysiłku czynienia go lepszym. Jak wspomniałam, w tym właśnie tkwi istota demokratycznej wspólności. Troska o zawsze kruche dobro wspólne zaczyna się tam, gdzie zauważamy drugiego, a to bardzo blisko, tu – w sąsiedztwie.

O autorce

Prof. **Maria Mendel** – pedagożka społeczna, badaczka przestrzeni podmiotowego sprawstwa i demokratycznej wspólności. Autorka koncepcji pedagogiki miejsca, rozwijanej w perspektywie badań społecznie zaangażowanych. Wśród publikacji m.in.: „Pedagogika miejsca”, „Społeczeństwo i rytuał. Heterotopia bezdomności”, „Pedagogika miejsca wspólnego. Miasto i szkoła”, „Pamięć i miejsce”, „Eduwidma, rzeczy i miejsca nawiedzone”. Laureatka Nagrody Naukowej Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza (2020).

Lokalny biznes dla wspierania lokalnej edukacji



DARIUSZ BOJEK

Wicedyrektor Zespołu Szkół Technicznych – Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Lesznie

Przykład Zakładu Szkół Technicznych – CKZiU w Lesznie pokazuje, jak dużym wsparciem dla lokalnych inicjatyw edukacyjnych może być miejscowy biznes. Wokół szkoły rozpostarła się cała siatka miejscowych przedsiębiorstw, które w różnej formie – m.in. finansowej, doposażeniowej oraz lokalowej – wspierają jej działalność. Co jest ich główną motywacją? Jak zainteresować dzieci i młodzież edukacją techniczną?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Jest Pan założycielem i opiekunem Klubu Młodego Odkrywcy „Młody Technik” w Lesznie. Na czym polega jego działalność?

Kluby Młodego Odkrywcy (KMO) działają pod patronatem Centrum Nauki Kopernik. W ich ramach dzieci i młodzież mają szansę zgłębić interesujące je tematy w sposób praktyczny. W Polsce działa dziś niemal 1000 takich klubów. Osobiście przygodę z KMO rozpocząłem w 2012 r., gdy pracowałem jeszcze w szkole podstawowej. Bawiliśmy się z dziećmi w badania i eksperymentowanie, uczyliśmy się metod badawczych – to zresztą główna idea tych klubów. Cztery lata temu zmieniłem miejsce pracy, zostając wicedyrektorem Zespołu Szkół Technicznych w Lesznie. Niedługo później założyłem KMO „Młody Technik”.

Uczestnikami klubu, który prowadzę są uczniowie naszego technikum zainteresowani majsterkowaniem. Do tej pory w ramach działalności klubu wykonywaliśmy m.in. różnego typu roboty, łaziki, a nawet meble z palet, specjalnie na potrzeby szkolnej świetlicy. Niedawno wygraliśmy w CNK minigrant na budowę toru samochodowego dla małych autek napędzanych przez siłę mięśni – przy torze będą zainstalowane dwa rowery stacjonarne i ten, kto szybciej będzie kręcił pedałami, tego samochód będzie jechał prędzej.

Kto podsuwa pomysły, których realizacją zajmujecie się w trakcie zajęć?

Większość pomysłów wychodzi od młodzieży – mówią, co ich interesuje, poszukują inspiracji, a ja jestem od tego, by pomóc im w ich realizacji, by nakierować na dobrą drogę, a czasem powiedzieć, że czegoś nie da się zrobić lub, że trzeba trochę odejść od pierwotnej idei.

„Młody Technik” to także lokalna forma promocji kształcenia technicznego.

Owszem, nie chcemy się zamykać we własnym sosie, zależy nam na dzieleniu się naszą pasją z innymi. Dlatego też zapraszamy na nasze zajęcia uczniów podstawówek z Leszna i okolic, którzy mogą przypatrzeć się naszym warsztatom, poćwiczyć z nami, zobaczyć na czym polega nauka w technikum. Oni z kolei bardzo chętnie z tego korzystają. Nieraz wychodzimy też z naszymi wynalazkami na zewnątrz – pokazujemy innym nasze konstrukcje. Gdy tylko ukończymy nasz tor samochodowy, mamy zamiar zaprezentować go uczniom lokalnych szkół podstawowych, zainteresować ich naszą działalnością.

Tworzenie konstrukcji, a już szczególnie tak zaawansowanych jak np. roboty, wymaga jednak zapewne nieraz konieczności poniesienia pewnych nakładów np. na specjalne części, materiały. Domyślam się, że kwoty te mogą być dość spore – szczególnie jak na kieszeń szkoły czy uczniów. Czy macie jakichś sponsorów?

Oprócz bycia nauczycielem i wicedyrektorem Zespołu Szkół Technicznych, jestem też prezesem Stowarzyszenia Przyjaciół ZST, zrzeszającego nauczycieli, pracowników szkoły oraz absolwentów. Często słyszę, że nasza szkoła absolwentami stoi i absolutnie się z tym stwierdzeniem zgadzam. W praktyce bowiem, w bardzo wielu lokalnych firmach pracują, a często piastują też stanowiska kierownicze lub są nawet ich właścicielami, osoby które uczyły się w naszym technikum. Jako że ZST istnieje już od ponad 55 lat, tych ludzi jest sporo, nieraz są oni już dość zaawansowani wiekowo i mają dobrze prosperujące biznesy.

Z wieloma takimi przedsiębiorcami oraz pracownikami utrzymujemy kontakt za sprawą Stowarzyszenia. Osoby te bardzo chętnie nas wspierają. Często jest to pomoc finansowa, która jest kierowana na organizowane przez nas stypendia bądź na zakup potrzebnych nam urządzeń czy materiałów. Nieraz pomagają nam też lokalowo czy sprzętowo. Dla przykładu, od jednego z przedsiębiorstw dostaliśmy za darmo spawarkę do światłowodów, mimo że nie jest to sprzęt tani, a znajomość jego obsługi nie jest wymagana w podstawie programowej. Technologie idą do przodu, a nam zależy na tym, by nie uczyć *stricte* pod egzaminy zawodowe, lecz szerzej – pod kątem wymagań zmieniającego się rynku pracy.



W bardzo wielu lokalnych firmach pracują, a często piastują też stanowiska kierownicze lub są nawet ich właścicielami, absolwenci naszego technikum. Osoby te chętnie wspierają działalność edukacyjną szkoły, m.in. w formie finansowej oraz doposażeniowej.

Są też firmy, które wspierają ZST w doposażeniu pracowni pod kształcenie zawodowe. Przedsiębiorcy przyjmują również naszych uczniów na praktyki zawodowe lub zapraszają na wycieczki „zawodoznawcze”. Jak więc widać, ta współpraca jest wielotorowa, jeszcze nigdy się na niej nie zawiedliśmy. Wiem, że gdy czegoś będziemy potrzebowali, nie zostaniemy pozostawieni sami sobie.

Macie zatem w regionie całą siatkę przedsiębiorstw, które dobrze Wam życzą, kibicują Wam i Was wspierają. Dlaczego jednak to robią – czy kieruje nimi sentyment, czy może chęć „wyłowienia” do pracy najlepszych uczniów?

Motywacje bywają różne. Z pewnością wielu firmom zależy na pozyskaniu potencjalnego dobrego pracownika, czyli ucznia, który zdał egzaminy zawodowe. Jest spora rzesza przedsiębiorstw kierujących się sentymentem, choć współpracują z nami również i takie, w których nie pracuje żaden nasz absolwent. Dla przykładu: w ZST kształcimy informatyków, mechatroników, mechaników samochodowych, spedytorów oraz projektantów ubrań, a wspierają nas np. firmy stolarskie, zaopatrujące nas w elementy drewniane, które wykorzystujemy podczas warsztatów. A przecież nie zatrudnią oni raczej w swojej firmie informatyka czy mechatronika.

Współpracujecie też z samorządem?

Mamy bardzo dobre relacje z lokalnymi samorządowcami. Pomimo ograniczonych środków udaje nam się zawiązywać ciekawe przedsięwzięcia. W ubiegłym roku szkolnym realizowaliśmy chociażby projekt „Matematyka zawodowa” – polegał on na organizacji dodatkowych lekcji matematyki w powiązaniu z danym zawodem. W ich ramach uczniowie kształcący się na elektryków obliczali obwody elektryczne, spedytorzy – wielkość

ładunków, „samochodziarze” – obciążenia belek itd. Inicjatywa ta – realizowana przez nas razem z miastem przy wsparciu pieniędzy unijnych – miała na celu zachęcenie uczniów do nauki matematyki, przekonanie ich, że przyda im się również w ich zawodzie.

Inną wspólną inicjatywą z samorządem leszczyńskim było przedsięwzięcie, w ramach którego dla wszystkich lokalnych podstawówek wykonaliśmy w ZST tzw. wózek małego konstruktora. Każdy z nich został wyposażony w różnego typu przyrządy do majsterkowania – od nożyczek i noże po wiertarki i szlifierki. Przeszkoliliśmy z obsługi tych sprzętów nauczycieli techniki i teraz każda lokalna szkoła może te urządzenia wykorzystywać podczas zajęć.

Leszno z jednej strony nie jest wielką metropolią, lecz z drugiej nie jest też miastem bardzo małym, położonym peryferyjnie. Czy młodzież generalnie wiąże swoją przyszłość z tym miejscem, czy raczej nastawia się na wyjazd?

Kilka lat temu miasto przeprowadziło wśród uczniów szkół średnich badanie dotyczące m.in. ich planów po zakończeniu szkoły. Okazało się, że ponad 2/3 uczniów techników chciało zostać w mieście i regionie – tu ulokować się życiowo, założyć rodzinę, pracować. Zgoła odwrotna była natomiast tendencja w najlepszych lokalnych liceach, skąd większość uczniów miała w zamiarze wyjazd na studia do Poznania, Wrocławia czy Warszawy.

Nas – jako kadrę nauczycielską ZST – wyniki tych badań miło zaskoczyły. Mając bowiem fach w ręce można bez większego problemu dostać dobrze płatną pracę za granicą. Mimo to nasi uczniowie czuli, że wolą zostać tutaj, że lubią i doceniają miejsce, w którym żyją, że chcą pracować na jego dorobek. Wierzę, że wielu z nich uda się w przyszłości pójść w ślady współpracujących z nami przedsiębiorców. Podbudowało nas to, dodało nam skrzydeł i jeszcze większej motywacji.



Mając fach w ręce można bez większego problemu dostać dobrze płatną pracę za granicą. Mimo to nasi uczniowie czują, że wolą zostać tutaj, że lubią i doceniają miejsce, w którym żyją, że chcą pracować na jego dorobek.

O rozmówcy

Dariusz Bojek – wicedyrektor i nauczyciel matematyki w Zespole Szkół Technicznych – Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Lesznie. Prezes Stowarzyszenia Przyjaciół ZST-CKZiU, które zajmuje się między innymi pozyskiwaniem sponsorów i firm do współpracy ze szkołą. Regionalny trener Centrum Nauki Kopernik w ramach projektu Klubów Młodego Odkrywcę. Założyciel pierwszego KMO w regionie leszczyńskim. Lokalny działacz i inicjator akcji – przez dwie kadencje był radnym, prowadził stronę internetową wsi w której mieszka, wydawał gazetkę wiejską, organizował imprezy i wydarzenia kulturalne dla mieszkańców.

Edukacja do odkrywania lokalności



DANUTA SKALSKA-CYGAN

Wicedyrektor Zespołu Szkół im. Józefa Piłsudskiego w Zakliczynie

Dlaczego warto łączyć szkolną edukację z lokalnymi zasobami i tradycjami? Dlaczego, szczególnie w Polsce lokalnej, warto udowadniać uczniom, że bycie „stąd” to zaleta, a nie bagaż? Jak korzystać z tego, co wokół nas, jednocześnie realizując program edukacyjny? Jakich postaw uczy się młodzież obcująca na co dzień z lokalnością?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Skąd wzięło się u Pani przekonanie, że edukację warto łączyć z lokalnością?

Ciekawość świata to cecha, która charakteryzuje osoby mające poczucie sensu własnego działania i pozytywnie stymulowane w dzieciństwie. Tacy ludzie obserwują otaczający świat i doceniają jego wszelkie walory, są otwarci. Gdy chodziłam do liceum nauczono mnie, że o niczym, co wydarzyło się czy występuje w literaturze, kulturze, sztuce nie można mówić bez związków z miejscem, w którym one powstawały. Kiedy rozpoczęłam pracę nauczyciela w małopolskim Zakliczynie, korzystając z tych wzorców stwierdziłam, że muszę udowodnić dzieciom, że wokół nich znajdują się rzeczy niezwykle i wartościowe, a one powinny być dumne z takiego dziedzictwa. Mimo że nie jestem od pokoleń związana z tym regionem, nie było to zbyt trudne, ponieważ nasza okolica jest szczególnie, bardzo interesującym miejscem.

Własna ciekawość, a także motywacja, by zainteresować młodzież lokalnością sprawiły, że zaczęłam szukać mądrych ludzi, ciekawych miejsc, poznawać tutejsze tradycje. A jest czego się dowiadywać – w przeszłości miejsce to było własnością opata tynieckiego i funkcjonowało pod nazwą Opatkowice. Z okien zamku na melsztyńskim wzgórzu patrzył na nie Spytek, rozmyślając nad radami dla Kazimierza Wielkiego. To tu narodziły się myśli zmieniające, za sprawą Fausta Socyna, filozofię renesansowej Europy. Tutaj przebiegał front jednej z ważniejszych bitew Wielkiej Wojny – Bitwy Gorlickiej – upamiętniony kilkunastoma cmentarzami. Przebywali tu i pozostawili ślady swej obecności: Wawrzyniec Spytek Jordan – założyciel Zakliczyna, Jacek Malczewski i odwiedzający go Jan Matejko, Stanisław Wyspiański czy znany nam wszystkim prof. Krzysztof Penderecki. Do dziś można wskazać miejsca pochówku rycerzy wracających spod Wiednia, którzy zmarli z powodu czerwonych lub odniesionych ran.

Takich informacji nie wolno pominąć w edukacji, a to dopiero część walorów okolicy. Młodzież powinna zdawać sobie sprawę z magicznej siły przyciągania wielkich ludzi przez naszą „małą ojczyznę” i mieć świadomość, że w przyszłości oni również mają szansę zapisać się w historii lokalnej.

W jaki zatem sposób edukować, zachęcając do odkrywania tego, co najbliżej?

Najważniejsze dla mnie jako nauczyciela polonisty są trzy zadania, które realizuję od samego początku i planuję to robić aż do emerytury. Po pierwsze – poznanie zasobów oraz włączenie ich w realizowany program nauczania. W przypadku Zakliczyna są to głównie walory kulturowe i przyrodnicze, ale nie wolno rezygnować z przybliżania sylwetek ludzi, którzy mogą stanowić wzorce do naśladowania dla młodego pokolenia.

Druga istotna rzecz to podtrzymywanie kontaktów ze środowiskiem naukowym. To również wyniosłam ze swojego liceum, gdzie mieliśmy częste kontakty ze studentami i z pracownikami naukowymi. Istnieje bowiem wiele czynników, które wpływają na interpretację zjawisk czy to literackich, czy to kulturowych. To, że Homer napisał Iliadę w starożytności, nie oznacza, że należy ją interpretować zawsze tak samo. Dlatego też chętnie zapraszamy reprezentantów środowisk naukowych, którzy dzielą się swoimi spostrzeżeniami, pokazują inne możliwości interpretacyjne. Bardzo istotne jest też dla mnie uaktualnianie wiedzy na temat przeszłości lokalnej – tym bardziej, że w przypadku Zakliczyna nie była ona nigdy przedmiotem pogłębionych, całościowych analiz. Dzięki nawiązanym kontaktom zainteresowaliśmy naszą okolicą wielu badaczy, którzy starają się pogłębiać wiedzę na jej temat, stając się dla nas wielkim źródłem informacji.

Co jest natomiast trzecim ogniwem?

Ostatnim, trzecim elementem jest natomiast prezentowanie wiedzy i umiejętności nabytych przez uczniów lokalnej społeczności. Zależy mi na tym, byśmy to, co odkryjemy, popularyzowali bardzo szerokiemu gronu odbiorców. Działania takie jak np. spacer po okolicy, podczas których uczniowie opowiadają ich uczestnikom o historii, tradycjach danego miejsca, przekładają się na tworzenie wspólnoty lokalnej, na poczucie zainteresowania lokalnymi sprawami, a także na budowanie lokalnej dumy. To uczniom zostaje – dowiadują się, że warto tu mieszkać, że tu też można coś zdziałać.



Działania takie jak np. spacer po okolicy, podczas których uczniowie opowiadają uczestnikom o historii, tradycjach danego miejsca przekładają się na tworzenie wspólnoty lokalnej, na poczucie zainteresowania lokalnymi sprawami, a także na budowanie lokalnej dumy.

Organizowanie przez uczniów gry miejskiej „Szlakiem żydowskich mieszkańców Zakliczyna” uczy planowania, współpracy w zespole, tworzenia scenariuszy. Zapraszanie do udziału młodszych kolegów, uczniów szkół podstawowych funkcjonujących w naszej gminie zacieśnia więzi, a równocześnie edukuje, wpływa na zmianę postawy. Uczy tolerancji dla inności, łamie stereotypy. Pokazuje, że zabawy znane sto lat temu, takie jak np. gra w klasy, w kapsle, w zośkę, mogą być równie atrakcyjne dzisiaj, a kuchnia żydowska jest bardzo smaczna.

Ważnym elementem edukowania uczniów powinno być także ćwiczenie występow publicznych. Niedawno lokalnym radnym został mój ledwie 21-letni absolwent. Swoją kampanię wyborczą zorganizował nietypowo – bez ulotek, bez plakatów, chodząc od domu do domu i opowiadając o swoich celach, pomysłach. Gdy spotkał się już po wyborach, przyznał mi, że rozmawiając z mieszkańcami czuł się jak na lekcji języka polskiego. Pamiętam, że chłopak ten miał zawsze problemy z występami publicznymi, a jednak udało mu się przełamać. Takie przykłady pokazują, że wysiłek nauczyciela ma sens.

Dlaczego Pani zdaniem docenianie lokalnych tradycji jest takie ważne?

Żadna kultura nie jest w stanie się rozwijać, jeśli głęboko nie rozpozna i nie zrozumie swoich źródeł. Kultura, która nie ma żywych tradycji usycha. Usiłuję pokazać uczniom, że to bardzo ważne kim są, skąd się tu wzięli, co otrzymali i że warto tym się interesować, kultywować to. Tylko znając swoją przeszłość, mogą odpowiedzialnie planować przyszłość.

Trudno jest udowodnić uczniom, że warto znać lokalność, kultywować lokalne tradycje?

Uważam, że nie. Szczególnie, gdy mieszka się w miejscu tak szczególnym jak Zakliczyn. Tylko w najbliższej okolicy jestem w stanie pokazać szereg zjawisk, zdarzeń, postaci, które nie tylko wpłynęły w istotnym stopniu na to, co dzieje się tu i teraz w naszej lokalnej społeczności, ale odegrały też znaczącą rolę w kontekście tego, co wydarzyło się w Polsce, a nawet w świecie. Częściowo wskazałam je wcześniej, a uszczegółowienie zajęłoby dużo czasu. W każdym razie – młodzież zazwyczaj tego wszystkiego nie wie.

Moje lekcje służą również temu, by „nie umarła pamięć” o tym, co napawa dumą, ale również wzbudza przykre refleksje – tak, by młodzież wyniosła z nich jak najwięcej wiadomości. Pozwala im to na lepsze budowanie swojej tożsamości oraz dowartościowuje ich – nie są oni wcale gorsi od rówieśników z Warszawy czy Krakowa. Uważam, że nie ma nauczania bez przeżycia. Jeżeli pobudzimy młodzież emocjonalnie, pokażemy im, że bycie „stąd” to zaleta, a nie bagaż, ludzie ci wejdą w dorosłe życie z zupełnie inną energią. Będą też mieli motywację do tego, by lokalnie działać, dalej budować dzieło rozpoczęte tu przed wiekami.

“ **Jeżeli pobudzimy młodzież emocjonalnie, pokażemy im, że bycie „stąd” to zaleta, a nie bagaż, ludzie ci wejdą w dorosłe życie z zupełnie inną energią. Będą też mieli motywację do tego, by lokalnie działać, dalej budować dzieło rozpoczęte tu przed wiekami.**

Co jednak z miejscami, które nie mają zbyt bogatej historii?

Praktycznie wszędzie, w każdej miejscowości można znaleźć coś, co jest charakterystyczne i z czego można być dumnym. Wszędzie funkcjonują jakieś tradycje – pieśni ludowe, historie, tańce, muzyka. Dużo o okolicy, o jej przeszłości mogą nam powiedzieć mikrotoponimy – lokalne nazwy pojawiające się w różnych miejscowościach, takie jak np. Dąbrowa, Winnica, Równia, Majznerówka, Wawel. To dobry pretekst, by zainteresować uczniów lokalnością. Te nazwy mogą stanowić bodziec do poszukiwania tego, co było tu wcześniej, dlaczego tak było, skąd się wzięło. Tych nazw jest bardzo dużo i możemy je znaleźć w całej Polsce, nie tylko w miejscach o bogatej tradycji i kulturze.

Uczniowie chętnie dają się „ponieść” duchowi lokalności?

Postęp globalizacji spowodował powstanie naturalnej przeciwwagi – im bardziej rzeczywistość staje się globalna, tym bardziej cenimy powracanie do korzeni. Jeszcze niedawno panowało przekonanie, że używanie gwary czy języka charakterystycznego dla okolicy jest przejawem zacofania, świadczy o niskim poziomie wykształcenia. Wydaje mi się jednak, że te czasy minęły. Widać to także po boomie na produkty lokalne, który nie ominął Zakliczyna. Uczniowie to widzą, nie wstydzą się tego, skąd pochodzą. Należy pozwolić przyswajając im tę wiedzę na ich warunkach, stosując metody i formy, które oni wybiorą, bo znają je i rozumieją.

“ **Jeszcze niedawno był okres, kiedy sądzono, że używanie gwary czy języka charakterystycznego dla okolicy jest przejawem zacofania, świadczy o niskim poziomie wykształcenia. Wydaje mi się jednak, że te czasy minęły. Widać to także po boomie na produkty lokalne.**

Jak tworzyć lokalne narracje uwzględniające różnice międzypokoleniowe?

Najcenniejsze, co młodzież może wynieść z kontaktów z osobami z tzw. srebrnego pokolenia, to wiedza i doświadczenie. To, co osoby te przeżyły, czego były świadkami, jest skarbem. Warto spotykać się z nimi i traktować jako świadków historii. Tacy ludzie znajdują się przecież w praktycznie każdym miejscu.

Niedawno okazało się na przykład, że w niedalekiej okolicy żyje pani, która urodziła się podczas II wojny światowej w zakliczyńskim getcie, a także pan, który w wieku 12 lat razem z rodziną ukrywał i ratował Żydów przed zagładą. Jest wpisany na listę Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Zaprosiliśmy ich do naszej szkoły na spotkanie z uczniami. Nie ukrywam, że jako nauczyciele, organizatorzy, obawialiśmy się o zachowanie młodzieży – często w grupie może znaleźć się „czarna owca”, która jest w stanie zepsuć atmosferę, zdekoncentrować kolegów. Świadcstwa gości zrobiły jednak na uczniach tak duże wrażenie, że przez cały czas słuchali w skupieniu, a na zakończenie sami, spontanicznie zgotowali im owację na stojąco. Ci starsi ludzie byli dla nich tak prawdziwi, tak autentyczni, że przekonali młodzież, „kupili” ją.

Czy uważa Pani, że starsi mogą się też czegoś nauczyć od młodzieży, czy następuje tu pewnego rodzaju „odwrócony mentoring”?

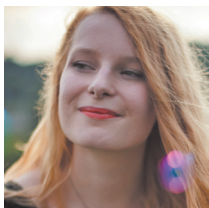
Jak najbardziej – uważam, że nie jest to relacja jednokierunkowa, że jedni od drugich mogą się bardzo wiele nauczyć. Z jednej strony należy więc pracować nad tym, by pokazać młodym, że starsi też mają coś niezwykłego do zaoferowania, że warto korzystać z ich wiedzy i doświadczeń. Z drugiej natomiast strony, młodzi mogą być swego rodzaju przewodnikami dla starszych np. w świecie nowoczesnych urządzeń, technologii. Młodzi mogą osobom starszym otworzyć oczy na rzeczy, których oni nie znają i nie potrafią do nich dotrzeć w sposób samodzielny. To również duża wartość.

O autorce

Danuta Skalska-Cygan – wicedyrektor Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. J. Piłsudskiego w Zakliczynie, wychowawca wielu pokoleń młodzieży, polonistka specjalizująca się w edukacji regionalnej. Współautorka licznych projektów edukacyjnych, konkursów.

**WIEZIOTWÓRCZA
I POZNAWCZA
ROLA KULTURY
W PRZESTRZENI SĄSIEDZKIEJ
I LOKALNEJ**

Kultura dla lokalności



dr

NATALIA BRYŁOWSKA

Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku

Kultura otwiera oczy na miejską rzeczywistość, w której – wydawałoby się – nic nie jest już w stanie nas zaskoczyć. Jest platformą włączania, wyobrażania, wyrażania, eksperymentowania i negocjowania różnorodnych potrzeb i oczekiwań związanych z lokalnym rozwojem najbliższego otoczenia. Jest w stanie interpretować problemy, niepokoje i mity wspólnoty. Ma zdolność przywracania pewnym tematom miejsca w publicznym dyskursie, potrafi też inicjować dyskusję nad miejskimi – a często także dzielnicowymi czy osiedlowymi – wyzwaniami. Lokalne wspólnoty, tworząc, uwypuklając i dbając o swoje własne symbole, mogą kreować dzięki nim publiczną debatę. Miasto zbudowane z różnorodności i bogactw kultur zamieszkujących je lokalnych społeczności staje się ciągłym dialogiem.

Kultura, wspólnota i miejsce

Wszystko, co jest obecne w mieście, jest przez kogoś kreowane, przetwarzane i przeżywane. Przestrzeń miasta jest kartą, na której ludzie zapisują i odczytują historie swoje i innych – tych im współczesnych i tych, po których zostały tylko ślady. Miasto jako całość nie mówi jednym językiem, jest miejscem spontanicznie tworzoną przez kolejne pokolenia i różne grupy mieszkańców, które kształtują je według własnej wizji życia.

Poruszając się w przestrzeni, codziennie wyznaczając trasy i miejsca dla nas ważne, tworzymy własne obrazy i interpretacje miasta. W lokalnych społecznościach i w ramach sąsiedztw, kształtują się nie tylko więzi międzyludzkie, ale też związek tożsamości z miejscem¹, w którym rozgrywa się życie – jest on idealnym podłożem do tworzenia wspólnych symboli i złożonych tożsamości. Poszczególne miejsca skupiają w sobie osobiste i wspólne przeżycia, wspomnienia i znaczenia. Pewne miejsca się rodzą, inne umierają, ale mają zdolność do odradzania się, choć niekoniecznie w tym samym znaczeniu i dla tej samej grupy osób. Miasto jako całość jest wspólnym miejscem tożsamości, na które składają się dynamiczne miejsca i tożsamości grupowe wchodzące ze sobą w relacje i zachodzące na siebie.

We współczesnych, rosnących miastach, do których przybywają nowi mieszkańcy, tożsamość lokalna jest płynna. Duża mobilność, częste zmiany miejsca zamieszkania sprawiają, że część obywateli miasta „wpina się”² w lokalne struktury przestrzenne, społeczne, gospodarcze miasta w sposób nietrwały. By mogli poczuć więź z miastem i stać się jego odpowiedzialnym użytkownikiem, konieczna jest wymiana i komunikacja.

Kultura jest platformą czy też przestrzenią włączania, wyobrażania, wyrażania, eksperymentowania i negocjowania różnorodnych potrzeb i oczekiwań związanych z lokalnym rozwojem najbliższego otoczenia. Miejsce staje się dziełem sztuki – współtworzonym przez wielu autorów. Kultura w tym kontekście to mieszanka skomplikowanych relacji grupowych pomiędzy mieszkańcami, władzą, interesami ekonomicznymi. Choć często jest

1 B. Kopczyńska-Jaworska, *Miasto jako przestrzeń kontaktu kulturowego i społecznego* [w:] *Studia etnologiczne i antropologiczne*, T 8, Katowice 2004, s. 16

2 K. Nawratek, *Sztuka i miasto. Poszerzyć „pole wpięcia”*, [w:] red. E. Tomczyk, *W sieci kultury*, Warszawa 2010, s. 345

postrzegana jako narzędzie tworzenia wspólnoty ogólnomiejskiej, w praktyce równie często może wykluczać lub podkreślać podziały społeczne i przestrzenne.

Uczestnicy kultury w mieście są zróżnicowani pod względem gustu, kompetencji kulturalnych, sposobów ekspresji. Wspólna przestrzeń wypełniana jest zróżnicowanymi treściami-kodami, których sens jest dostępny tylko dla osób posługujących się tym samym językiem. Czy możliwe jest skomunikowanie i wzajemne zrozumienie grup, które choć na co dzień w przestrzeni miejskiej spotykają się ze sobą, to jednak nie mają wiele wspólnego? Stworzenie jednego języka kultury dla całości lokalnej społeczności?

“ **Czy możliwe jest skomunikowanie i wzajemne zrozumienie grup, które choć na co dzień w przestrzeni miejskiej spotykają się ze sobą, jednak nie mają ze sobą wiele wspólnego? Stworzenie jednego języka kultury dla całości lokalnej społeczności?**

Jaka kultura w wielowątkowym mieście?

W programach miejskich często stosuje się „selektywne narracje”, by promować pewne schematy czy uwspólniać tożsamość. Nie służą one opisowi, a raczej wyznaczają kierunek rozwoju, wytwarzają historie i praktyki oraz kreują wizerunek z wybranych fragmentów przeszłości i teraźniejszości miasta. Takie próby często kończą się banalnymi rozwiązaniami, zubażają i czasami fałszują pamięć wspólnoty.

Istotą kultury i sztuki wrażliwej na miejsce jest wpisanie się w życie mieszkańców, nawiązywanie relacji z przestrzenią i ludźmi. Działania Instytutu Kultury Miejskiej w Gdańsku (IKM) są sposobem na aktywowanie tych relacji z miejscem na poziomie sąsiedztwa, dzielnicy czy całego miasta. Staramy się różnicować rodzaje projektów kulturalnych pod względem ich zasięgu, czasu trwania, angażowanych dziedzin kultury i sztuki czy też celów – raz bardziej skupionych na budowaniu więzi społecznych, a w innych przypadkach skoncentrowanych na walorach przestrzeni dzielnicy i wartościach artystycznych.

Różnorodność Gdańska, jego dzielnic a nawet osiedli skłania do różnicowania oferty przedsięwzięć kulturalnych. I tak też dla przykładu, Festiwal Monumental Art organizowany do 2016 r. na Zaspie sprawił, że budynki z wielkiej płyty stały się niejako „płótnami” dla artystów tworzących na nich swoje murale. Od 2011 r. mieszkańcy dzielnicy przyjmują rolę przewodników po kolekcji wielkoformatowych obrazów, jakie wypełniają przestrzeń ich codziennych spacerów i towarzyszą w drodze do sklepu, pracy czy szkoły. Tak powstał program Lokalni Przewodnicy i Przewodniczki, który „rozsiął się” na kolejne 6 dzielnic miasta. Jego ideą jest myśl o pielęgnowaniu pamięci historycznej, wspólnotowej i indywidualnej mieszkańców. Osoby biorące udział w programie oprowadzają po swoich dzielnicach gości, dzieląc się własnymi opowieściami o miejscach oraz wiedzą na temat ich historii. Te lokalne grupy są węzłami wymiany historii, wiedzy i doświadczenia, dzięki którym bada się przerwana historię wielu miejsc i gromadzi wspomnienia kolejnych pokoleń mieszkańców.

Prowadzimy również działania, które są krótkotrwałymi interwencjami pobudzającymi do refleksji nad specyfiką miejsca, wytrącającymi przechodniów i mieszkańców z codziennej rutyny. Wśród nich jest m.in. Festiwal Narracje, zachęcający mieszkańców Gdańska do wieczornych listopadowych spacerów po mieście. Zaproszeni przez kuratorów artyści tworzą inne perspektywy dla codziennych przestrzeni, ale jednocześnie otwierają je na gości z różnych części miasta. Co roku inna dzielnica staje się sceną dla artystycznych interwencji eksplorujących lokalne narracje historii i przyszłości. Z kolei projekty, takie jak Corners of Europe łączą artystów

i mieszkańców dzielnicy tylko w jednorazowych przedsięwzięciach, które mają wyrazić tematy istotne dla lokalnej społeczności i mogą stać się punktem zapalnym dalszych działań.

Zaangażowane działania kulturalne mają tworzyć miejsca w codziennej rzeczywistości, interpretować problemy, niepokoje i mity wspólnoty. Sztuka otwiera oczy na rzeczywistość, w której pozornie nic nie jest już w stanie nas zaskoczyć, gdy rutyna zabija pragnienie poszukiwania i doświadczania. Ma też zdolność przywracania pewnym tematom miejsca w publicznym dyskursie, inicjowania dyskusji nad problemami miasta, dzięki czemu ingeruje w jego przestrzeń społeczną i fizyczną.

Dlatego nie powinna być neutralna, musi być do pewnego stopnia przedmiotem dyskusji i jej uczestnikiem, tak by przeciwdziałać narzucanej estetyce i kontroli wspólnej przestrzeni dzielnic miasta. Lokalne wspólnoty, odzyskując własne symbole, mogą stworzyć dzięki nim publiczną debatę. Miasto zbudowane z różnorodności i bogactw kultur zamieszkujących je lokalnych społeczności jest ciągłym dialogiem.

“ **Miasto zbudowane z różnorodności i bogactw form generowanych przez kulturę zamieszkujących je lokalnych społeczności jest ciągłym dialogiem.**

Coraz więcej osób uświadamia sobie prawo do ingerencji w przestrzeń publiczną i angażuje się w działalność na rzecz lokalnej wspólnoty, która tworzy się wokół miejsc i spraw dla niej ważnych. Działania nawiązujące do idei ruchu *community arts* wykorzystują narzędzia artystyczne i kulturalne angażujące mieszkańców, którzy stają się współtwórcami i przejmują „na własność” lokalne przestrzenie. Tego typu inicjatywy wpisane są często w programy rewitalizacji społecznej zdegradowanych przestrzeni miejskich. U podstaw tej strategii leży przekonanie, że zaktywizowana w ten sposób lokalna wspólnota przejmie opiekę nad przestrzenią, w której żyje. Jednocześnie musimy pamiętać, że ruch ten zakłada, iż twórczość oddana „zwykłym” ludziom stanowi narzędzie walki politycznej. Artyści i animatorzy pomagają tylko wyrazić niepokoje i potrzeby społeczności poprzez zbiorowe działania artystyczne, reprezentując je na zewnątrz. Zaktywizowani w ten sposób mieszkańcy nie tylko podejmują działania ochronne, w kierunku na przykład poprawy warunków mieszkaniowych, dbania o wspólną przestrzeń publiczną, ale także odrzucające to, co przeszkadza, nie pasuje do ich tożsamości, wizji przyszłości miejsc lub jest niezgodne z ich potrzebami.

Publiczne programy, realizowane często przez lokalne instytucje kultury, muszą być prowadzone z dużą uważnością. Nie powinny one mieć charakteru wyłącznie edukującego lokalne społeczności, czy grupy wykluczone, ale raczej pozwolić im odnaleźć własną tożsamość, poczucie związku z miejscem i przestrzenią całego miasta oraz odzyskać kontrolę nad własną historią. Celem jest uwidocznienie ich doświadczeń, poprzez dostarczenie im przestrzeni wypowiedzi, nie natomiast kanalizowanie niezadowolonych i nauczanie powinności.

“ **Programy publiczne powinny pozwolić mieszkańcom odnaleźć własną tożsamość, poczucie związku z miejscem i przestrzenią całego miasta oraz odzyskać kontrolę nad własną historią.**

Projekty kulturalne bywają podporządkowane celom wytyczanym ogólnie, jak rozwój gospodarczy czy zarządzanie problemami społecznymi, przez co tracą swoje założenia skupienia na oddolnie formułowanych postulatach i wzmacniania głosu mieszkańców w publicznej dyskusji. Trzeba też uważać, by oddolne działania kulturalno-społeczne nie zostały zbyt skomercjalizowane i nie odsunęły od siebie społeczności lokalnej.

Mieszkańcy często nie są chociażby zadowoleni z rosnącego ruchu turystycznego, który przyciągany jest przez atrakcyjne kulturalne przedsięwzięcia czy inwestycje.

Kulturowe planowanie miasta

Sposobem na włączenie lokalnych społeczności w dyskusję i działanie na rzecz dzielnic czy sąsiedztwa jako pełnoprawnych współdecydentów w sprawach przyszłości miasta jest metoda planowania kulturowego (*cultural planning*). W tym podejściu kultura i działania artystyczne są pośrednikiem w komunikacji między lokalnymi społecznościami, miejskimi decydentami i inwestorami. Nadaje ono niecodzienne ramy negocjacji, które nie faworyzują żadnej ze stron oraz uwzględniają obecność subkultur, osób starszych, młodzieży i dzieci, osób mieszkających w dzielnicy od pokoleń, ale też nowych mieszkańców.

W tworzeniu planów rozwoju daje się prymat projektowaniu opartemu o lokalne zasoby dzielnicy, a tradycyjne metody konsultacji wzmacnia się niestandardowymi działaniami czerpiącymi ze sztuki i kultury, takimi jak: instalacje artystyczne, performance, taniec. Przyciągają one szerszą grupę uczestników, niż oficjalne dyskusje i stanowią symboliczny kanał komunikacji potrzeb, oczekiwań i tożsamości lokalnej społeczności. Z tej metody można korzystać w różnej skali i zakresie – może stać się oficjalnym podejściem administracji do planowania przestrzeni miejskiej, może stanowić wzmocnienie oddolnych inicjatyw w dyskusji publicznej, czy też rozbudzać świadomość wartości lokalnych zasobów wśród mieszkańców dzielnicy.

“ **W kulturowym planowaniu miasta daje się prymat projektowaniu opartemu o lokalne zasoby dzielnicy, a tradycyjne metody konsultacji wzmacnia się niestandardowymi działaniami czerpiącymi ze sztuki i kultury, takimi jak: instalacje artystyczne, performance, taniec. Stanowią one symboliczny kanał komunikacji potrzeb, oczekiwań i tożsamości lokalnej społeczności.**

Instytut Kultury Miejskiej realizuje pilotażowe projekty korzystające z tego podejścia w dwóch gdańskich dzielnicach – na Starym Przedmieściu i w Nowym Porcie – w ramach międzynarodowego projektu UrbCulturalPlanning³. Celem działań jest stworzenie projektów, które zachęcą mieszkańców dzielnic do włączania się w dyskusje dotyczące ich przyszłości i dbania o wspólne przestrzenie oraz poszerzenie dostępu do informacji na temat planowanych przez miasto inwestycji w dzielnicach przy użyciu niestandardowych kanałów komunikacji.

Podstawą działań jest dobre zmapowanie lokalnego DNA dzielnicy: jej charakterystyki przestrzennej, kulturowej, sieci powiązań społecznych, aktywności ekonomicznych. Chcemy dowiedzieć się, jak żyją mieszkańcy, co jest dla nich ważne, które miejsca skupiają lokalne życie i są nośnikami wspomnień i wartości, jakie aktywności kulturalne czy lokalne tradycje są istotne, jakie organizacje, instytucje i lokalne biznesy działają w sąsiedztwie. Do przygotowania takiego kulturowego mapowania można wykorzystać mapy emocjonalne, na których mieszkańcy zaznaczają miejsca związane ze wspomnieniami, miejsca szczególnie cenne, te, gdzie spotykają się z innymi, ale też te, które są dla nich niedostępne, czy których się boją, lub których chcieliby się

3 Więcej o projekcie <https://urbcultural.eu/>

pozbyć. Pomocne są również wywiady, warsztaty SWOT, ankiety przeprowadzane w przestrzeni publicznej, czy też spacerzy fotograficzne, które dokumentują charakter przestrzenny dzielnicy i typowe lokalne aktywności mieszkańców.

Kolejnym etapem współpracy z mieszkańcami jest tworzenie wspólnej wizji dla przyszłych projektów kulturalnych. IKM wykorzystał w tym procesie metodę warsztatową *Time Loop* opracowaną przez wywodzącą się z teatru organizację *Building Conversations*⁴. Eksperymentowanie ze spojrzeniem na dzielnicę i jej problemy z różnych perspektyw czasowych przeszłości i przyszłości, szukanie lokalnych „zasobów” materialnych i niematerialnych, z których powinny czerpać przyszłe inicjatywy jej dotyczące. W ten sposób powstał tzw. Kompas Projektu, który wskazuje kierunek kolejnego etapu procesu – czyli współprojektowania. Mieszkańcy dzielnicy mogli wziąć udział w warsztatach *design thinking*, podczas których opracowali wspólnie projekty kulturalne i artystyczne własnego pomysłu.

W tego typu działaniach należy upewnić się, czy zasady współpracy są jasne, uruchomić odpowiednie kanały informacji. Konieczne jest budowanie zaufania i relacji opartych na otwartości i szacunku między uczestnikami: mieszkańcami, pracownikami, organizacjami partnerskimi, szczeblami wyższego zarządzania. Osiąga się to przez dyskusje, ewaluację, wspólne świętowanie.

Współczesne miasta zmieniają się tak szybko, że tymczasowość, krótkie trwanie pewnych rozwiązań urbanistycznych, ma większy wpływ na jakość życia, niż duże i realizowane latami inwestycje, które w momencie ukończenia nie spełniają już założonej roli i nie rozwiązują problemów i potrzeb miejskiej wspólnoty. Dlatego działania realizowane w tej metodzie nie zawsze muszą zakładać wpisanie się w długofalowe procesy inwestycyjne.

“ **Współczesne miasta zmieniają się tak szybko, że tymczasowość, krótkie trwanie pewnych rozwiązań urbanistycznych, ma większy wpływ na jakość życia, niż duże i realizowane latami inwestycje, które w momencie ukończenia nie spełniają już założonej roli i nie rozwiązują problemów i potrzeb miejskiej wspólnoty.**

Należy jednak pamiętać, że kultura nie wypełni luk powstałych w wyniku niedoinwestowania miasta. Jednym schematem nie można zastąpić wszystkich działań. Początkowy entuzjazm spotyka się z rzeczywistością i ograniczeniami roli kultury i organizacji kulturalnych w rozwiązywaniu miejskich problemów⁵. Myśląc o kulturze w kontekście wspólnoty nie powinniśmy ignorować podziałów istniejących w tkance miejskiej, ale też nie można ich utrzymywać przez naznaczanie pewnych miejsc i zamieszkujących je społeczności jako trudnych i problematycznych. Działania kulturalne w dzielnicach mogą wspierać ich otwieranie się na resztę miasta, aby przywrócić je miastu i połączyć na nowo, wpisując te tożsamości w zbiorową miejską tożsamość. Warto spojrzeć na kulturę miejską jak na mozaikę działań oddolnych i nieformalnych, ale też profesjonalnych i instytucjonalnych. Dążenia do tworzenia lokalnej wspólnoty tożsamości miejskiej nie powinny faworyzować pewnych narracji kulturowych kosztem pomijania czy delegitymizowania innych form ekspresji kulturalnej praktykowanych przez różne grupy mieszkańców w dzielnicach i sąsiedztwach.

4 Więcej o metodzie <https://www.buildingconversation.nl/conversation/time-loop/>

5 S. Miles, R. Paddison, Introduction: The Rise and Rise of Culture-led Urban Regeneration, „Urban Studies”, Vol. 42, Nr 5/6, 2005, s. 834

O autorce

Dr **Natalia Brylowska** – menadżerka i badaczka kultury, doktor nauk humanistycznych w dziedzinie nauk o zarządzaniu, absolwentka porównawczych studiów cywilizacji i zarządzania kulturą na Uniwersytecie Jagiellońskim. Koordynuje prace działu badań i Rozwoju w Instytucie Kultury Miejskiej, kieruje projektami badawczymi prowadzonymi przez Obserwatorium Kultury oraz konsultacjami społecznymi i ewaluacją działań instytucji kultury. Koordynowała badania diagnostyczne prowadzone w ramach projektu Sieć kultury. Naukowo zajmuje się badaniami środowisk artystycznych i relacją między kulturą i sztuką a miastem. Autorka książki „Zawód artysta” (2020) oraz licznych artykułów.

Jak budować tożsamość lokalną, czyli od anonimowej sypialni do poczucia lokalnej dumy



MAREK KOZŁOW

Prezes, Stowarzyszenie „Wczoraj, dziś, jutro”

Pruszcz Gdański przez lata był postrzegany głównie jako „sypialnia” pobliskiego Gdańska. Tak o swoim mieście mówili nawet sami pruszczańscy. I nie ma się co dziwić – nie dość, że po II wojnie światowej nastąpiła tam niemal całkowita wymiana ludności, to w dodatku Pruszcz sam w sobie nie był atrakcyjnym miejscem do zamieszkania. Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero w ostatnich latach, gdy władze miasta przy wsparciu lokalnych organizacji, podjęły szereg starań na rzecz poprawy jakości życia. W tym wymiarze nastąpiła wyraźna zmiana na plus, z której czerpią dziś mieszkańcy. Okazało się, że znacznie trudniej jest jednak zbudować ich tożsamość historyczną – co stoi na przeszkodzie? W jaki sposób można te bariery przełamać? Co zrobić, by lokalna społeczność bardziej identyfikowała się z miejscem, w którym mieszka?

Tożsamość jest dzisiaj bez wątpienia jednym z najczęściej pojawiających się haseł, gdy mowa o życiu lokalnych – czy to miejskich, wiejskich, czy nawet dzielnicowych – społeczności. Jak jednak ją budować? Uważam, że nie ma tu jednej dobrej recepty, która mogłaby stać się swojego rodzaju „instrukcją działań lokalnych”. Odpowiedź zależy bowiem od specyfiki miejsca, w którym proces budowania tożsamości zachodzi. Zależy on przede wszystkim od właściwej diagnozy obszaru, to znaczy od odpowiedzi na pytanie: co zrobić, by mieszkańcy identyfikowali się z miejscem, w którym mieszkają?

Od anonimowej „sypialni”...

Posłużę się przykładem Pruszcza Gdańskiego, na rzecz którego sam staram się od lat działać. Jest to miasto, w którym po II wojnie światowej doszło do niemal całkowitej wymiany ludności. Oznacza to, że prawie wszyscy tutejsi mieszkańcy pierwszych lat powojennych nie byli *de facto* pruszczańcami. Wprowadzali się oni do świeżo opuszczonych mieszkań bez pewności, czy będą mogli w nich na dłużej zostać. Nie byli więc „u siebie”. Stan ten utrzymywał się przez dłuższy czas, a rodzące się już pierwsze pokolenie powojenne żyło w atmosferze „tymczasowości”.

Pruszcz Gdański, w zasadzie do dnia dzisiejszego charakteryzuje się bardzo wysoką dynamiką demograficzną. Liczba mieszkańców od jesieni roku 1945 do dzisiaj wzrosła niemal dziesięciokrotnie. Do miasta przez cały okres powojenny, przeprowadzało się co roku więcej mieszkańców, niż się nowych pruszczańców rodziło. Ludzie ci przybywali do Pruszcza najczęściej nie z wyboru, a dlatego, że dostali tam mieszkanie. Ponadto, przez wiele dziesięcioleci, miasto to było postrzegane jako „sypialnia” Gdańska – także przez samych pruszczańców. Władze komunistyczne nie czyniły zaś nic, by ten poważny mankament identyfikacji mieszkańców z ich miejscem życia, zmienić.



Przez wiele dziesięcioleci Pruszcz Gdański był postrzegany jako „sypialnia” Gdańska – także przez samych pruszczan. Władze komunistyczne nie czyniły zań nic, by ten poważny mankament identyfikacji mieszkańców z ich miejscem życia, zmienić.

U progu nowej ery – okresu reformy samorządowej, kiedy władze lokalne zaczęły „brać sprawy w swoje ręce” – Pruszcz Gdański był miasteczkiem o podstawowej infrastrukturze życia codziennego, typowej dla mniejszych miejscowości. Jego poważnym deficytem był brak miejsc, do których „można było pójść”: kilka niezbyt atrakcyjnych restauracji i dwa, a później jedno kino. Wszystkie one nie wytrzymywały konkurencji z sąsiednim Gdańskiem. Nie było też nawet dokąd wyjść na spacer – brakowało zagospodarowanych parków, mimo dużych przecież powierzchni miejskiej zieleni. Taki obraz nie czynił Pruszcza miejscem atrakcyjnym dla jego mieszkańców – nie wiązał ich z miastem.

... do poczucia lokalnej dumy

Władze samorządowe w Pruszczu Gdańskim dość szybko uświadomiły sobie, że głównym zadaniem, jakie je czeka, będzie zmiana wizerunku miasta w oczach samych pruszczan. Budowa nowego obrazu miasta, poprawa nie tylko warunków bytowych, ale i szerzej rozumianej jakości życia mieszkańców, stały się więc wiodącymi priorytetami realizowanymi przez tutejszych samorządowców. W ten sposób lokalne władze zaczęły być bardzo ważnym, posiadającym moc sprawczą ogniwiem kształtowania tożsamości lokalnej.

Doskonałe położenie Pruszcza Gdańskiego przy głównym szlaku komunikacyjnym północ-południe zaczęło przyciągać coraz więcej poważnych inwestorów, którzy przyczynili się do szybkiego wzrostu liczby miejsc pracy – tak ważnych w fazie zapewnienia sobie stabilnej sytuacji bytowej mieszkańców miasta. Tym samym znacznie ograniczona została ich zależność od wielkomiejskiego, gdańskiego rynku pracy, który przez dziesięciolecia definiował sposób ich funkcjonowania w swoim mieście.

Z czasem w przestrzeni Pruszcza Gdańskiego uaktywniać zaczęły się także grupy mieszkańców, którym zależało na pozytywnej zmianie wizerunku miasta. Powstawały nieformalne, a z czasem też już formalne, grupy, stowarzyszenia i fundacje. Doprowadziło to do bardzo pożądanego podziału na stronę władz samorządowych z ich mocą sprawczą oraz na tę społeczną, której pomysły i odpowiedni lobbying wśród lokalnych samorządowców zaczęły mieć istotny wpływ na podejmowane przez tych ostatnich decyzje.



W zakresie aktywności lokalnej nastąpił pożądaný podział na stronę władz samorządowych z ich mocą sprawczą oraz na tę społeczną, której pomysły i odpowiedni lobbying wśród lokalnych samorządowców zaczęły mieć istotny wpływ na podejmowane przez tych ostatnich decyzje.

Wraz z rosnącą wśród mieszkańców Pruszcza stabilnością ekonomiczną zaczęły pojawiać się coraz głośniejsze artykułowane potrzeby – wołanie o to, by „mieć dokąd pójść” i „mieć gdzie zjeść”. Strona społeczna, sama

będąc najbardziej zainteresowaną, miała zwykle najlepsze wyczucie tych potrzeb. Na przełomie wieków zaczęto coraz głośniej mówić o konieczności stworzenia odpowiedniej infrastruktury dla spędzania czasu wolnego „na miejscu”.

Odpowiedzią na te głosy okazał się projekt archeologicznego parku kulturowego „Faktoria”, składający się nie tylko ze skansenu, ale także wielohektarowego kompleksu placów zabaw, boisk, a nawet amfiteatru. Cały ten, otwierany etapami w latach 2007-2011, kompleks miał i ma nadal decydujący wpływ na zmianę sposobu spędzania wolnego czasu przez pruszczan. Lokalni mieszkańcy zaczęli mieć „dokąd pójść”, tym bardziej że jednym z obszarów działań parku kulturowego było otwarcie Sceny Letniej Teatru Wybrzeże, która co roku, przez całe wakacje, oferuje mieszankę koncertów muzyki pop i muzyki poważnej, występów kabaretowych oraz sztuk teatralnych. Oznaczało to zupełnie nową jakość w życiu kulturalnym pruszczan. Ich miasto stało się nagle miejscem atrakcyjnym na mapie kulturalnej Trójmiasta. A to już jest powód do dumy, także dla młodszej części mieszkańców. Móc zaprosić kolegów i koleżanki z Gdańska na koncert do Pruszcza oznaczało dla nich swojego rodzaju rewolucję.

Największym wyzwaniem – tożsamość historyczna

Ostatnim z elementów tworzenia tożsamości lokalnej, obok poprawy wizerunku miasta oraz zapewnienia infrastruktury czasu wolnego, jest w wypadku Pruszcza konieczność budowania tożsamości historycznej mieszkańców. Jest to zarazem obszar wymagający największej cierpliwości. Z setek rozmów, jakie przeprowadziłem z mieszkańcami, wynika bowiem zasadniczy wniosek który można byłoby określić słowami: „Pruszcz Gdański ma swoją historię, historii tej nie mają jednak pruszczenie”. Powód takiego myślenia jest oczywisty: nie ma tu wielopokoleniowej miejscowej tradycji. Została ona brutalnie przzerwana podczas II wojny światowej – to fakt, z którym trzeba było sobie zacząć radzić.

“ **„Pruszcz Gdański ma swoją historię, historii tej nie mają jednak pruszczenie” – powód takiego myślenia jest oczywisty: nie ma tu wielopokoleniowej miejscowej tradycji. Utrudnia to zbudowanie tożsamości historycznej lokalnej społeczności.**

W kilka osób od wielu już lat staramy się kreować zmianę podejścia mieszkańców do tego zagadnienia. Chodzi o przekonanie ich, że historię miasta tworzą oni sami. Tak samo, jak od kilku dziesięcioleci tworzyli je ich rodzice i dziadkowie. Dzięki staraniom jednego z tutejszych stowarzyszeń, wychodzić zaczął kwartalnik społeczno-kulturalny „Wieści”, którego kontynuatorem jest, wydawany od kilku lat „Kwartalnik Artystyczno Historyczny NEONY Tożsamość”, w którym sporo miejsca rezerwuje się dla różnych form przekazów historycznych, z coraz większym naciskiem na historię powojenną mieszkańców Pruszcza. Rosnące zainteresowanie tym bardzo profesjonalnie wydawanym czasopismem, a przede wszystkim publikowanymi w nim tekstami historycznymi, może świadczyć o tym, że budowanie tożsamości historycznej mieszkańców Pruszcza zaczyna przynosić efekty. Daje to zarazem nadzieję na przyszłość. Niejako w konsekwencji tych oraz wielu innych działań, władze Pruszcza Gdańskiego powołały w ubiegłym roku – po latach starań, zarówno samorządowców, jak i grup społecznych – Referat Ekspozycji i Dziedzictwa Kulturowego, którego zadaniem jest kształtowanie świadomości, a zatem też tożsamości historycznej wśród mieszkańców miasta.

I na koniec jeden, bardzo przyziemny przykład na to, że budowanie tożsamości lokalnej jest procesem długim, ale w niektórych miejscach już widocznym. Gdy kilkanaście lat temu tworzyły się portale społecznościowe „Nasza Klasa”, a później „Facebook”, wielu znanych mi pruszczan w pozycji „skąd pochodzę” podawało

„Gdańsk”. Zwrócił na to także uwagę chyba najbardziej znany dziś mieszkaniec Pruszcza Gdańskiego, Abelard Giza – założyciel i lider Kabaretu Limo, dziwiąc się w swoisty dla siebie sposób tej sytuacji. Od tego czasu przyglądam się na Facebooku bacznie tej pozycji, i... widać zauważalny postęp!



Gdy kilkanaście lat temu tworzyły się portale społecznościowe „Nasza Klasa”, a później „Facebook”, wielu znanych mi pruszczan w pozycji „skąd pochodzę” podawało „Gdańsk”. Od tego czasu przyglądam się bacznie tej pozycji, i... widać zauważalny postęp!

O autorze

Marek Kozłow – pruszczanin. Absolwent uniwersytetu w Zurychu. Historyk, tłumacz, nauczyciel, opowiadacz. Autor i współautor licznych publikacji historycznych, związanych z dziejami Pruszcza Gdańskiego i okolic. Autor przekładów książek i opracowań o historii regionu. Nominowany do nagrody Grand Press za rok 2016. Prezes Stowarzyszenia „Wczoraj, Dziś i Jutro”.

Powrót do lokalności poprzez jej poznanie



SULISŁAWA BOROWSKA

Kaszubski Uniwersytet Ludowy

Mamy dziś w Polsce do czynienia z renesansem lokalności. Warto, by to zjawisko nie miało jednak jedynie fasadowego charakteru, ograniczającego się do kupowania regionalnych produktów spożywczych czy rękodzieła. Zainteresowanie najbliższym otoczeniem jest bowiem doskonałą okazją do budowania wspólnoty obywatelskiej i do nawiązywania relacji. W jaki sposób można to robić? Jaką rolę mogą w tym procesie odgrywać uniwersytety ludowe? Dlaczego powinniśmy nauczyć się nie tylko lepiej ze sobą rozmawiać, ale też wysłuchiwać drugiego?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Na czym polega istota uniwersytetów ludowych?

Idea uniwersytetów ludowych zrodziła się w połowie XIX w. w Danii. W tamtym czasie kraj ten przestał być monarchią absolutną i część władzy przeszła w ręce ludu. To nie tylko czas, w którym zniesiono pańszczyznę, a chłopci stali się wolni, ale też okres, w którym Dania przegrywała wojny i straciła sporą część terytorium. W takich okolicznościach zrodziła się koncepcja stworzenia uniwersytetów ludowych, których ojcem został Mikołaj Fryderyk Seweryn Grundtvig – pastor, poeta, mitolog, historyk, polityk i nauczyciel. Miał on poczucie, że lud (społeczeństwo) musi być przygotowany do nowej roli poprzez oświecenie. Chciał więc powołać szkołę, która wspierałaby budowanie społeczeństwa obywatelskiego, edukując w kierunku „dobra wspólnego”, przyjmowania zbiorowej odpowiedzialności, a nie jedynie pilnowania własnych interesów.

Kluczem do tego miało być odpowiednie sprofilowanie edukacji, tworzenie oświatowych możliwości dla osób dorosłych w celu podnoszenia ich wiedzy ogólnej oraz kształtowania kompetencji osobistych i społecznych. Miała być ona dostosowana do ludzi: językiem, stylem, poziomem trudności oraz czerpać z doświadczeń życiowych jej uczestników. Istotne było poruszanie aspektów związanych z historią, z kulturą i przyrodą. Dla Grundtviga ważna była też mowa, która w ramach interakcji między ludźmi, przechodząc w rozmowę, stawała się zasadniczym elementem oświecenia.

W ten sposób udawało się budować wspólnotę obywatelską skupioną bardziej na interesie zbiorowym niż indywidualnym. Oprócz przygotowywania do obywatelskości tego typu instytucje prowadziły też zajęcia bardziej praktyczne, np. z nowoczesnych technik zajmowania się gospodarstwem rolnym. Uniwersytety ludowe w krótkim czasie rozprzestrzeniły się w całej Skandynawii.

Skąd pomysł na to, by przenieść tę ideę na polski grunt?

Pierwsze próby przeniesienia do Polski duńskiej powszechnej oświaty dla dorosłych podjęto już pod koniec XIX w. Skupię się jednak na czasach współczesnych – dzisiejsza Polska przypomina bowiem pod pewnymi względami ówczesną Danię. Minęło dopiero 100 lat od odzyskania niepodległości, a po 1918 r. wybuchła przecież jeszcze druga wojna światowa, a następnie nastał komunizm, który nie przyczynił się do budowania społeczeństwa obywatelskiego. Od wieków władza była nam narzucana z góry, nie mieliśmy pola do tego, by sami ją współtworzyć. Jesteśmy młodą demokracją, nasze społeczeństwo cały czas znajduje się w procesie

kształtowania świadomości demokratycznej – dobrze jest przygotować je do działań proaktywnych, pokazać, że obok indywidualizmu istnieje też zawsze konieczność dostrzegania potrzeb drugiej osoby, czyli wspólnoty, a także troski o nią.

Kto uczestniczył w zajęciach uniwersytetów ludowych w okresie ich powstawania, a kto studiuje dziś – np. w Kaszubskim Uniwersytecie Ludowym, w którym Pani działa?

Uniwersytety ludowe były tworzone dla ludu, dla społeczności lokalnej, głównie wiejskiej. Miały to być przede wszystkim „szkoły dla życia”, reagujące na potrzeby i wyzwania ówczesnej rzeczywistości i przygotowujące do zaangażowania w życie społeczne oraz ponoszenia odpowiedzialności zbiorowej. Zajęcia uniwersytetów miały być adekwatne do możliwości i oczekiwań tych właśnie odbiorców. Takie były przynajmniej założenia.

Jeśli chodzi o obecnych odbiorców inicjatyw Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego – są to różnego typu grupy, np. lokalne liderki, które aktywnie działają w środowiskach lokalnych albo chcą takie działania podejmować. Są seniorzy, których jeszcze kilka lat temu trudno było wyciągnąć z domu, bo trwali w poczuciu obowiązku opieki nad wnukami, sprzątania, gotowania itp. Wśród nich znajdziemy zarówno uczestników zajęć edukacyjnych, chcących doskonalić samych siebie, jak również lokalnych liderów, aktywistów, którzy chcą robić coś dla innych, na przykład dla swoich wsi. Współpracujemy z nauczycielami, z ludźmi wolnych zawodów, którzy szukają zmian, inspiracji czy też są zainteresowani tradycjami lokalnymi czy kaszubskim rękodziełem. Gościmy także instruktorów z domów opieki społecznej, z gminnych ośrodków pomocy, osoby zagrożone wykluczeniem, wycofaniem społecznym. Bywają też u nas artyści, twórcy ludowi i to nie tylko z Kaszub, ale też z innych polskich regionów czy z Ukrainy.

Jaka jest rola uniwersytetów ludowych na tle innych instytucji kulturalnych, takich jak biblioteki czy lokalne domy kultury?

Uniwersytety ludowe mogą stanowić dobre uzupełnienie oferty oświatowej i kulturalnej takich placówek. Ich działalność powinna być postrzegana nie na zasadzie konkurencji, lecz współpracy, dzielenia się zasobami.

Czy jako osoba od lat zaangażowana w wydarzenia kulturalne zauważa Pani tzw. powrót do lokalności? Jakie są tego przykłady?

Owszem – jest to widoczny trend, w którym, na podstawie własnych doświadczeń, wyróżniłabym dwa główne „nurty”. Pierwszym jest poszukiwanie tożsamości przez ludzi, przede wszystkim młodych. Często bywa tak, że przeprowadzają się do dużych miast z różnych zakątków Polski i szukają czegoś – zrozumienia siebie, sensu. To w miastach zrodziła się m.in. moda na *slow food*, zdrowe jedzenie, ale też zainteresowanie lokalnością, tym, co wokół nas, w bezpośrednim otoczeniu.



Ludzie, przede wszystkim młodzi, poszukują tożsamości. Często bywa tak, że przeprowadzają się do dużych miast z różnych zakątków Polski i szukają czegoś – zrozumienia siebie, sensu.

Drugi „nurt” dotyczy osób w wieku okołoemerytalnym, które przeprowadzają się z miasta na wieś. Tam starają się budować swoje lokalne relacje. Poszukując lokalnych produktów, np. wiejskich jajek, nie robią tego tylko ze względów spożywczych czy zdrowotnych, ale często także po to, by zbudować relacje z panią, która mieszka obok. Rodzą się potrzeby i na te potrzeby lokalni mieszkańcy starają się odpowiadać. Ktoś przybywa z miasta i „pobudza” wieś – to pozytywne zjawisko. Stąd też swoisty renesans produktów lokalnych, festynów wiejskich, lokalnej działalności artystycznej itp.

Czy rozwojowi lokalności mogą też służyć nowoczesne technologie?

Jak najbardziej, wykorzystujemy je w naszym Kaszubskim Uniwersytecie. Nowe technologie ułatwiają na przykład nawiązywanie, podtrzymywanie kontaktów, czy też przepływ informacji. Co więcej, prowadzimy projekt „Senior ma głos”, w którego ramach osoby starsze uczą się wysyłać ze swoich smartfonów wiadomości tekstowe i zdjęciowe tak, by zbudować wewnętrzny system komunikowania się, polegający na przekazywaniu sobie informacji. Zauważyliśmy bowiem, że zazwyczaj korzystają one z telefonów tylko po to, by dzwonić lub odbierać połączenia. Nauczenie się wysyłania SMS-ów i MMS-ów było dla nich wielką frajdą – panie i panowie przekazują sobie teraz zdjęcia swoich ogródków, zwierząt, wnuków czy wiadomości informujące o festynach odbywających się w ich wsiach itp.

Kolejna rzecz, którą robimy w klubach nestora, to nagrywanie klipów filmowych, w których seniorzy opowiadają historie swojego życia, swoje przeżycia, doświadczenia. Wiele z nich dotyczy tego, co dawniej się wydarzyło, działo w ich wsi, gminie czy okolicy.

Staramy się także popularyzować korzystanie z internetu, co również często służy zainteresowaniu lokalnością – seniorzy są zdziwieni, że w sieci można znaleźć tyle regionalnych przepisów kulinarnych czy ciekawostek historycznych dotyczących ich regionu. To dla nich fascynująca przygoda.

Czego w praktyce potrzeba, by móc pobudzać aktywność społeczności lokalnych?

Ważne jest rozwijanie świadomej relacji człowieka z miejscem, w którym żyje. Czasem jest to miejsce naszego urodzenia, wychowania, zakładania rodziny i starzenia się, a czasem to miejsce, do którego przybyliśmy – czy to z daleka, czy z okolicy. Kolejna istotna rzecz to wspieranie nawiązywania i rozwijania relacji między członkami danej społeczności. Kluczową rolę odgrywa tu przestrzeń, w której ludzie mogą siebie zobaczyć, usłyszeć, wyrazić zdanie w danej sprawie. Często największą barierą bywa czas, a właściwie jego brak – pośpiech nie idzie niestety w parze z budowaniem wspólnoty obywatelskiej, z rozwijaniem relacji. Budowanie relacji wymaga czasu – na spokojną, uważną rozmowę, na reakcję, na działanie, na zbudowanie zaufania.

Pobudzanie aktywności społeczności lokalnych jest bardzo trudne bez lokalnych liderów – uważam, że takie osoby można znaleźć wszędzie, w każdej wsi, ale czasem uwolnienie ich potencjału się blokuje. Za znanym na Kaszubach pisarzem Aleksandrem Majkowskim i jego słynną powieścią *Życie i przygody Remusa* można by powiedzieć, że to, co nas blokuje, to ponadczasowe trzy demony: strach, trud i nie warto. Przy czym ostatni jest chyba najtrudniejszy do przezwyciężenia.

Kolejny ważny element to lokalne inicjatywy. Mogą to być przedsięwzięcia mniejsze, jak sprzątnięcie odcinka wspólnej drogi, oraz większe, jak organizacja festynu. Ważne, by ludzie mieli okazję i motywację do obcowania ze sobą.



Często największą barierą pobudzania aktywności społeczności lokalnych bywa czas, a właściwie jego brak – pośpiech nie idzie niestety w parze z budowaniem wspólnoty obywatelskiej, z rozwijaniem relacji.

Jakie są natomiast pożądane cechy lokalnego lidera?

Z pewnością ludzi pociągają charyzma oraz pasja. Gdy ktoś kocha to, co robi, inni to czują i są w stanie łatwiej za nim podążyć. Niezwykle istotne są też uważność, empatia, umiejętność wglądu w potrzeby drugiego

człowieka oraz słuchania – źródłem wielu współczesnych problemów jest właśnie to, że nie potrafimy siebie słuchać. Dobry lider powinien też potrafić przyjąć głosy krytyki – irytacja, niezadowolenie, a nawet złość to ludzkie uczucia, nie zawsze warto je ukrywać. Czasem lepiej dać im upust w kulturalny, merytoryczny sposób. I ostatnia rzecz – niekoncentrowanie się na sobie, lecz na społeczności. Lider musi być świadomy, „po co” to robi, jaka jest motywacja, jakie potrzeby są zaspokajane dzięki danemu działaniu. Natomiast lider, który w pierwszej kolejności myśli tylko o własnym interesie, szybko straci poparcie wspólnoty.

Mówiła Pani o dawaniu upustu niezadowoleniu – potrafimy to robić w kulturalny, nieatakujący sposób?

Uważam, że mamy tu wiele do nauczenia się i nadrobienia. Problemem jest to, że jako społeczeństwo nie potrafimy ze sobą rozmawiać, dyskutować, prowadzić dialogu, a tym bardziej – rozwiązywać sytuacji konfliktowych. Nie jesteśmy nawet przygotowani do przyjmowania, że osoba siedząca obok może mieć inne poglądy. Nie wiemy, czy z tą osobą w ogóle warto rozmawiać. Rzadko kiedy dajemy sobie możliwość spokojnego jej wysłuchania, zrozumienia jej argumentów. Widać to też w lokalnej polityce – bywa, że cała społeczność wie, że dzieje się coś niedobrego, ale wszystko to funkcjonuje na poziomie plotek, niedopowiedzianych historii. Rzadko kiedy dochodzi do spotkania zwaśnionych stron i merytorycznej rozmowy, wysłuchania swoich racji.

“ **Jako społeczeństwo nie potrafimy ze sobą rozmawiać, dyskutować, prowadzić dialogu. My nawet nie jesteśmy przygotowani do przyjmowania, że osoba siedząca obok może mieć inne poglądy. Rzadko kiedy dajemy sobie możliwość spokojnego jej wysłuchania, zrozumienia jej argumentów.**

Z czego bierze się ta nieumiejętność rozmowy?

No właśnie – gdzie mamy się nauczyć rozmawiania? W szkole nam się to nie uda – panuje tam przecież nadal model pruski, w ciągu 45 minut lekcji ważniejsze od rozmowy jest przerabianie materiału. Nie ma czasu na dyskusowanie, przedstawianie poglądów. Przekrzykujący się, obrażający się wzajemnie politycy też nas tego nie uczą. Podobnie jak dziennikarze, którzy ulegają podobnym emocjom. Kościół? Tam jest więcej miejsca na monolog niż dialog.

Sądzę, że ostatnią deską ratunku są nasze domy oraz przestrzenie stanowiące wzorce debaty, takie jak chociażby Kongres Obywatelski. Przestrzenie, gdzie nie atakuje się drugiej osoby, nie obraża, waży słowa i ma się czas i ochotę na wysłuchanie drugiego.

O rozmówczyni

Suliśława Borowska – animatorka społeczna, trenerka rozwoju osobistego, moderatorka, doradczyni zawodowa. Od przeszło 20 lat związana z Kaszubskim Uniwersytet Ludowym podejmującym różne działania animacyjne łączące edukację i kulturę na obszarach wiejskich Pomorza. Obecnie liderka dwóch projektów – pierwszy jest ukierunkowany na pobudzanie aktywności społecznej seniorów z małych wsi powiatu kartuskiego, a drugi na zwiększanie zaangażowania kobiet w życie publiczne.

LOKALNOŚĆ JAKO DROGA DO BUDOWY **ODPORNOŚCI**

Sąsiedztwo lekarstwem na kryzys



prof.

PAWEŁ KUBICKI

Uniwersytet Jagielloński, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Fundamentem odporności na kryzysy w skali miasta są więzi sąsiedzkie. Doskonale pokazała nam to pandemia – w tych obszarach miast, w których ludzie się znali, utrzymywali ze sobą relacje, solidarność między mieszkańcami kwitła. Jej wyrazem mogły być zakupy robione seniorom przez młodszych sąsiadów, bądź – niejako *vice versa* – pomoc osób starszych w opiece nad dziećmi, gdy ich rodzice musieli iść do pracy. Tego typu sytuacje nie miały szans zadziać się w miejscach, gdzie ludzie są dla siebie anonimowi. Bogatsi o te doświadczenie nie powinniśmy mieć już wątpliwości, że przyszłością miast jest budowanie silnych wspólnot lokalnych. Jak to jednak robić? Inspiracją mogą być przykłady Paryża, Barcelony oraz... polskich osiedli z wielkiej płyty.

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Pandemia koronawirusa pokazała nam, że są miasta i społeczności, które radzą sobie z sytuacją kryzysową lepiej i są takie, którym wychodzi to gorzej. Skupmy się na tych pozytywnych przykładach – czy mają jakiś wspólny mianownik?

Jak dotychczas z kryzysem lepiej poradziły sobie te miasta, czy może nawet – fragmenty miast – w których funkcjonowała prawdziwa wspólnota mieszkańców. Tam, gdzie ludzie mieli ze sobą więzi, nawiązane relacje, gdzie podchodzili do siebie z ufnością. Odporność na poziomie lokalnym sprowadza się bowiem w głównej mierze do odejścia od anonimowości. Aby móc mówić o solidarności i pomocy sąsiedzkiej, trzeba choć trochę się znać i utrzymywać ze sobą pewne relacje. W sytuacji, gdy usługi publiczne przestają działać albo można z nich korzystać w ograniczonym zakresie, solidarność sąsiedzka na małej przestrzeni staje się wręcz bezcenna.



W sytuacji, gdy usługi publiczne przestają działać albo można z nich korzystać w ograniczonym zakresie, solidarność sąsiedzka na małej przestrzeni staje się wręcz bezcenna.

Z tego też względu doświadczenie pandemii mogło być szczególnie uciążliwe dla osób w ogóle nie znających swoich sąsiadów, co jest częstym zjawiskiem np. na nowych osiedlach deweloperskich, wynikającym z faktu, że relacje społeczne nie zdążyły się tam jeszcze zawiązać. W wypadku takich fragmentów miast trudno mówić o wysokiej odporności na kryzysy.

Mam wrażenie, że wielu ludzi przez długi czas myślało o miastach – o tym, czym one są, o tym, co jest w nich najważniejsze – dość powierzchownie. Pandemia pokazała nam, że to nie Wawel, Sagrada Familia czy wieżowce Manhattanu, lecz to, czego nie widać na pocztówkach, jest tak naprawdę kluczowe...

Pandemia utwierdziła nas, potwierdzając zresztą wyniki wielu wcześniejszych badań, że przyszłością miast jest budowanie silnych wspólnot lokalnych. Szczególnie, że nasz świat jest coraz mniej stabilny. Bliskość sąsiedzka

daje nam dużo większe szanse na lżejsze przejście nie tylko przez epidemię, ale także innego typu katastrofy, jak np. trzęsienia ziemi czy powódzie.

Wszyscy znamy symbole wielkich miast, jednak dla kogo starówka czy ścisłe śródmieście jest życiowym „centrum”? Zakorzeniamy się raczej w miejscach naszej codzienności – kiedyś był to przysłowiony trzepak, na którym się wychowywaliśmy, teraz może to być innego typu lokalna przestrzeń, z której korzystamy, o którą chcielibyśmy dbać, na rzecz której chcielibyśmy z innymi mieszkańcami-sąsiadami podjąć pewne działania. W najbardziej optymistycznym wariacie widziałbym zatem miasta – również wielkie metropolie – jako swoiste federacje sąsiedztw. Aby było to możliwe, potrzebna jest nam jednak zmiana myślenia o mieście.

“ **Widziałbym miasta – również wielkie metropolie – jako swoiste federacje sąsiedztw. Aby było to możliwe, potrzebna jest nam jednak zmiana myślenia o mieście.**

Czy doświadczenie kryzysu może być bodźcem do takiej zmiany?

Pandemia potrafiła wydobyć z nas solidarność. Było to szczególnie widoczne podczas tzw. pierwszej fali, która upłynęła pod hasłem wzajemnego pomagania sobie. Wydaje mi się, że może to zapoczątkować w przyszłości. Dobrym przykładem jest tu doświadczenie Wrocławia z 1997 r., związane z tzw. powodzią stulecia. Nadejście tego kataklizmu uważa się dziś powszechnie za mit założycielski tamtejszej lokalnej wspólnoty obywatelskiej. To w dużej mierze dzięki aktywności, powszechnej mobilizacji wrocławian, miasto udało się ochronić przed najczarniejszym scenariuszem powodziowych zniszczeń. Było to ważne doświadczenie, które silnie połączyło tych ludzi i pozwoliło im na zbudowanie bardzo silnych więzi i tożsamości. Pamiętajmy bowiem, że społeczność Wrocławia stanowiła po wojnie niemal wyłącznie ludność napływowa – była to anonimowa wspólnota migrantów, niezwiązanych emocjonalnie ani z miastem, ani ze sobą.

Od kogo moglibyśmy czerpać pozytywne wzorce w zakresie budowy „miasta sąsiedztw”?

Myślę, że warto przywołać przykłady Paryża i Barcelony, które jeszcze przed pandemią rozpoczęły modelowe procesy przebudowy przestrzeni miejskiej również po to, by wzmocnić siłę więzi sąsiedzkich.

Paryż rozwija się w myśl koncepcji miasta 15-minutowego, która w uproszczeniu polega na tym, by większość codziennych miejskich spraw mieszkańcy mogli załatwiać w przestrzeni, która mieści się w obrębie kwadransa spacerem. W efekcie w niedalekiej odległości od miejsca zamieszkania ulokowane są usługi publiczne, komercyjne, lokalny targ, instytucje kultury itp. Ich bliskość sprzyja budowaniu sąsiedzkich więzi – jeśli bowiem większość naszych spraw związanych z funkcjonowaniem w mieście, z socjalizacją, z uczestnictwem w kulturze znajduje się w pobliżu, to siłą rzeczy nawiązujemy relacje z osobami, które mieszkają obok nas. To zaprzeczenie logiki, w jakiej przez wiele lat rozwijały się liczne miasta na całym świecie, także w Polsce, a której skutkiem są procesy rozlewania się miast oraz ich chaotyczna organizacja. W efekcie, nasze miejsce pracy znajduje się w jednej dzielnicy, ulubiona restauracja w drugiej, przedszkole w trzeciej, a market w jeszcze kolejnej itd. Jak niby w takim układzie mamy jeszcze znaleźć czas na utrzymywanie relacji z sąsiadami?

Na czym natomiast polega obecny model rozwojowy Barcelony?

W stolicy Katalonii przeprowadzono w 2016 r. eksperymentalny projekt o nazwie „superblock”, co można przetłumaczyć na język polski jako „superkwartał”. Polegał on na ograniczeniu do minimum ruchu samochodowego wewnątrz kilku kwartałów i przerzuceniu go na ulice obwodowe. Dzięki temu na drogach znajdujących się wewnątrz można było stworzyć przestrzenie publiczne, w których na co dzień mogli się ze sobą spotykać

okoliczni mieszkańcy. Wygenerowało to ogromny potencjał wspólnototwórczy. Doświadczenie to zaprocentowało w okresie pandemii, kiedy burmistrz miasta zdecydował o wielkim przeorganizowaniu miasta, obejmującym stworzenie 21 takich „superkwartałów”.

Czy mamy szansę zaczerpnąć z paryskich czy barcelońskich wizji również w Polsce?

Bardzo ciekawe jest to, że wizje te dość niewiele różnią się od tego, w jaki sposób projektowano u nas osiedla za czasów PRL-u. Oczywiście – zupełnie inna jest zabudowa: w Barcelonie są to zwarte kwartały ze świetnie zaprojektowanymi kamienicami, a u nas słabej jakości budynki z wielkiej płyty. Pod kątem urbanistycznym jednak idea jest bardzo podobna. Także w przestrzeniach polskich blokowisk dążono do tego, by ruch kołowy wyrzucić na zewnątrz, eliminując go ze środka. Dzięki temu dzieci mogły przejść do szkoły czy przedszkola bez konieczności przechodzenia przez ulice, było sporo miejsca na skwery, innego typu tereny zielone, przestrzenie publiczne itd.

“ **Choć diametralnie różni je typ zabudowy, polskie blokowiska powstałe w PRL-u nie odbiegają, jeśli chodzi o swój potencjał wspólnototwórczy, od Paryża czy Barcelony, będących przecież europejskimi liderami prosądzkiego przeorganizowywania przestrzeni miejskiej.**

Wszystko to daje duży potencjał budowania sąsiedztwa, choć najpierw trzeba byłoby o te przestrzenie z powrotem zadbać. W ostatnich latach wiele z nich z różnych powodów podupadało. Dziś widać, że niektóre miasta, jak np. Kraków, podejmują się rehabilitacji takich miejsc. To dobry kierunek.

O rozmówcy

Prof. **Paweł Kubicki** – socjolog i antropolog kultury. Naukowo związany z Instytutem Europeistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się w badaniu tożsamości miast i społeczeństw lokalnych. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Lokalna odporność – zestaw dobrych praktyk



dr inż.

GRZEGORZ MASIK

Uniwersytet Gdański

Pandemia udowodniła nam, że nie jesteśmy dobrze przygotowani na nagłe zdarzenia szokowe. Pokazała nam jednocześnie, że myśląc o przyszłości, powinniśmy mieć na uwadze potencjalne kryzysy, które – prędzej czy później – na pewno nadejdą. Jak być jednak gotowym na niespodziewane? Najlepszą odpowiedzią jest podjęcie działań budujących odporność na poziomie lokalnym. Czego mogą one dotyczyć? Dlaczego ich wdrożenie jest tak istotne? Na kim możemy się w tym kontekście wzorować?

Wzmacnianie odporności układów lokalnych jest dziś nowym wyzwaniem dla polityki miejskiej. Naszą uwagę powinny zwracać już nie tylko wzrost i rozwój, ale także swego rodzaju stabilizacja i jednocześnie proces adaptacji do ciągłych zmian. Tak zwana „dynamiczna równowaga” pozwala bowiem uchronić społeczności i lokalną gospodarkę od negatywnych skutków wywołanych różnego rodzaju nieprzewidywalnymi zewnętrznymi zdarzeniami. Jak ją jednak osiągnąć?

Solidność i projektowanie „z zapasem”

Istotne dla budowania potencjału odporności są uwarunkowania początkowe układów lokalnych, w tym solidność systemów miejskich oraz projektowanie ich „z zapasem”. Pozwala to lepiej się przygotować na przyszłe negatywne zdarzenia. Przykładowo, w polskich miastach, w ramach działań wspierających adaptację do zmian klimatu, tworzone są umocnienia przeciwpowodziowe (m.in. we Wrocławiu), zwiększana jest przepustowość systemów kanalizacji deszczowej, na przedmieściach budowane są poldery (np. w Rzeszowie czy Opolu), przeprowadzono nawet meandryzację rzeki (Białystok). Do działań wpisujących się w zarządzanie kryzysowe należy z kolei zwiększanie operacyjności zespołów ratowniczych oraz ich ściślejsza koordynacja na obszarze sąsiadujących gmin.



Bardziej trwała oraz przygotowana z zapasem infrastruktura – w postaci np. umocnień przeciwpowodziowych czy zwiększonej przepustowości systemów kanalizacji deszczowej – pozwala lepiej się przygotować na przyszłe negatywne zdarzenia.

Na uwagę zasługują także działania wzmacniające odporność w różnych miastach na świecie, podejmowane w ramach inicjatywy sieci stu miast odpornych (*100 Resilient City Network*). Wyróżniającym się przykładem jest

budowa nowej infrastruktury w ciągu 20-milowego korytarza komunikacyjnego w Honolulu. W jego ramach realizowane są stacje ładowania pojazdów elektrycznych oraz wszelkie ułatwienia dla mikromobilności. W celu zachęcenia mieszkańców do rezygnacji z samochodów udostępnione zostały rowery miejskie oraz hulajnogi elektryczne. Ów korytarz komunikacyjny z założenia ma być wolny od emisji dwutlenku węgla, co będzie osiągnięte również przy pomocy systemu kolei miejskiej. Aby uniknąć negatywnych zdarzeń wywołanych przez powódzie, projekt całej inwestycji brał pod uwagę m.in. specjalnie przygotowane raporty hydrologiczne.

Elastyczność i zaradność

Odpowiedzią miast tj. prawidłową reakcją powinny być działania zorientowane na rezultat. Do takich działań należy zaliczyć elastyczność podejmowanych strategii i decyzji, w tym częstą aktualizację zamierzeń oraz szybkie wdrażanie nowych rozwiązań. Również gospodarze miast powinni być zaradni, czyli stosować nietuzinkowe sposoby działania. Należy zarówno korzystać z dobrych praktyk jak i brać pod uwagę jeszcze niesprawdzone, innowacyjne rozwiązania.

Modułowość

W przypadku lokalnych gospodarek powinniśmy zwiększać ich modułowość, czyli dążyć do ich uelastycznienia oraz uniezależnienia od długich łańcuchów dostaw i strategicznych dóbr importowych. Pomoże to uchronić je przed destrukcyjnymi wpływami zewnętrznych szoków. Ważne będzie zatem chociażby większe rozproszenie dostawców energii.

Do działań wzmacniających lokalną gospodarkę (uwzględniających kryterium modułowości) należy także wprowadzanie lokalnych walut. Wykorzystując narzędzia cyfrowe tj. waluty dostępne w aplikacjach na smartfony, tworzone są silniejsze powiązania między samorządem lokalnym, usługodawcami publicznymi oraz lokalnymi przedsiębiorcami. Owe więzi umożliwiają częściowe uniezależnienie się od zewnętrznych kryzysów ekonomicznych.

Jednym z miast, które wprowadziło lokalną walutę jest Belfast. Mieszkańcy otrzymują elektroniczne monety w zamian za zakup dóbr i usług u lokalnych przedsiębiorców oraz zaangażowanie np. w wolontariat. Lokalna waluta wykorzystana po raz kolejny w mieście wzmacnia miejscową gospodarkę, gdyż jak się szacuje, około 50 proc. środków wydanych u lokalnych przedsiębiorców pozostaje na miejscu. Z kolei w Addis Abebie lokalna waluta generowana za przestrzeganie przepisów podatkowych może być wydawana na usługi komunalne, w tym media czy udział w wydarzeniach kulturalnych.

Dywersyfikacja

Kluczowa dla budowania odporności jest również większa dywersyfikacja lokalnej gospodarki. O takiej konieczności dobitnie przypomniła nam zresztą pandemia, w wyniku której wyraźnie ucierpiały miejscowości *stricte* turystyczne. Można też sobie wyobrazić, jak negatywne mogłyby być skutki kryzysu innego typu, który uderzyłby w jakąś konkretną gałąź gospodarki. Dla ośrodków, których życie gospodarcze opierałoby się na funkcjonowaniu kilku okolicznych zakładów pracy właśnie z tej branży, oznaczałoby to zupełną destabilizację.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na działania podjęte w mieście Salwador, w którym dominuje handel i turystyka. Założono tam, że budowanie lokalnej odporności powinno się opierać na wspieraniu firm innowacyjnych oraz włączaniu grup zmarginalizowanych. Z tego względu podejmowane są działania związane z recyklingiem i redukcją odpadów w łańcuchach produkcyjnych, a także dążące do integracji osób z niższych klas społecznych poprzez ofertę kursów technicznych. W inkubatorach przedsiębiorczości wspierane są również start-upy stawiające na rozwiązania wpisujące się w gospodarkę o obiegu zamkniętym.

Włączenie społeczne

Budowanie potencjału odporności oznacza także działania zorientowane na proces, w którym powinni brać udział zarówno mieszkańcy miast, jak i samorządowcy. Konieczne jest większe włączenie do szerokich konsultacji szczególnie wrażliwych na kryzysy grup społecznych oraz większe zaangażowanie ich w stałe działania. Równie istotna w tym względzie jest integracja działań, ze szczególnym uwzględnieniem mechanizmów oddolnych.

Dobrym przykładem praktyk wzmacniających odporność poprzez włączenie społeczne są działania podjęte w mieście Dallas. Przeprowadzono tam badania dotyczące wykluczenia transportowego. Ich wyniki wskazały, że pomimo dobrze rozwiniętego systemu komunikacyjnego, w niewielkim stopniu umożliwiał on dotarcie przez mieszkańców dzielnic o niskich dochodach do placówek takich jak: urzędy pracy, szkoły czy ośrodki zdrowia. W konsekwencji, opracowano Strategiczny Plan Mobilności, mający zintegrować podejmowane decyzje transportowe z priorytetami ekonomicznymi, kwestiami równości społecznej i kwestiami środowiskowymi. Wyznaczono w tym celu tzw. strefy możliwości (w ramach programu rządowego Stanów Zjednoczonych – tzw. Opportunity Zones). Aby ułatwić komunikację grupy wrażliwej, opracowano mapy obszarów przestępczości i ubóstwa. Narzędzia te służą do aktywizacji oraz włączenia społecznego środowisk mniej odpornych na kryzysy poprzez system transportowy, co przyczynia się do rozwoju gospodarczego tych obszarów, rozwoju mieszkalnictwa oraz podniesienia poziomu bezpieczeństwa.

Innym przykładem budowania odporności społecznej jest inicjatywa realizowana w Glasgow. Przyjęto, że rozwój miasta należy prowadzić poprzez pryzmat potrzeb społecznych, a nie infrastruktury technicznej, która jest wystarczająco rozwinięta. Rozwój gospodarczy ma z założenia uwzględniać włączenie i równość społeczną. W ramach Glasgow City Deal opracowano kryteria inkluzywnego rozwoju i wskazano na kilka kluczowych priorytetów. Mianowicie, w ramach działań na rynku pracy zwrócono uwagę na koszty i korzyści wynikające z uczciwych praktyk pracy, zauważając, że płaca powinna być wystarczająca do utrzymania się. Lokalni mieszkańcy, aby zwiększyć swoją szansę na znalezienie dobrej pracy, mogą wziąć udział w szkoleniach, w ramach których rozwijane są ich umiejętności cyfrowe. W celu aktywizacji kobiet na rynku pracy oferowane są również elastyczne i przystępne cenowo usługi opieki nad dziećmi. Istotne okazało się także wzmocnienie oferty usług zdrowotnych, w tym szczególnie tych związanych ze zdrowiem psychicznym.

“ **W Glasgow przyjęto, że rozwój miasta należy prowadzić poprzez pryzmat potrzeb społecznych, a nie infrastruktury technicznej.**

Także w Polsce realizowane są dobre praktyki mające na celu włączenie społeczności lokalnych oraz integrację jednostek samorządowych. Takim przykładem jest przyjęcie w Gdańsku Modelu Integracji Imigrantów. Jego celem jest zmniejszenie ewentualnych skutków różnic kulturowych, barier językowych, problemów administracyjnych czy też – ogólnie ujmując – społecznych, wynikających z procesów migracyjnych. Model ten umożliwia lepszą współpracę instytucji miejskich na podstawie wypracowanych procedur, dzięki czemu wzrasta poziom adaptacji migrantów do nowego środowiska społecznego, gospodarczego i prawnego.

Od doraźności do procesu

Opisane wyżej działania są przykładami przejścia od krótkoterminowych reakcji na katastrofy, związanej z zarządzaniem kryzysowym, do bardziej holistycznego procesu zapobiegania, wcześniejszej odpowiedzi na potencjalne zagrożenia, prowadzenia konsultacji i monitoringu wyprzedzającego w celu budowania odporności długookresowej. Wymienione inicjatywy pokazują jak ważne jest wzmacnianie potencjału odporności

infrastruktury technicznej ale także społeczności i lokalnych gospodarek. Poprzez tego rodzaju działania oraz współpracę między miastami, lokalne samorządy uczestniczą w procesie uczenia się, budując tym samym potencjał odporności instytucjonalnej.



Budowa odporności na poziomie lokalnym pozwala na przejście od krótkoterminowych reakcji na katastrofy, związanej z zarządzaniem kryzysowym, do bardziej holistycznego procesu zapobiegania, wcześniejszej odpowiedzi na potencjalne zagrożenia.

O autorze

Dr inż. **Grzegorz Masik** – adiunkt w Zakładzie Geografii Społeczno-Ekonomicznej Uniwersytetu Gdańskiego. Realizował liczne projekty krajowe i międzynarodowe dla OECD oraz ESPON, dotyczące kapitału ludzkiego, starzenia się społeczeństwa, zielonych umiejętności w niebieskiej gospodarce oraz odporności regionów europejskich na poprzedni kryzys gospodarczy. Jego zainteresowania badawcze skupiają się na kwestiach rozwoju lokalnego i regionalnego oraz polityki lokalnej i regionalnej ze szczególnym uwzględnieniem koncepcji odporności.

Bezpieczeństwo bliżej obywatela



ANTONI PODOLSKI

ekspert ds. bezpieczeństwa narodowego, b. Wiceminister Spraw Wewnętrznych i Administracji

Pandemia i jej kolejne fale pokazały, że coraz bardziej wzmacniające swą siłę państwo ma problemy, by ze szczybla centralnego zapewnić obywatelom oczekiwany przez nich poziom bezpieczeństwa. Może więc pora na to, by Polacy w większym stopniu oddolnie wzięli sprawy w swoje ręce? Jak podejść do kwestii bezpieczeństwa w mniej scentralizowany, a bardziej obywatelski sposób? Jakie byłyby z tego korzyści z perspektywy samorządów oraz wspólnot lokalnych?

Odporność każdego organizmu zależy nie tylko od jego uwarunkowań fizycznych, ale i od kondycji psychicznej. Podobnie odporność społeczeństwa jest uwarunkowana nie tylko możliwościami technicznymi, jakie ma do dyspozycji państwo, by stawić czoło danym zagrożeniom, ale i kondycją psychiczną wspólnoty, stopniem jej integracji i wzajemnej empatii.

Oczywiście, im wspólnota mniejsza, tym większe poczucie współodpowiedzialności i z drugiej strony – bezpieczeństwa opartego o wspólny los. Dlatego najefektywniejsze w radzeniu sobie z zewnętrznymi zagrożeniami są wspólnoty lokalne, najczęściej wiejskie, w których więzi międzyludzkie są najsilniejsze. Przywołajmy chociażby imponujący poziom samoorganizacji w zakresie bezpieczeństwa polskiej prowincji, z ponad już stuletnią tradycją struktur ochotniczych straży pożarnych, które tylko z minimalną, najczęściej finansową i sprzętową, pomocą zawodowych struktur państwa, są w stanie świetnie zadbać o bezpieczeństwo swoje i współobywateli. Jest to zresztą zgodne z podstawową zasadą zarządzania kryzysowego, dotyczącą tego, by reagować na najniższym możliwym poziomie, w najbliższym miejscu zdarzenia.

Odmienne jest niestety w miastach, gdzie – często z racji powojennych wysiedleń i przesiedleń, w tym zagłady żydowskich społeczności i migracji – stare więzi społeczne zostały zerwane, a nowe są bardzo kruche, do tego osłabione naturalną alienacją mieszkańców dużych miast. Dlatego największym wyzwaniem dla władz samorządowych pozostaje zwiększenie, a właściwie zbudowanie autoodporności lokalnej właśnie w oparciu o poczucie wspólnoty i współodpowiedzialności. Dróg prowadzących do tego celu jest wiele. Pragnąłbym jednak wskazać tą, związaną z koncepcją bezpieczeństwa obywatelskiego, o której w dyskursie publicznym mówi się bardzo niewiele.



Największym wyzwaniem dla władz samorządowych jest dziś zwiększenie, a właściwie zbudowanie autoodporności lokalnej w oparciu o poczucie wspólnoty i współodpowiedzialności.

Miasta ofiarami dualizmu

Zacznijmy jednak od przedstawienia szerszego kontekstu. Problem odporności polskich miast na rozmaitego rodzaju kryzysy rozpatrywałbym przede wszystkim w kontekście wyzwań prawno-organizacyjnych. Oczywiście, ośrodki miejskie – od lat – mniej lub bardziej udanie, radzą sobie z różnymi sytuacjami kryzysowymi,

w tym także z ostatnią epidemią. Tyle tylko że jest to głównie zasługa praktycznych umiejętności władarzy i pracowników administracji oraz nieformalnych powiązań i dobrej woli reprezentantów poszczególnych struktur. Natomiast w znacznie mniejszym stopniu – otoczenia prawno-organizacyjnego, jakie zapewnił, a właściwie – jakiego nie zapewnił ustawodawca.

W mojej ogólnej ocenie, w zakresie zarządzania kryzysowego, polskie miasta są najlepszym przykładem, a zarazem ofiarą dualizmu polskiego podejścia do organizacji państwa. Przejawia się to w braku jasnego rozstrzygnięcia, czy jest to państwo zorganizowanych obywateli czy też państwo nadzorujące obywateli. Państwo zorganizowanych obywateli to państwo zdecentralizowane i samorządowe, państwo nadzorujące obywateli – scentralizowane i biurokratyczne. Nawet polska reforma samorządowa, która nigdy nie została doprowadzona do końca, jest efektem kolejnych kompromisów pomiędzy zwolennikiem etatyzmu i centralizmu, a zwolennikami samorządności i decentralizacji.

“ **Polskie miasta są najlepszym przykładem, a zarazem ofiarą dualizmu polskiego podejścia do organizacji państwa, przejawiającego się w braku jasnego rozstrzygnięcia, czy jest to państwo zorganizowanych obywateli czy też państwo nadzorujące obywateli.**

Polskie (nie)bezpieczeństwo narodowe?

W tradycyjnym znaczeniu, dominującym w dyskusji publicznej i naukowej, bezpieczeństwo narodowe Rzeczypospolitej jest sprowadzane praktycznie wyłącznie do bezpieczeństwa państwa. Na piedestał wynoszona jest obronność, wojsko, służby specjalne, polityka zagraniczna, czasami również sprawy wewnętrzne w ujęciu antyterrorystycznym. Skutki tego widoczne są szczególnie w podejściu do zarządzania służbami ochrony obywateli¹, takimi jak policja czy straż pożarna.

Warto jednak spojrzeć na współczesne polskie bezpieczeństwo narodowe w możliwie najszerszym, aktualnym, nowoczesnym i obywatelskim ujęciu. Jego składnikami są chociażby kwestie zapewnienia polskim obywatelom jak najlepszych możliwości przeżycia i ratowania zdrowia czy równych praw obywatelskich bez względu na orientację religijną czy seksualną. Państwo, w którym obywatele masowo umierają w efekcie niewydolnego systemu bezpieczeństwa zdrowotnego, czy też czują się wyalienowani ze względu na jednoznacznie ideologiczny, wrogi im kierunek polityki państwa, nie jest państwem bezpiecznym.

Epidemiczna centralizacja państwa

Niestety, jak dotąd polski samorząd nie miał, i raczej nie będzie miał w najbliższym czasie, szans na wzięcie pełnej odpowiedzialności za życie obywateli. W tym zwłaszcza za tak istotną w kontekście pandemii kwestię bezpieczeństwa i zarządzania kryzysowego. Nie pozwoli na to dualizm władzy i funkcjonowanie swoistych komisarzy rządowych na każdym szczeblu samorządu². Nie pomoże też konsekwentne zmniejszanie środków finansowych, którymi dysponują samorządy, a które byłyby konieczne do pełnienia takiej roli.

1 Używam tutaj określenia „służby ochrony obywateli” w celu rozróżnienia ich od właściwych służb ochrony państwa, takich jak wywiad, kontrwywiad czy siły zbrojne.

2 Na szczeblu miejskim prezydent czy burmistrz ma do czynienia *de facto* z zarządem komisarycznym nad bezpieczeństwem miasta, choć rozproszonym poprzez brak jednego przedstawiciela rządowej administracji (co w sumie być może

Obecnie, w związku z działaniami antyepidemicznymi, balans zaczął się jeszcze bardziej przychylić w stronę administracji rządowej. Otrzymała ona uprawnienia (województwie) do wydawania poleceń służbom i podmiotom samorządowym, z pominięciem i bez wiedzy właściwych przełożonych (dotyczy to nawet straży miejskiej). Jest to rozwiązanie wysoce dysfunkcyjne. Albo rządzący konsekwentnie doprowadzą do przejęcia przez administrację rządową szczebla wojewódzkiego pełnej odpowiedzialności za bezpieczeństwo i zarządzanie kryzysowe w miastach, albo odporność polskich miast na kryzysy gwałtownie spadnie poniżej akceptowalnego minimum.

“ **W związku z działaniami antyepidemicznymi administracja rządowa otrzymała uprawnienia (województwie) do wydawania poleceń służbom i podmiotom samorządowym, z pominięciem i bez wiedzy właściwych przełożonych (dotyczy to nawet straży miejskiej).**

Oczywiście, uważam że z punktu widzenia funkcjonalności i sprawności zarządzania kryzysowego optymalny byłby kierunek dokładnie odwrotny. Władze miejskie powinny mieć dodane kolejne kompetencje zarządcze i nadzorcze, w tym powierzenie im całkowitego operacyjnego zwierzchnictwa nad miejscowymi służbami, czyli policją, strażą pożarną, inspekcją sanitarną. Nie musiałoby to wcale naruszać jednolitości i pionowej struktury organizacyjnej i pragmatycznej tych organizacji, pozwoliłoby tylko zwiększyć efektywność ich działania i zoptymalizować system zarządzania bezpieczeństwem w mieście.

Koncepcja bezpieczeństwa obywatelskiego

Moja propozycja opiera się na koncepcji, którą nazwałem bezpieczeństwem obywatelskim³. Idea ta rozwija i poszerza pojęcie ochrony ludności czy obrony cywilnej o zdolność społeczeństwa świadomych obywateli do rozpoznawania zagrożeń, budowania odporności i zdolności do ograniczania strat i szkód oraz zdolności odbudowy po np. atakach terrorystycznych czy hybrydowych.

“ **Bezpieczeństwo obywatelskie to zdolność społeczeństwa świadomych obywateli do rozpoznawania zagrożeń, budowania odporności i zdolności do ograniczania strat i szkód oraz zdolności odbudowy po np. atakach terrorystycznych czy hybrydowych.**

tylko utrudnia jego sytuację). To rozproszenie wyraża się tym, że prezydentowi czy burmistrzowi, rzekomo odpowiedzialnemu zgodnie z ustawą za zarządzanie kryzysowe w mieście, nie podlega w tej chwili żadna ze służb czy inspekcji kluczowych dla zarządzania kryzysowego a zwłaszcza reagowania kryzysowego.

3 Pragnę zaznaczyć, iż termin „bezpieczeństwo obywatelskie” jest moim autorskim pojęciem. Oddaje ono lepiej sens angielskiego pojęcia *civil security*, dotąd w polskiej literaturze przedmiotu tłumaczonego poprawnie językowo, ale błędnie merytorycznie jako „bezpieczeństwo obywateli”. Takie tłumaczenie sugeruje bowiem, że to nie obywatele tworzący państwo poprzez kolejne szczeble organizacji (od samorządu do parlamentu i rządu), a mityczne „państwo” ma dbać o ich bezpieczeństwo.

Pandemia i jej kolejne fale pokazały, że coraz bardziej wzmacniające swą siłę państwo nie potrafi na szczeblu centralnym sensownie zorganizować i sfinansować naszego bezpieczeństwa. Może pora więc by obywatele w znacznie większym zakresie wzięli sprawy we własne ręce? Podczas pandemii widzieliśmy liczne przykłady samoorganizowania się obywateli w zakresie np. szycia i dystrybuowania maseczek, gdy nie były jeszcze powszechnie dostępne, wspierania osób najbardziej potrzebujących czy będących na epidemicznej pierwszej linii frontu. Muszą za tym iść jednak pieniądze. Wtedy będziemy mogli powiedzieć, że polskie bezpieczeństwo narodowe to również bezpieczeństwo obywatelskie.

Bezpieczeństwo obywatelskie ma szansę być szczególnie dobrze realizowane właśnie na szczeblu miejskim. Wtenczas wskazane w wyborach władze naszych „małych ojczyzn” otrzymają pełnię kompetencji zarządczych w zakresie bezpieczeństwa obywateli i ochrony ich zdrowia oraz życia. Tylko wtedy zapisy artykułu 19. ustawy o zarządzaniu kryzysowym, mówiące że organem właściwym w sprawach zarządzania kryzysowego na terenie miasta jest jego burmistrz lub prezydent, nie będą ułomną i nieprzystającą do współczesnych wyzwań cywilizacyjnych treścią. Taką, która nakłada obowiązki i odpowiedzialność bez dania właściwych kompetencji zarządczych i podporządkowanych pionowo struktur wykonawczych.

O autorze

Antoni Podolski – niezależny ekspert w zakresie bezpieczeństwa narodowego, współtwórca systemu ochrony ludności, ratownictwa i zarządzania kryzysowego w Polsce. Były Wiceminister Spraw wewnętrznych i Administracji w latach 1999-2001 i 2008-2009. Twórca i pierwszy Dyrektor Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. Były Dyrektor Programowy Centrum Stosunków Międzynarodowych.

MIASTO I WIEŚ
– W KIERUNKU
NOWEGO PARTNERSTWA

Między miastem a wsią – opowieść o nowej wspólnotowości



dr
JOANNA HOŁDA

Wyższa Szkoła Przedsiębiorczości i Administracji w Lublinie



dr
MARIUSZ SAGAN

Dyrektor Wydziału Strategii i Przedsiębiorczości, UM Lublin, Szkoła Główna Handlowa

Ludzie od wieków przenoszą się ze wsi do miast. Od pewnego czasu jesteśmy też jednak świadkami odwrotnego procesu, który zostanie spotęgowany za sprawą pandemii. W efekcie na obszarach podmiejskich powstawać będą kolejne enklawy – osiedla-sypialnie, zamieszkiwane przez dotychczasową ludność miejską, które z samego założenia izolują się od wiejskiego „rdzenia”. Ich mieszkańcy fizycznie mieszkają na wsi, ale znajdują się poza lokalną wspólnotą. Choć ośrodek miejski zapewnia im pracę oraz usługi – nie utrzymują też istotniejszych więzi z jego mieszkańcami. Czy osoby te są skazane na życie w społecznym „zawieszeniu”, czy też mamy szansę na to, by stworzyły i były częścią nowej, hybrydowej wspólnoty? Na czym mogłaby się ona opierać? Jak ją zbudować?

Zachwiany balans

Relacje miasto-wieś od zawsze były silne i ważne. Wzajemne zależności polegały w dużej mierze na dostarczaniu żywności do obszarów zurbanizowanych – wciąż zresztą stanowi to podstawę tej szczególnej więzi. Jednak ostatnie dekady zmieniają ów tradycyjny podział. Wieś coraz częściej stanowi dla mieszkańców miast miejsce, w którym aranżują oni swoją „sypialnię”. Konsekwencją takiego trendu jest swoiste zaburzenie i zachwianie dotychczasowego układu między tymi przestrzeniami.

Wpływa to – w różny sposób – na jakość wspólnoty wiejskiej, powstają też nieraz „hybrydowe” byty z cechami charakterystycznymi zarówno dla miejskiego, jak i wiejskiego stylu życia. Przekłada się to także na zupełnie nowy sposób funkcjonowania i organizowania życia – tworzy się coraz większa grupa społeczna, która ma słabe więzi i brak silnego poczucia przynależności zarówno do wsi (gdzie mieszka), jak i do miasta (gdzie skupia się jej aktywność zawodowa czy rozrywkowa).

“

Tworzy się coraz większa grupa społeczna, która ma słabe więzi i brak silnego poczucia przynależności zarówno do wsi (gdzie mieszka), jak i do miasta (gdzie skupia się jej aktywność zawodowa czy rozrywkowa).

Świat się zmienia i nie kwestionujemy tego, co musi zająć także na wsi: transformacji ulega tkanka społeczna, inaczej niż kiedyś wygląda prowadzenie gospodarstwa i praca, wreszcie – nowe technologie czy, szerzej, rozwój cywilizacyjny, zmieniają *wiejski lifestyle* (który ciągle jednak pozostaje zgodny z rytmem natury, porami dnia i roku), sposób spędzania czasu wolnego i organizację życia. Dokąd nas to może zaprowadzić?

Z miasta na wieś

Migracja wieś-miasto jest procesem naturalnym, mającym miejsce od pokoleń. Miasta zawsze przyciągały – dawały większe możliwości: pracę, rozrywkę, kulturę. Decydując się na życie w nich, świadomie przyjmowano miejski styl życia z jego dobrymi i złymi stronami. Nowi mieszkańcy „wchodzili” w ten system, jednocześnie stając się częścią miejskiej wspólnoty.

Migracja w drugą stronę wygląda jednak dziś inaczej. Oczywiście, zdarzają się sytuacje, gdy nowi mieszkańcy mają pełną świadomość, jak wygląda życie na wsi i chcą się w taką koncepcję wpisać. Starają się, nawet jeśli sposób ich funkcjonowania ostatecznie nie w pełni odzwierciedla tradycyjny wiejski tryb życia. W pewnym stopniu dotyczy to także właścicieli letnich domów, którzy są zainteresowani „wiejskością”.

Znacznie częściej jednak współczesna migracja z miast do wsi powoduje powstawanie specyficznych enklaw – osiedli-sypialni, zamieszkiwanych przez dotychczasową ludność miejską, które z samego założenia izolują się od wiejskiego „rdzenia”. Stanowi to zagrożenie, przede wszystkim dla tradycyjnej, wiejskiej wspólnotowości, opierającej się w dużej mierze na więziach sąsiedzkich i życiu „razem”.

“ **Osiedla-sypialnie, zamieszkiwane przez dotychczasową ludność miejską, z samego założenia izolują się od wiejskiego „rdzenia”. Stanowi to zagrożenie, przede wszystkim dla tradycyjnej, wiejskiej wspólnotowości, opierającej się w dużej mierze na więziach sąsiedzkich i życiu „razem”.**

Zanik relacji sąsiedzkich i zachwianie więzi społecznych widzimy oczywiście także w miastach – przykład mogą tu stanowić nowe osiedla mieszkaniowe, gdzie wobec braku dostatecznej ilości funkcjonalnych przestrzeni wspólnych, nie ma miejsca na budowanie trwałych relacji. Wydawało się jednak, że tego rodzaju problem ominie wieś – także ze względu na jej charakterystyczną organizację przestrzeni, pozwalającą na stosunkowo łatwe spotkania z sąsiadami – „na drodze”, w kościele czy pod sklepem.

Widzimy już, że zmiany, które zaszły i wciąż zachodzą na wsi, będą prawdopodobnie trwałe i będą się pogłębiać. Czy wobec tego uda się tam zbudować nową, prawdziwą wspólnotę? Jeśli tak, to na jakich wspólnych wartościach mogłaby się ona opierać? Być może jesteśmy świadkami tworzenia się zupełnie nowego sposobu życia obok siebie, bez udziału w jakiegokolwiek wspólnocie. Czy dzisiejsza migracja do enklaw wiejskich jest sygnałem, że potrzeba wspólnoty w ogóle zanika?

Miasto traci, wieś nie ufa

Bycie „pomiędzy” wywołuje spore perturbacje ekonomiczne dla każdej ze stron. Miasta, za sprawą opuszczających je na rzecz wsi mieszkańców, tracą nie tylko udziały w podatkach PIT, ale także – wraz z wychodzącą do tańszych lokalizacji dużą logistyką i przemysłem – osiągają niższe wpływy z podatków korporacyjnych. Na wieś przenoszone są również biznesy kreatywne, towarzyszące emigrującym z miast przedstawicielom nowej, coraz zamożniejszej klasy średniej.

W tym kontekście warto też przyjrzeć się politykom inwestycyjnym wielu gmin „obwarzankowych”, które nieraz dyskryminują nowe – społecznie „miejskie” – fragmenty wsi. Środki koncentrowane są na jej „rdzennym” obszarze, z mieszkańcami żyjącymi tam od pokoleń – to tam powstają np. obiekty sportowe i kulturalne. Z kolei tereny gminne zlokalizowane przy granicach miast bywają uznawane przez niektórych wójtów za obce. Obce, bo „miejskie” – z uwagi na przybywających tam nowych mieszkańców – choć przecież w obszarze granic administracyjnych gminy. Takie podejście wynika w dużej mierze z obawy, że pewnego dnia osoby te będą chciały zgłosić akces terytorialny do miasta, z którego przyszli i z którym wciąż się utożsamiają. W jakim zatem więc celu obszary przez nich zamieszkiwane zasilać w infrastrukturę społeczną? Takie właśnie myśli tkwią w głowach wielu urzędników gmin podmiejskich, choć z drugiej strony nowi mieszkańcy wsi nie są wcale chętni, aby wracać pod administracyjną jurysdykcję miasta, z którego się wyprowadzili.

“ **Polityki inwestycyjne wielu gmin „obwarzankowych” nieraz dyskryminują nowe – społecznie „miejskie” – fragmenty wsi. Środki koncentrowane są na jej „rdzennym” obszarze, z mieszkańcami żyjącymi tam od pokoleń. Z kolei tereny gminne zlokalizowane przy granicach miast bywają uznawane przez niektórych wójtów za obce.**

Marginalizacja problemu

Odpowiedzią wielu ośrodków miejskich na postępującą emigrację ich mieszkańców jest próba ograniczenia tego procesu poprzez rozszerzanie granic administracyjnych. W takim wypadku miejscy emigranci faktycznie wracają do swojej macierzy, lecz przy okazji przejmowane są też tradycyjne tereny wiejskie wraz z ich mieszkańcami, którzy później na nowo muszą budować swoje poczucie wspólnotowości z miastem. Może to trwać latami.

Wszystko komplikuje w dodatku fakt, że jesteśmy dziś generalnie świadkami zanikania większości form wspólnotowości. Tworzą się przestrzenie życia obok siebie, uzupełniane przestrzeniami hybrydowymi, substytuującymi potrzebę realnego obcowania z sąsiadami i lokalną wspólnotą. Życie „pomiędzy” staje się odpowiedzią mieszkańców na brak integracji funkcjonalno-przestrzennej w aglomeracjach, co potęgowane jest przez zmianę modelu życia związaną z przechodzeniem na pracę zdalną czy rosnącą powszechnością korzystania z usług online. Cały ten problem jest praktycznie zupełnie marginalizowany na poziomie dokumentów strategicznych miast oraz gmin, zaś w praktyce bieżącego zarządzania samorządem bywa nieraz niewygodny politycznie.

Jak zbudować nową wspólnotowość?

W zarysowanych powyżej wyzwaniach znajdują się już częściowe recepty na przewyżnianie problemów zaniku wspólnotowości. Paradoksalnie etap, w którym się znajdujemy, może spowodować – pod warunkiem umiejętnego ukierunkowania działań – że powrócimy do budowania zrębów wspólnotowości. Wspólnotowości nowego typu – opartej na zaufaniu i koncyliacyjności, dialogu i kompromisie, otwartości polityków i mądrej debacie publicznej, przekraczającej stereotypy wyznaczone granicami administracyjnymi czy reprezentowanym światopoglądem.

“ **Czy uda nam się zbudować wspólnotowość nowego typu – opartą na zaufaniu i koncyliacyjności, dialogu i kompromisie, otwartości polityków i mądrej**

debacie publicznej, przekraczającej stereotypy wyznaczone granicami administracyjnymi czy reprezentowanym światopoglądem?

Kluczowe w tym kontekście będą projekty społeczne i biznesowe, scalające mieszkańców miast i wsi. Jednym z kierunków może być zdecydowanie szersze wykorzystanie energii twórczej i społecznej przedstawicieli przemysłów kultury i przemysłów kreatywnych, przeprowadzających się na wieś. Jest już wiele dobrych przykładów na to, w jaki sposób takie osoby zmieniały rzeczywistość i budowały więzi społeczne w nowym miejscu swojego zamieszkania, transferując jednocześnie inne potrzebne kompetencje mieszkańcom wsi: dzieciom, aktywistom, seniorom itd. Ważne jest, aby klasy kreatywne nie tylko pozostawały w swoich sektorowo-międzynarodowo-towarzyskich przestrzeniach, ale też włączały się pełniej w budowanie lokalnej wspólnoty. Tu potrzebna będzie także aktywna polityka gmin, wspierająca finansowo projekty społeczne i kompetencyjne realizowane przez te osoby.

Z drugiej strony sama tradycyjna wieś wraz z jej mieszkańcami również znajduje w okresie przejściowym. Zmiana stylu życia na „miastowy” jest i zawsze będzie naturalnym czynnikiem zbliżania do siebie ludzi. Mieszkańcy wsi coraz rzadziej pracują w miejscu swojego zamieszkania – znacznie częściej w najbliższym mieście, aglomeracji, ale też w Warszawie, pod Monachium czy w Anglii. Przywożą stamtąd nowe, mniej konserwatywne, bardziej otwarte modele życia i percepcji świata. Za ich sprawą modernizacja społeczna dotarła – i dociera wciąż jeszcze głębiej – na wieś, szybko zmieniając obszary wiejskie.

Nasz kraj powtarza zatem modele urbanizacyjne Niemiec i Beneluksu, które radykalnie zaczęły odmieniać charakter tamtejszych wsi już od lat 60. i 70. XX wieku. W dodatku procesy te w naszym kraju mają szansę przebiec dużo szybciej, z uwagi na cyfryzację, pracę zdalną i migracje, a także dostępność komunikacyjną. Dochodzą do tego w naturalny sposób zmiany strukturalne w rolnictwie, skutkujące zdecydowanym ograniczeniem zatrudnienia osób pracujących bezpośrednio w tym sektorze.

Wielkim współczesnym wyzwaniem jest nowa rzeczywistość – w jej ramach funkcjonujemy i będziemy funkcjonować równolegle w kilku (a nawet kilkunastu) hybrydach wspólnot, niezależnie od tego, gdzie fizycznie mieszkamy. Już dziś wielu mieszkańców nie tylko miast, lecz także wsi, jest obecnych w wielu przestrzeniach, również międzynarodowych. Zbliża ich to do typowych „mieszczuchów”.

Myśląc o budowie nowej wspólnotowości, warto maksymalizować wysiłki na rzecz jednej z naszych przestrzeni wspólnot hybrydowych: miasta i wsi, np. poprzez poświęcanie jej więcej czasu i zasobów. Pamiętając równolegle o szacunku i zrozumieniu dla różnych wartości i sposobów życia.

O autorach

Dr **Joanna Hołda** – doktor nauk prawnych, wykładowczyni w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Administracji w Lublinie. Autorka i współautorka artykułów naukowych i publicystycznych z zakresu m.in. własności intelektualnej, prawa kultury, przemysłów kreatywnych, czy rozwoju miast. Ekspertka w obszarze rozwoju przemysłów kreatywnych.

Dr **Mariusz Sagan** – dyrektor Wydziału Strategii i Przedsiębiorczości Urzędu Miasta Lublin, adiunkt w Instytucie Rynków i Konkurencji Kolegium Nauk o Przedsiębiorstwie SGH w Warszawie. Ekspert i praktyk w zakresie rozwoju regionalnego i strategii miast oraz zarządzania strategicznego w biznesie międzynarodowym. Autor i współautor ponad 100 publikacji oraz kilkunastu książek. W latach 2014-2016 członek Global Advisory Board w Center for Leadership and Management na amerykańskim Uniwersytecie Rutgersa. Współtwórca i wykonawca Strategii Lublin 2020 oraz Lublin 2030. Prezes Fundacji Lubelska Wyżyna Motoryzacyjna i Maszynowa.

Konsumenci i rolnicy w sieci oddolnej współpracy



prof.
WOJCIECH KNIEĆ

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Polskie miasta i wsie to dziś w dużej mierze dwa oddzielne światy, zamieszkałe w dodatku przez diametralnie różniące się od siebie społeczności. Czy alternatywne sieci produkcji i dystrybucji żywności, takie jak kooperatywy spożywcze, mogą stanowić pomost między nimi? Kto w nich uczestniczy? Jak w swoich sieciach organizują się producenci oraz konsumenci? Dlaczego część Polaków jest gotowa więcej płacić za produkty spożywcze niż po cenach rynkowych?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Na polskiej wsi tworzą się dziś nowe sieci oddolnej współpracy – tzw. alternatywne sieci produkcji i dystrybucji żywności. Na czym polegają?

Punktem wyjścia całej sytuacji jest rosnąca niesprawiedliwość przy podziale zysków z produkcji i handlu żywnością, w kieszeni rolnika bowiem zostaje około 10% zysków z całego procesu. Tworzone są więc sieci współpracy, które są bezpośrednią reakcją, głównie rolników, na ten *unfair trade*. Są to sieci bazujące na relacjach między producentami żywności a konsumentami, w których pomijani są pośrednicy. Mogą one przybierać różne formy, np. powiązań lokalnych rolników dostarczających żywność do lokalnych restauracji czy gospodarstw agroturystycznych, które skupują mięso, jajka i inne produkty spożywcze, a następnie przetwarzają je na miejscu po to, by turyście zaoferować specjały lokalnej kuchni.

Sądzę jednak, że najciekawszą formą tego zjawiska są tzw. kooperatywy spożywcze. W ich ramach konsumenci rozpowszechniają w półformalny sposób, głównie za pomocą internetu, informacje o tym, że istnieje możliwość zakupu żywności bezpośrednio od rolnika. Dlatego też organizują się w grupy zakupowe. Ich celem nie jest jednak wyłącznie zakup żywności. Bardzo często przyświeca im idea wsparcia rolników, szczególnie tych drobnych, biednych.

Czy nasze społeczeństwo stać już jednak na to, by wspierać pewne grupy społeczne – np. rolników?

Część z pewnością tak – wiele kooperatyw tworzą ludzie, którzy kontaktują się z rolnikami i kupują u nich żywność, *de facto* za nią przepłacając. Swoje postępowanie argumentują względami religijnymi, patriotycznymi czy solidarnością miasta ze wsią. Nie chodzi im o to, by było jak najtaniej. Dochodzą do tego ciekawe wątki o charakterze moralnym, etycznym, np. myślenie idylliczne o wsi – wielu konsumentów uważa, że jeśli skończymy wspierać drobne gospodarstwa rolne, one znikną i nie będzie już alternatywy – będziemy skazani na kupowanie produktów wyprodukowanych wyłącznie w przemysłowy sposób.

Nie można chyba jednak powiedzieć, że uczestnicy kooperatyw spożywczych kupują żywność od rolnika głównie po to, by go wspierać – wiele osób chce dziś po prostu żyć zdrowo, nie dorabiając do tego dodatkowej ideologii...

Oczywiście – pojawienie się kooperatyw spożywczych wynika m.in. z pewnych wyraźnych trendów zachodzących we współczesnych gospodarkach i społeczeństwach. Po pierwsze, coraz powszechniejsze jest zmęczenie rolnictwem przemysłowym i produktami pochodzącymi z tego typu rolnictwa. Często słyszy się o chorobach odzwierzęcych czy zatruciach i alergiach będących pochodnymi stosowania przemysłowych metod produkcji – metod opartych na nowoczesnych technologiach nawożenia, wykorzystywaniu hormonów w hodowli zwierząt oraz innych dodatków mających maksymalizować zysk. Żywność powstała na końcu tego łańcucha spełnia wszelkie wymogi kontrolno-formalne, co nie zmienia faktu, że jest ona coraz mniej zdrowa.

Po drugie, pojawia się wątek sentymentalny, pragnienie powrotu do korzeni, w szczególności jeśli chodzi o osoby starsze. Mają one we wspomnieniach żywność, która była produkowana w sposób o wiele bardziej naturalny, która smakowała, a nawet pachniała inaczej. Po trzecie, jest też grupa osób poszukujących żywności ekologicznej ze względów *stricte* zdrowotnych. To przede wszystkim rodzice małych dzieci oraz seniorzy. Tu najbardziej chodzi o jakość żywności.

Od kogo wyszedł pomysł tworzenia alternatywnych sieci produkcji i dystrybucji żywności?

Co ciekawe, ich inicjatorem byli konsumenci. Tu pojawia się więc element obywatelskości. Pierwsze kooperatywy tworzyły osoby doświadczone w funkcjonowaniu w społeczeństwie obywatelskim – często należały one do różnego rodzaju zrzeszeń, stowarzyszeń, fundacji i ruchów miejskich. Mówiąc wprost: byli to świadomi obywatele przekonani, że można się organizować wokół pewnych celów czy inicjatyw.

“ **Pierwsze kooperatywy spożywcze tworzyły osoby doświadczone w funkcjonowaniu w społeczeństwie obywatelskim – często należały one do różnego rodzaju zrzeszeń, stowarzyszeń, fundacji i ruchów miejskich.**

No właśnie, kim dokładnie są konsumenci uczestniczący w kooperatywach spożywczych?

To przede wszystkim mieszkańcy dużych miast. Osoby rozczarowane nie tylko asortymentem dużych sklepów, ale i produktami, jakie można znaleźć na targowiskach. To ludzie, którzy kupując żywność na małych miejskich bazarkach, niejednokrotnie spotykali nieuczciwych sprzedawców, handlujących zakupioną w hurtowniach żywnością, a przedstawiających ją jako zdrowe produkty ze wsi. Przekrój tej grupy jest ogromny – należą do niej i młodzi, i starzy, i słabo, i lepiej wykształceni itd. Nie jest też tak, że są to obywatele bliscy ideowo jednej opcji politycznej czy światopoglądowej. Sam spotkałem się ostatnio z przykładem kooperatywy, w której skład wchodziło wyłącznie słuchacze Radia Maryja – dla nich kupowanie u rolnika to deklaracja polityczna i etyczna.

Twierdzi Pan, że kooperatywy są dla ich uczestników również szansą na odnajdywanie własnej tożsamości. W jaki sposób?

W społeczeństwie tęsknota za lokalnością jest *de facto* tęsknotą za tożsamością kulturową, której obecnie w zuniwersalizowanej kulturze zachodniej często brakuje. Ludzie próbują jej na różne sposoby szukać. Odkrywają ją chociażby w kulinariach, poszukując produktów, które mają swoją historię, opowieść. Część mieszkańców dużych miast stara się zdobyć produkty spożywcze z terenów, z których wywodzą się ich rodzice. Wracają do starych przepisów, starają się je odtwarzać, ale też kupują produkty z rodzinnych stron.

“ **W społeczeństwie tęsknota za lokalnością jest *de facto* tęsknotą za tożsamością kulturową, której**

obecnie często brakuje. Ludzie próbują jej na różne sposoby szukać.

Druga forma poszukiwania tożsamości ma źródło w znudzeniu się „masówką” – tak jak w wielu innych dziedzinach życia dążymy do zdobycia czegoś szczególnego, niemassowego, np. mebli czy ubioru, tak coraz więcej osób wybiera też żywność, która nie jest produkowana seryjnie, stanowi pewną formę wyróżnienia. Stąd taką popularnością cieszą się produkty wytwarzane lokalnie, w małych gospodarstwach rolnych.

Chodzi tu zatem o żywność nie tylko wyprodukowaną, ale i przetworzoną przez rolnika?

W ramach kooperatyw konsumenci kupują nie tylko surową, nieprzetworzoną żywność, ale także produkty przetworzone, np. dżemy, powidła, nalewki, wędliny. Produkty te są oferowane lokalnie i łatwo zidentyfikować ich producenta. Bardzo często na etykiecie widnieją: nazwa gospodarstwa rolnego, imię i nazwisko rolnika, jego adres, nawet telefon komórkowy. Jakość jest tu zapewniana przez pełną jawność. Producent jest świadomy tego, że jeśli wypuści na rynek produkt niskiej jakości, natychmiast zostanie zlokalizowany i ludzie przestaną u niego kupować.

Tu zresztą pojawia się wątek chłopskiego etosu pracy, w którym bardzo liczy się jakość. Rolnik hołdujący temu etosowi na pierwszym planie stawia właśnie jakość, a dopiero później zysk. Hańbą jest sprzedać coś złej jakości, nawet za cenę podniesienia kosztów produkcji i zmniejszenia własnych korzyści majątkowych. Liczy się prestiż, szacunek i – podobnie jak w każdej sieci społecznej – lojalność.

Wydaje się, że te elementy niemal zniknęły z naszego życia gospodarczego...

Owszem – dlatego że na dłuższą metę takie podejście do biznesu nie przynosi zbyt wielkiego zysku. Jest to niejako sprzeczne z kapitalistycznym stylem sprzedaży. Racjonalność chłopska nie jest jednak racjonalnością *stricte* kapitalistyczną – stoi do niej wręcz w opozycji. Przyciąga to ludzi poszukujących czegoś wyjątkowego. Rolnicy to oferują. Choć oczywiście obraz idylliczności wsi w oczach miastowych bywa czasem przez mieszkańców wsi wykorzystywany.

Szansę na zaistnienie w tym obszarze zwietryły też chyba supermarkety...

Wielkie sieci odkryły, że w Polsce pojawił się klient, który chce kupować produkty spożywcze premium, czyli drogie i wysokiej jakości. Próbuje naśladować alternatywne sieci sprzedaży przez oferowanie produktów pseudozlokalizowanych – ładnie opakowanych, nawiązujących nazwą i wyglądem do tradycji regionalnych. Często są one jednak wytwarzane przez duże firmy z branży spożywczej. Tymczasem idea produktów zlokalizowanych opiera się na tym, że są one bardzo łatwe do namierzenia, opierają się na lojalności między producentem a konsumentem. Kupuje on towar, bo jest pewien, że jest wysokiej jakości. Nie chodzi jednak o to, że poddano go restrykcyjnej kontroli, lecz że pochodzi od konkretnej osoby. Kupujący, jeśli będzie chciał, może nawet pojechać do gospodarstwa i zobaczyć, jak wygląda produkcja, porozmawiać z właścicielem. To coś wyjątkowego, coś, czego wielkie sieci spożywcze nie są w stanie zapewnić.

Jak w sieci sprzedaży organizują się sami rolnicy?

O ile konsumentom sieciowanie się i zrzeszanie idzie dość łatwo, bo zdobyli doświadczenie obywatelskie i w przeszłości organizowali się w różnego rodzaju sieciach współpracy, o tyle rolnicy mają z tym problem. Nie ma wśród nich tradycji organizowania się w sieci sprzedaży. Co więcej, istnieje historycznie ukształtowana niechęć do zrzeszania się. Kapitał społeczny jest wśród nich dość niski, ponieważ niska jest gotowość do kooperacji.

W jaki zatem sposób rolnicy sobie z tym radzą? Jak powszechny jest wśród nich dostęp do internetu i umiejętność korzystania z niego, co – jak się wydaje – jest warunkiem koniecznym do tworzenia takich grup?

W kooperatywach uczestniczą przede wszystkim młodzi rolnicy, którzy bez problemu korzystają z internetu. Typowy profil uczestnika kooperatyw po stronie producenckiej to albo młody, dobrze wykształcony rolnik, albo rolnik posiadający doświadczenie w sprzedaży bezpośredniej, np. na festynach, targach. Właśnie przy okazji tego typu imprez, za sprawą spotkania twarzą w twarz, najczęściej nawiązują się pierwsze relacje, postanowienia dotyczące wspólnej sprzedaży. Za pośrednictwem internetu natomiast następuje ich kontynuacja. Tak naprawdę więcej na temat kooperatyw będzie można powiedzieć dopiero za kilka lat – teraz stanowią one zaczątek ruchu społecznego, który tworzy się na polskiej wsi.

Jakie skutki społeczne może przynieść nowy typ relacji między mieszkańcami polskich wsi i miast?

Wieś w dyskursie o polskim społeczeństwie i rozwoju znajduje się kompletnie na marginesie. Pojawia się szerzej właściwie tylko w kontekście wyborów ze względu na to, że jest liczny i zdyscyplinowany elektorat. To, co się wsi oferuje, to formy biernego wsparcia. Mieszkańcy miast nie mają tak naprawdę bladego pojęcia na temat tego, czym jest polska wieś, w jaki sposób żyją rolnicy, jak im się wiedzie itd. Kultura wyższa, ale i niższa są silnie zurbanizowane. Współczesny styl życia Polaków to styl życia mieszkańców miast. Wieś stoi zupełnie na uboczu.

Zainteresowanie lokalną żywnością stanowi formę zbliżenia do siebie mieszkańców wsi i miasta, a przede wszystkim – formę przybliżania wsi mieszkańcom miasta. W efekcie miastowi często są bardzo zaskoczeni tym, jak żyje się na wsi – że mieszkają tam normalni ludzie, wysoce etyczni, z doświadczeniem biznesowym itd. To zbliża ludzi, pozwala na przełamanie braków w polskim dyskursie publicznym, gdzie kreuje się bardzo niekorzystne wyobrażenie obszarów wiejskich.

“ **Zainteresowanie lokalną żywnością stanowi formę zbliżenia do siebie mieszkańców wsi i miasta, a przede wszystkim – formę przybliżania wsi mieszkańcom miasta.**

Mieszkańcy miast żyją stereotypami na temat wsi?

Zdecydowanie tak – funkcjonuje wiele kalek pojęciowych, które kształtują myślenie o mieszkańcach wsi. Szczególnie dobrze widać to na przedmieściach, gdzie nowi mieszkańcy wsi, którzy przenieśli się do stref podmiejskich z dużych miast, żyją w kompletnej izolacji od rodzimej ludności wiejskiej. Co więcej – wchodzą z nimi w konflikty. Przedmieścia stanowią skrajny przypadek rozdziału między miastem a wsią.

Do jakich konfliktów dochodzi?

Mieszkańcom przeszkadza, że jedzie traktor i się kurzy, że jest głośno podczas żniw albo że stojący pod sklepem rolnicy są dziwnie ubrani i mówią specyficznym językiem. Są to prozaiczne konflikty wynikające ze zderzenia ze sobą uciążliwości pracy rolnika z obrazem wiejskiej idylli, który wnoszą nowi mieszkańcy wsi.

Sieci, których przedmiotem jest żywność, a podmiotem są zorganizowani obywatele, to inicjatywy, które łączą ze sobą na nowo mieszkańców wsi i miast. W przeszłości takie sieci, choć w nieco innej formie, funkcjonowały u nas chyba tylko w latach 80., kiedy żywność była na kartki i niczego nie można było dostać w sklepie. Wówczas jeździło się z miasta na wieś po żywność. Były tam zawierane przyjaźnie, które często trwają do dziś. Oby obecnie było podobnie.

O rozmówcy

Prof. **Wojciech Knieć** – socjolog wsi, kierownik w Zakładzie Socjologii Obszarów Rustykalnych Instytutu Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. W swoich badaniach zajmuje się m.in. problematyką kondycji trzeciego sektora, rozwoju społeczeństwa obywatelskiego oraz partnerstw lokalnych na obszarach wiejskich.

Niewidzialne fundamenty wspólnot lokalnych



prof.
TOMASZ RAKOWSKI
Uniwersytet Warszawski

Na obszarach wiejskich możemy się zetknąć z bardzo żywiołowymi, oddolnymi działaniami rozwojowymi, których inicjatorami są lokalne społeczności. Struktury te, choć często działają od dekad, pozostają jednak zazwyczaj w cieniu – nie zauważa się ich, nie docenia ich znaczenia, a nawet niesłusznie się je odrzuca. Jak przełamywać żywe do dziś stereotypy? Dlaczego polska „wiejskość” zasługuje na uznanie i zrozumienie?

W kleszczach stereotypów

Kiedy przyjrzymy się dokładniej temu, jak się pisze i mówi o doświadczeniach społeczności peryferyjnych, szczególnie środowisk współczesnej wsi, szybko możemy zauważyć oddziaływanie tzw. „diagnozy negatywnej”. Chodzi mianowicie o zjawisko stałego, często podświadomego naznaczania, stygmatyzowania środowisk wiejskich – dotkniętych przecież mocno traumą przemian transformacyjnych – przez środowiska inteligenckie, akademickie i dziennikarskie. Owa stereotypizacja była bardzo silna zwłaszcza w latach dwudziestych XX w., ale jej oddziaływanie odczuwa się nawet dzisiaj.

W ogólnym przekazie praktyki kulturalne czy po prostu sposoby spędzania wolnego czasu przez społeczności wiejskie często przedstawia się za pomocą obrazów ukazujących bylejakość, monotonną codzienność oraz brak dostępu do jakiegokolwiek wartościowej, twórczej działalności. Bardzo wyrazistym przykładem takiego myślenia jest film dokumentalny Ireny i Jerzego Morawskich *Czekając na sobotę* z 2010 r., w którym młodzież wiejska w kilku miejscach Polski zajmuje się nudnymi, bezcelowymi czynnościami: w jednym z ujęć młodzi patrzą nieustannie w ekrany telefonów, w kolejnym demolują i niszczą starego poloneza, w jeszcze innym okupują beczynnie odrapany przystanek PKS-u.

“ **W ogólnym przekazie praktyki kulturalne czy po prostu sposoby spędzania wolnego czasu przez społeczności wiejskie często przedstawia się za pomocą obrazów ukazujących bylejakość, monotonną codzienność oraz brak dostępu do jakiegokolwiek wartościowej, twórczej działalności.**

Owe przykłady bardzo dobrze obrazują, w jaki sposób postrzega się lokalne środowiska wiejskie. Wiejskość ilustruje się jako miejsce, w którym panują: społeczne nieufności, „zamykanie się”, dbanie o własne korzyści, obojętność na sprawy ogółu czy brak kompetencji obywatelskich. Zwłaszcza w okresie transformacji

ustrojowej mieszkańcy wsi często byli uważani za pewien balast, „residuum”, za inercyjną siłę społeczną blokującą korzystne przemiany. Janusz Majcherek nazywał ich nawet „hamulcowymi modernizacji”, co miało się łączyć z głębokim osadzeniem w kulturze PRL-u oraz z niezmodyfikowaną, nieefektywną, pozbawioną obywatelskiego czy nawet moralnego wymiaru kulturą pracy.

Alternatywna historia wsi

Cofnijmy się do czasów Polski Ludowej. Koniec lat sześćdziesiątych, a szczególnie lata siedemdziesiąte to okres, kiedy mieszkańcy wsi migrują do miast, zdobywają umiejętności, w końcu – kiedy ich dochody wzrastają. Mają wtedy dostęp do tanich kredytów, nawozów, można wreszcie kupić duże maszyny, powstają domy i budynki. Ludzie współdziałają, budują w „czynie społecznym” ośrodki zdrowia, świetlice, stawiają też opór władzom – zdarza się, że blokują kandydatury partyjnych urzędników na wójtów czy przewodniczących rad gromadzkich. Pojawia się wówczas pewien rodzaj „silnej” podmiotowości wsi. Poczucie działania oraz możliwości rozwijania się, a nawet bogacenia staje się wyjątkowo mocne.

Okazuje się, że jest to właściwie zupełnie inna historia od tej, którą znamy – historia rozwoju własnych umiejętności, techniki, samoorganizacji, współdziałania, i to na powszechną skalę. Niezwykle ważnymi miejscami aktywności dla wspólnot wiejskich stają się wówczas takie miejsca, jak ochotnicza straż pożarna, miejscowa szkoła i świetlica wiejska. Wszystkie ogniskują specyficzną nieformalną, oddolną aktywność organizacyjną. To tutaj jesteśmy świadkami historii współdziałania jako swoistego „faktu społecznego”, wspólnego budowania. Często okazuje się, że owe prace mogą mieć zupełnie inne znaczenie niż najbardziej powszechny sens „czynu społecznego”, kojarzony z absurdalną, propagandową, farsową akcją państwa ludowego. „Czyny społeczne” jako wspólnotowe historie cały czas są opowiadane z dumą i entuzjazmem, to bardziej doświadczenie oporu i samostanowienia niż socjalistycznej podległości.



Niezwykle ważnymi miejscami aktywności dla wspólnot wiejskich są takie miejsca, jak ochotnicza straż pożarna, miejscowa szkoła i świetlica wiejska. Wszystkie ogniskują specyficzną nieformalną, oddolną aktywność organizacyjną.

Aby dobrze zrozumieć fenomen samoorganizacji wiejskiej, warto też wskazać na współczesne jej przykłady. Warto spojrzeć chociażby na sposób działania wiejskich klubów sportowych, szkół czy świetlic. Są to nie tylko miejsca, w których uprawia się sporty, uczy czy spędza wolny czas, lecz są także przestrzeniami, które cały czas można wymyślać, przekształcać i udoskonalać. W działalność tych instytucji są często zaangażowani nie tylko ich pracownicy, ale też duża część pozostałych mieszkańców wsi. Przyciągają one miejscowych społeczników i aktywistów, stanowią *de facto* dobro wspólne, nieustannie wzbogacane przez lokalną społeczność.

Jeśli uważnie przyjrzymy się tym formom aktywności, widać, że wkraczamy w obszar, w którym tkanka społeczna i kulturowa funkcjonują w sposób zupełnie odmienny, niż to się zazwyczaj przedstawia. To, co „międzyludzkie”, związane z samoorganizacją, może być zarówno źródłem pozytywnych relacji, nieformalnym negocjowaniem współpracy, jak i budowaniem pewnej paraekonomicznej i parapolitycznej siły.

Społeczności wsi jako ośrodki współdziałania

Okazuje się zatem, że w wielu polskich wsiach mamy do czynienia z pewnym bardzo żywiołowym i niejawnym charakterem oddolnych działań rozwojowych, które tworzą w tym środowisku właściwe społeczne życie

wsi. Tyle że pozostaje ono nieustannie w cieniu, nie jest zazwyczaj w ogóle rejestrowane. Prawie za każdym razem okazuje się, że struktury te działały od dekad, tylko nie były wychwytywane, nie były brane pod uwagę, a przede wszystkim – nie zauważano ich znaczenia. Problem dotyczący obserwacji społeczności wiejskich polega zatem na niesłusznym odrzucaniu tego, co żywiołowe, nieformalne, społeczne, choć funkcjonujące w swoim niejawnym wymiarze.

“

W wielu polskich wsiach mamy do czynienia z pewnym bardzo żywiołowym i niejawnym charakterem oddolnych działań rozwojowych, które tworzą w tym środowisku właściwe, społeczne życie wsi. Tyle że pozostaje ono nieustannie w cieniu, nie jest zazwyczaj w ogóle rejestrowane.

A takie praktyki kultury są przecież na swój sposób bardzo wartościowe – najczęściej są spontaniczne, związane z cielesnością, z fizycznością pracy, z potrzebą odpoczynku, ale też z wysokim wartościowaniem „bycia razem”, z familiarnością. Co więcej, takie odruchy tworzenia praktyk kulturowych łączą się z oddolną „produkcją” wspólnoty – z budowaniem klubów, spotkań, kół gospodyń wiejskich, chórów kościelnych, ochotniczych straży pożarnych itd., ale też nieformalnych spotkań, „posiad” sąsiedzkich, sobotnich zabaw, organizacją wiejskich świąt. Wszystko to ma pewną ciągłość kulturowo-historyczną i może być traktowane jako zaplecze oddolnej formy obywatelskości.

Odkrywamy w ten sposób wewnętrzne mechanizmy modernizacyjne, w których z całą mocą ujawniają się formy działania społecznego i kulturowego. Są to działania, a właściwie całe tradycje społeczne, które już samą swoją obecnością zaświadczały o powszechnie niedostrzeganych, alternatywnych logikach społecznych, zmuszając nas do przewartościowania najbardziej ugruntowanych sposobów rozumienia zmiany społecznej, modernizacji czy przede wszystkim – idei Polski lokalnej. W ten sposób narracje naukowe i publicystyczne wypełnione wizją kultury wsi jako balastu, czegoś, co przekreśla powstawanie „właściwej” klasy średniej i „właściwego” społeczeństwa obywatelskiego przy bliższym etnograficznym przyjrzeniu się mogły się często okazać zupełnie nietrafne.

O autorze

Prof. **Tomasz Rakowski** – adiunkt w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, współpracuje z Instytutem Kultury Polskiej UW. Etnolog, kulturoznawca, antropolog. Prowadzi badania w Polsce i w Mongolii. Lekarz, specjalista medycyny ratunkowej. Autor książek *Łowcy, zbieracze, praktycy niemości. Etnografia człowieka zdegradowanego* (2010) oraz *Przepływy, współdziałania, kręgi możliwego. Antropologia powodzenia* (2018).

Jak odblokować energię mieszkańców gminy?



PAWEŁ ŻMUDA

Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Główniczach

W społecznościach wiejskich drzemie wielki potencjał związany z tworzeniem i animacją kultury lokalnej. Często bywa on jednak blokowany przez bariery natury m.in. formalnej czy mentalnej. Jak w ich przełamywaniu mogą w kreatywny sposób pomóc instytucje takie jak gminne ośrodki kultury?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor publikacji Kongresu Obywatelskiego.

Jak dużą barierą w procesie animacji kultury lokalnej mogą być kwestie formalne?

Bariery formalne w procesie tworzenia i animacji kultury to zasadniczy problem, który najczęściej utrudnia działanie osobom po raz pierwszy starającym się o wsparcie swoich inicjatyw ze środków zewnętrznych. Co więcej, nawet doświadczeni animatorzy kultury często mają trudności z wypełnieniem wniosku, zgromadzeniem załączników i zrozumieniem wytycznych formułowanych za pomocą swoistej nowomowy projektowej. Wnioski pisane w języku potocznym lub nawet literackim, niewchodzące jednak w schemat projektowy, wymykają się kryteriom oceny, z tego powodu osiągają niższą punktację i nie otrzymują dofinansowania.

“ **Bariery formalne w procesie tworzenia i animacji kultury to zasadniczy problem, który najczęściej utrudnia działanie osobom po raz pierwszy starającym się o wsparcie swoich inicjatyw ze środków zewnętrznych.**

Cóż dopiero mówić o wiejskich społecznościach, w których np. członkinie kół gospodyń wiejskich (KGW) czy sołtysi często mają bardzo ciekawe pomysły i olbrzymią energię do działania, niestety borykają się z brakiem środków finansowych. Przeciętny wniosek np. z urzędu marszałkowskiego lub konkursów grantowych jest zupełnie poza ich zasięgiem i nawet jeśli podejmą trud wypełnienia wniosku, to nie uzyska on odpowiedniej punktacji i nie otrzyma dofinansowania.

Jak dużo energii mieszkańców się przez to marnuje?

Najczęściej jest tak, że po jednym lub dwóch projektach napisanych przez społeczności wiejskie najlepiej, jak potrafią, oczywiście ocenionych negatywnie w związku z niedostosowaniem języka do mowy projektowej, następuje zniechęcenie i wycofanie się z takich działań. Szukane są alternatywne drogi pozyskania finansowania, np. z budżetu gminy, przez ośrodek kultury czy przez współpracę z lokalnymi przedsiębiorcami. Są to jednak najczęściej mniejsze środki, niż można uzyskać z zewnątrz, a przy okazji zwykle ograniczone napiętymi budżetami tych instytucji.

Znalazł Pan pomysł na przełamanie tej bariery.

W Gminnym Ośrodku Kultury w Głównych w latach 2017 i 2018 prowadziliśmy konkurs grantowy „Robimy Wiochę! Sołectwo na medal”, na którego realizację pozyskaliśmy środki w ramach Lokalnych Partnerstw Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności. Uznaliśmy, że nasza gmina potrzebuje wsparcia małych działań. W efekcie grupy nieformalne, KGW czy sołtysi mogli aplikować o kwoty wysokości 3-5 tys. złotych. Założeniem było minimum formalności – objętość wniosku była ograniczona do jednej kartki, miał on też być napisany przystępnym językiem: „Napisz nam swoimi słowami, co chcesz zrobić, czego do tego potrzebujesz i ile to może kosztować, ile osób zaangażujesz i na jaki efekt końcowy liczysz?”.

Efekt przerósł nasze oczekiwania, zwłaszcza jeśli chodzi o inicjatywę i energię mieszkańców. Każde nasze wsparcie było bardzo skrupulatnie wykorzystane przez wnioskodawców, z dokładnym rozeznaniem rynku i poszukiwaniem jak najtańszych i najbardziej efektywnych rozwiązań. Dopuściliśmy też możliwość modyfikacji kosztorysów, czyli prościej – „listy wydatków”, aby elastycznie reagować na zmieniające się potrzeby w związku z wykonaniem pewnych działań w ramach wolontariatu przez uczestników projektu. Okazało się bowiem, że w każdym projekcie znalazły się osoby z konkretnymi, potrzebnymi umiejętnościami: stolarskimi, kamieniarskimi, kulinarnymi, osoby posiadające sprzęt budowlany, materiały czy pomysły, jak ułatwić prace projektowe. To wszystko sprawiło, że uwolniliśmy w mieszkańcach olbrzymią energię i chęć pracy dla swojej społeczności, co przełożyło się na zrealizowanie projektów w zakresie przekraczającym nasze zamierzenia.

Inną z barier rozwijania aktywności kulturalnej mieszkańców gmin może być ich niechęć do „pracy na rzecz” np. innego sołectwa – często wszyscy chcą mieć coś dla siebie z danego projektu (najlepiej trwałego!). Skąd się bierze takie podejście?

Mieszkańcy sołectw są z natury, niejako „po polsku” gościnni i chętnie przyjmują u siebie przedstawicieli innych sołectw, organizacji czy gmin. Wspólne inicjatywy integracyjne wychodzą świetnie, ponieważ gospodarze zazwyczaj dokładają wszelkich starań, by zrobić dobre wrażenie na gościach. Pewnym problemem jest mobilizacja społeczności, by wykonywać prace i działania w sąsiedniej miejscowości, zwłaszcza jeśli na ich terenie nic nie powstanie. Przeważa wtedy myślenie w kierunku uporządkowania i ulepszenia najpierw własnej miejscowości.

“ **Mieszkańcy sołectw są z natury, niejako „po polsku” gościnni i chętnie przyjmują u siebie przedstawicieli innych sołectw, organizacji czy gmin. Pewnym problemem jest mobilizacja społeczności, by wykonywać prace i działania w sąsiedniej miejscowości, zwłaszcza jeśli na ich terenie nic nie powstanie.**

Jakie działania można podejmować, by takie bariery niwelować?

Postawiliśmy przede wszystkim na integrację mieszkańców z miejscowości leżących dość blisko siebie, następnie powstawały pomysły wspólnego działania. Ważna była zasada wzajemności – tak, by w krótkim odstępie czasu podjąć podobne aktywności w obu miejscowościach. Uczestnicy projektu najpierw działali w jednej miejscowości, ale wiedzieli, że w nieodległej perspektywie sąsiedzi zza miedzy przyjadą i pomogą przy pracach u nich.

Myślę że taka już nasza natura jako społeczeństwa, że najpierw angażujemy się przede wszystkim w projekty i działania nas bezpośrednio dotyczące. Podejmujemy zatem prace w naszej okolicy w celu poprawy swego lokalnego środowiska, a oprócz tego wspieramy inicjatywy oddalone od naszego miejsca zamieszkania, które ciężko byłoby realizować na miejscu, takie jak wsparcie dla hospicjum, schroniska dla zwierząt czy rewitalizacja zabytkowego centrum miasta. W wypadku tych drugich, ogólnych działań możemy z różnych względów wybierać miejsce, gdzie będziemy się realizować społecznie, biorąc pod uwagę różne czynniki, np. prestiż placówki lub zaplanowanych inicjatyw, dobry system wsparcia wolontariatu czy atmosferę. W wypadku jednak działań na rzecz poprawy bliskiego środowiska dołączamy do działań organizowanych we własnej miejscowości, czy jeszcze zawężając – w swojej dzielnicy lub nawet w obrębie własnej ulicy. Trudno sobie wyobrazić, że pojedziemy w czynie społecznym pracować na rzecz innej miejscowości, skoro tyle jest do zrobienia na lokalnym podwórku.

Jakie konsekwencje natury kulturowo-rozwojowej niesie za sobą fakt, że dla 90% mieszkańców Głównyc „centrum” jest w Słupsku, w Gdańsku duża część z nich nie była, nie wspominając nawet o Warszawie czy zagranicy?

Dla większości mieszkańców gminy Głównyce, położonej na Pomorzu Środkowym, centrum wszelkich działań i usług jest położony 30 kilometrów na zachód Słupsk, miasto liczące około 90 tys. mieszkańców. Tu znaczna część mieszkańców dojeżdża do pracy, uczniowie wybierają szkoły ponadpodstawowe, do których uczęszczają. Jest to równocześnie centrum handlowe, jak i kulturalne – z teatrem, kinem i kawiarniami. Do miasta autobusy dojeżdżają co pół godziny, nie jest też ono tak rozległe jak Trójmiasto i nie powoduje obawy przed poruszaniem się po nim samochodem.

Słabo skomunikowane z naszym regionem Trójmiasto jest raczej celem nielicznych wycieczek szkolnych, tu też zdolna i ambitna młodzież idzie na studia. Metropolia ta jest też oknem na świat w wypadku wyjazdów na wczasy zagraniczne. Sam dojazd komunikacją publiczną do położonej o 90 km na wschód Gdyni wymaga dojazdu autobusem najpierw do Słupska, zgrania połączenia z pociągiem i po prawie 3 godzinach jazdy dociera się do Trójmiasta. Ostatni pociąg w stronę Słupska odjeżdża o 22, ale autobus ze Słupska do Głównyc wcześniej – o 20:30. Poruszanie się samochodem po Trójmieście często jest wyzwaniem ze względu na duży ruch, niezajomość miasta i miejsc do parkowania. To wszystko powoduje, że naturalnym wyborem mieszkańców naszej gminy jest Słupsk. Gdańsk jest bardziej miejscem emigracji na stałe – w celu studiowania na uczelni lub w poszukiwaniu lepszej pracy. Takie osoby przenoszą się do Trójmiasta lub innych miast, osłabiając więzi z prowincją, która staje się często jedynie miejscem wizyt rodzinnych z okazji świąt.

Co wynika w momencie zderzenia się tych dwóch światów?

Osoby, które decydują się na zmianę miejsca zamieszkania ze względu na studia lub pracę, najczęściej bez problemu odnajdują się w metropolii i tworzą sobie tam swoje centrum życiowe. Rzadko kiedy wracają po skończonych studiach czy kilku latach pracy do swojej rodzinnej gminy na stałe. Brakuje tu dobrze płatnej pracy, tak szerokiej oferty kulturalnej i innych atrakcji, które oferuje Trójmiasto. To niestety powoduje odpływ ludzi utalentowanych i energicznych, którzy mogliby przysłużyć się rozwojowi gminy i wyrównywaniu różnic w rozwoju między prowincją i metropolią.

Różnice widać chociażby w uwalnianiu społecznej energii: w miastach liczne stowarzyszenia i fundacje realizują działania, korzystając z grantów, projektów czy budżetów obywatelskich. Na wsi organizacje pozarządowe w tej formie praktycznie nie istnieją, a zaangażowanie społeczne koncentruje się w KGW, ochotniczych strażach pożarnych czy działalności sołectw. Finansowanie działań na rzecz społeczności jest dużo słabsze, z tego powodu większy nacisk jest kładziony na zaangażowanie ludzi i własną pracę. Zapewne upraszczając systemy grantowe z myślą o wiejskich odbiorcach, można uwolnić dużo pozytywnej energii, która przełoży się na działania i wyrównywanie szans między metropolią a wsią. Stworzenie systemu, w którym – tak jak

w gminie Główny – operatorem minigrantów może być ośrodek kultury, ułatwia realizację projektów i przystępowanie do nich przez oddolne organizacje w środowisku wiejskim.

Czym – w prostych słowach – różni się lokalny punkt widzenia od metropolitalnego, który dominuje przecież w mass mediach, debacie publicznej czy polityce?

Różnicę między tymi dwoma punktami widzenia najlepiej widać na przykładzie polityki. Lokalnie mniej myśli się o polityce ogólnopolskiej lub nawet tej realizowanej na poziomie województwa. Lokalne komitety wyborcze funkcjonują jedynie w trakcie wyborów samorządowych, po nich rozwiązują się i nie tworzą zaplecza politycznego czy struktury przez kolejne 4-5 lat, do kolejnych wyborów. Wybory samorządowe, zarówno władz wykonawczych, jak i lokalnych radnych, nie przebiegają według podziałów partyjnych, lecz raczej konkretnych pomysłów na gminę, miejscowość czy okręg wyborczy. W polityce lokalnej praktycznie nieistotny jest spór światopoglądowy, ważniejsze jest to, czy powstanie np. oświetlenie na danej ulicy lub ile miejsc przedszkolnych stworzy samorząd. Deklaracje kandydatów na stanowiska w gminie są szczegółowo formułowane i dotyczą konkretnych miejsc i miejscowości, mniej mówi się o ogólnym kierunku politycznym.



W polityce lokalnej praktycznie nieistotny jest spór światopoglądowy, ważniejsze jest to, czy powstanie np. oświetlenie na danej ulicy lub ile miejsc przedszkolnych stworzy samorząd. Deklaracje kandydatów na stanowiska w gminie są szczegółowo formułowane i dotyczą konkretnych miejsc i miejscowości, mniej mówi się o ogólnym kierunku politycznym.

O rozmówcy

Paweł Żmuda – od 2011 r. Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Głównych. Wcześniej związany z sektorem finansów i bankowości. Miłośnik historii i kultury Pomorza Środkowego. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.



Pomorski Thinkletter to nowy jakościowo **hub komunikacyjny** wokół wyzwań rozwojowych Pomorza i Polski zainicjowany oraz wydawany przez Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową (z siedzibą w Gdańsku) w ramach Pomorskiego Kongresu Obywatelskiego.

Zależy nam, aby Pomorski Thinkletter był przestrzenią skupiającą przedstawicieli różnych sektorów i branż – zarówno osoby zaangażowane społecznie, jak i sektor nauki, biznesu czy administracji. Chcemy aby była to agora wielostronnej dyskusji, wymiany doświadczeń oraz uspójniania perspektyw.

Zachęcamy do **zapisania się do grona stałych odbiorców**, aby informację o nowych wydaniach otrzymywać bezpośrednio na adres e-mail. Subskrypcja jest **bezpłatna**.

Dotychczas opublikowane wydania:

- 1/2020 *Pomorskie **miasta** wobec pandemii i wyzwań klimatycznych*
- 2/2020 *Stawka i oblicza **cyfryzacji***
- 3/2020 ***Siła lokalności** dla budowy Europejskiego Zielonego Ładu*

Wszystkie wydania w wygodnym formacie PDF można pobrać na stronie www.kongresobywatelski.pl